

PERCY JACKSON I BOGOWIE OLIMPIJSCY 3 TOM III

KŁĄTWA TYTANA



RICK RIORDAN

ROZDZIAŁ I

BARDZO NIEUDANA AKCJA RATUNKOWA

W piątek poprzedzający ferie zimowe mama zapakowała mi do plecaka piżamę i szczoteczkę do zębów oraz kilka sztuk śmiercionośnej broni, po czym zawiozła mnie do nowej szkoły z internatem. Po drodze zabraliśmy moje koleżanki Annabeth i Thalię.

Podróż z Nowego Jorku do Bar Harbor w stanie Maine trwa osiem godzin. Autostrada tonęła w śniegu z de-szczem. Nie widziałem się z Annabeth i Thalią od kilku miesięcy, ale śnieżyca i myśli o tym, co mieliśmy zrobić, nie sprzyjały rozmowom. Tylko mama gadała jak naję-ta. Zawsze tak ma, kiedy jest podenerwowana. Gdy wreszcie dotarliśmy do Westover Hill, robiło się już ciemno, a dziewczyny znały wszystkie wstydlive opo-wieści o mnie z czasów, kiedy byłem małym dzieckiem.

Thalia przetarła zaparowaną szybę okienną i wyjrzała na

zewnątrz.

- Rewelka. Będzie niezła zabawa.

Westover Hall wyglądał jak zamek złego rycerza. Zbudowany z czarnego kamienia, miał wieżyczki i okienka strzelnicze oraz ogromną, dwuskrzydłową drewnianą bramę. Stał na ośnieżonym skalnym urwisku, z którego roztaczał się widok na oszroniony las z jednej strony i stalowoszary, sztormowy ocean z drugiej.

- Na pewno nie chcesz, żebym zaczekała? - spytała mama.

- Na pewno, mam, dziękuję - odpowiedziałem. - Nie mam pojęcia, ile nam to zajmie. Damy sobie radę.

- A jak zamierzacie wrócić? Będę się niepokoiła, Percy.

Miałem nadzieję, że się nie rumienię. Wystarczającym obciachem było już to, że mama musiała mnie dowieźć na pole bitwy.

- Wszystko będzie dobrze, proszę pani - Annabeth uśmiechnęła się uspokajająco. Na jasnych włosach nosiła narciarską czapkę, a jej oczy miały ten sam odcień co ocean. - Będziemy go pilnowały.

Mama najwyraźniej rozluźniła się nieco. Uważa Anna-beth za najrozsądniejszą z grupy herosów, którzy dożyli ósmej klasy. Jest przekonana, że to ona zawsze chroni mnie przed nagłą śmiercią. W sumie ma rację, ale to jeszcze nie znaczy, że mnie też ma się to podobać.

- Dobrze, słoneczka - powiedziała mama. - Macie wszystko, co trzeba?

- Tak, proszę pani - odrzekła Thalia. - Dziękujemy za podwiezienie.

- Może jednak jeszcze dodatkowy sweter? A macie numer mojej komórki?

- Mamo...

- Zabrałeś ambrozję i nektar, Percy? I złotą drahmę, w razie

jakbyś musiał porozumieć się z obozem?

- Mamo, daj spokój! Poradzimy sobie. Chodźmy.

Wydawała się lekko urażona i poczułem się z tego powodu głupio, ale chciałem już wysiąść z samochodu. Gdyby mama opowiedziała jeszcze jedną historyjkę o tym, jak słodko wyglądałem w wannie, kiedy miałem trzy latka, zakopałbym się chyba w śniegu i zamarznął z rozpaczy.

Annabeth i Thalia wysiadły za mną. Poczułem uderzenie mroźnego wiatru, który przenikał przez moją kurtkę jak igiełki lodu.

Kiedy samochód znikł nam z pola widzenia, odezwała się Thalia.

- Ale masz super mamę, Percy.

- Jest w porządku - przyznałem. - A ty? Masz w ogóle kontakt z matką?

Pożałowałem tych słów, ledwie je wypowiedziałem. Thalia znakomicie umie posyłać zabójcze spojrzenia, co świetnie współgra z punkowymi ciuchami, które zawsze nosi -postrzępioną wojskową kurtką, czarnymi skórzanymi i biżuterią z łańcuchów, smolistymi kreskami wokół oczu i tymi jej niesamowicie niebieskimi tęczęwkami. Spojrzenie, które mi teraz posłała, biło rekordy złowieszczości.

- Nie twój interes, Percy...

- Chodźmy lepiej do środka - przerwała jej Annabeth. - Grover pewnie już czeka.

Thalia spojrzała na zamek i wzdrygnęła się.

- Masz rację. Zastanawiam się, co on tu takiego znalazł, że wysłał sygnał ratunkowy.

Podniosłem wzrok ku mrocznym wieżyczkom górującym nad Westover Hall.

- Pewnie nic dobrego - mruknąłem.

Dębowa brama otwarła się ze zgrzytem i wszyscy troje weszliśmy do środka otoczeni wirującymi płatkami śniegu.

Widok holu odebrał mi mowę.

Sala była olbrzymia. Na ścianach wisiały sztandary wojenne i ogromna kolekcja broni: stare strzelby, topory bojowe i różne inne rzeczy. Oczywiście, wiedziałem, że Westover jest szkołą wojskową, ale ta wystawa wyglądała zabójczo. Dosłownie.

Sięgnąłem do kieszeni, gdzie trzymałem Orkan - mój śmiertelnie groźny długopis. Czułem, że coś w tym miejscu jest nie w porządku. Czało się tu coś groźnego. Thalia pocierała srebrną bransoletkę, swój ulubiony magiczny gadżet. Wiedziałem, że myśli o tym samym co ja. O czekającej nas nieuchronnej walce.

- Zastanawiam się, gdzie... - zaczęła Annabeth.

Za nami zatrzasnęła się brama.

- O-okej - wymamrotałem. - Chyba spędzimy tu chwilkę.

Z drugiego końca korytarza dobiegały dźwięki muzyki.

Najwyraźniej tanecznej.

Schowaliśmy nasze plecaki z piżamami za filarem i ruszyliśmy przed siebie. Nie zaszliśmy daleko kiedy usłyszeliśmy kroki na kamiennej posadzce i przed nami pojawili się kobieta i mężczyzna.

Oboje mieli krótko obcięte szpakowate włosy i nosili czarne wojskowe mundury z czerwonymi lampasami. Kobieta miała lekki wąsik, a mężczyzna był gładko ogolony, co wydawało mi się troche dziwacznym przedstawieniem.

- No, no - odezwała się kobieta. - Co wy tu robicie?

- Eee... - Uświadomiłem sobie, że nie byliśmy przygotowani na taką sytuację. Skupiłem się tylko na tym, żeby odnaleźć Grovera i dowiedzieć się, co jest nie tak, i zupełnie nie przyszło

mi do głowy, że trójka dzieciaków zakradających się po nocy do szkoły może wydać się komuś podejrzana. W samochodzie nie zastanawialiśmy się nad tym, jak dostaniemy się do środka. -My, proszę pani, tylko...

- Ha! - krzyknął mężczyzna tak nagle, że aż podsko-czyłem. - Goście nie mają wstępu na bal! Zostaniecie wyyyrzuceniii!

Chyba był cudzoziemcem, wszystko wymawiał jakby z francuska - akcentował wyrazy na ostatnią sylabę. Był wysoki i miał ptasią twarz. Kiedy mówił, falowały mu nozdrza, więc trudno było się na niego nie gapić, a oczy miał w dwóch różnych kolorach: jedno brązowe, drugie niebieskie, jak jakiś kot dachowiec.

Byłem przekonany, że zaraz wyrzuci nas na śnieg, ale w tej samej chwili Thalia zrobiła krok do przodu i wyko-nała dziwny gest.

Konkretnie pstryknęła palcami. Ostro i głośno. Może mi się tylko wydawało, ale miałem wrażenie, że z jej dłoni wystrzelił powiew wiatru, omiatając pomieszcz-e-nie. Przemknął między nimi wszystkimi, aż wiszące na ścianie sztandary załopotwały.

- Ależ my nie jesteśmy gośćmi, proszę pana - powie-działa - My tu chodzimy do szkoły. Przecież pan nas zna: ja jestem Thalia, a to są Annabeth i Percy. Jesteśmy w ósmej klasie.

Nauczyciel zmróżył dwukolorowe oczy. Nie miałem pojęcia co Thalia knuje. Teraz pewnie zostaniemy dodatkowo ukarani za kłamstwo i dopiero wtedy wyrzu-ceni na śnieg. Ale mężczyzna najwyraźniej się zawahał.

Spojrzał na swoją koleżankę.

- Panno Utschniack, czy zna pani tych urwisów?

Pomimo niebezpieczeństwa ledwo powstrzymałem się od śmiechu. Nauczycielka o nazwisku Uczniak? On chyba żartował.

Kobieta zamrugła powiekami, jakby ktoś właśnie wyrwał ją z transu.

- No... tak. Tak mi się wydaje. - Zmrużyła oczy, przyglądając się nam. - Annabeth, Thalia i Percy. Czemu nie jesteście w sali gimnastycznej?

Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć, usłyszałem kolejne kroki i na horyzoncie pojawił się zadyszany Grover.

- Jesteście! Udało się wam...

Zatrzymał się jak wryty na widok nauczycieli.

- Och, pani Utschniack... Panie Cierniak! Ja tylko...

- O co chodzi panie Underwood? - przerwał mu mężczyzna. Po tonie jego głosu można było poznać, że nie znosi Grovera. - Co pan rozumie przez: udało im się? Przecież ci uczniowie tu mieszkają.

Grover przełknął ślinę.

- Tak, proszę pana. Oczywiście, panie Cierniak. Chodziło mi o to, że się cieszę, że udał im się poncz na tańce! Jest wspaniały! To oni go zrobili!

Pan Cierniak rzucił nam wściekłe spojrzenie. Uznałem, że jedno z jego oczu musi być sztuczne. Brązowe? Niebieskie? Wyglądał tak, jakby miał ochotę zrzucić nas z najwyższej wieży zamku, ale w tej chwili pani Utschniack odezwała się rozmarzonym tonem:

- O tak, poncz jest wyśmienity. A teraz jazda, wszyscy! Macie więcej nie opuszczać sali gimnastycznej!

Nie czekaliśmy, aż powie to dwa razy. Pobiegliśmy przed siebie, rzucając po drodze kilka "tak, psze pani" i "tak, panie psorze" i salutując na wiwat, po prostu dlatego że wydało nam się to właściwe.

Grover poprowadził nas korytarzem w kierunku, z którego dobiegała muzyka.

Czułem na plecach wzrok nauczycieli, ale podszedłem blisko Thalii i zapytałem szeptem:

- Co to była za sztuczka z pstrykaniem palcami?

- Masz na myśli Mgłę? Chejron jeszcze cię tego nie nauczył?

Poczułem nieprzyjemne ściśnięcie w gardle. Chejron był naszym głównym nauczycielem w obozie, ale nigdy mi nic takiego nie pokazał. Dlaczego Thalii tak, a mnie nie?

Grover skierował się ku szkarłatnym drzwiom z napisem WF. Jakoś udało mi się to odcyfrować pomimo dysleksji.

- O mały włos! - powiedział Grover. - Bogom niech będą dzięki, żeście się tu dostali!

Annabeth i Thalia uściskały go. Ja przybiłem z nim piątkę.

Miło było widzieć go po tylu miesiącach. Urósł nieco i miał już trochę gęstszy zarost, ale poza tym wyglądał tak samo jak zawsze, kiedy udaje człowieka - czerwona czapeczka na kędzierzawych brązowych włosach, ukry-wająca kozie różki, workowate dzinsy i sportowe buty ze sztucznymi stopami dla zamaskowania włochatych nóg i kopyt. Poza tym miał na sobie czarny podkoszulek z napisem, którego odczytanie sprawiło mi niejaki kłopot. Było tam napisane: WESTOVER HALL: JESTEŚ ZEREM. Nie bardzo rozumiałem o co chodzi: czy jest to stopień Grovera, czy może po prostu dewiza szkoły.

- Czemu to takie ważne? - zapytałem.

Grover wziął głęboki wdech.

- Znalazłem dwójkę.

- Dwójkę herosów? - zapytała Thalia z podziwem. - Tutaj?

Mój przyjaciel przytaknął.

Znalezienie jednego dziecka półkrwi było rzadkością. W tym roku Chejron zmobilizował wszystkich satyrów i rozesłał ich po całym kraju, żeby przeszukiwali szkoły od czwartej klasy wzwyż w nadziei znalezienia nowych rekrutów. Czasy były ciężkie.

Traciliśmy obozowiczów. Potrzebowaliśmy wszystkich wojowników, jakich dało się znaleźć. Problem w tym, że na świecie nie ma aż tak wielu półbogów.

- Brat i siostra - powiedział Grover. - Dziesięć i dwanaście lat. Nie mam pojęcia kim są ich rodzice, ale są potężni. Sęk w tym, że nie mamy czasu. Potrzebuję pomocy.

- Potwory?

- Jeden. - Grover był przerażony. - Ale coś podejrzewa. Jeszcze nie jest pewny, ale dziś ostatni dzień semestru. Na bank nie pozwoli im ot tak wyjechać ze szkoły, będzie chciał się upewnić. Dzisiaj może być nasza ostatnia szansa! Jak tylko się do nich zbliżam, on zawsze jest w pobliżu, blokuje mnie. Nie mam pojęcia, co zrobić!

Grover spojrzał z rozpaczą na Thalię. Usiłowałem nie brać tego do siebie - dawniej zwracał się do mnie po pomoc, ale Thalia jest ode mnie ważniejsza. Nie tylko dlatego, że jej ojcem jest Zeus. Ona jest z nas wszystkich najbardziej doświadczona w walce z potworami włóczącymi się po prawdziwym świecie.

- Dobra - powiedziała. - Ci herosi są na tańcach?

Grover przytaknął.

- No to chodźmy zatańczyć - oznajmiła. - A kto jest potworem?

- Och - odpowiedział Grover, rozglądając się z niepokojem. - Właśnie go poznaliście. To zastępca dyrektora, pan Cierniak.

W szkołach wojskowych zabawne jest to, że uczniowie zupełnie szaleją, kiedy tylko jest okazja, żeby zdjąć mundur.

Podejrzewam, że to z powodu żelaznej dyscypliny przy każdej innej okazji - muszą sobie to wynagrodzić z nawiązką coś w tym rodzaju.

Po podłodze sali gimnastycznej toczyły się czarne i czerwone balony, a chłopcy tłukli się nimi nawzajem po twarzach. Inni usiłowali się wzajemnie podusić zwisającymi ze ścian serpentynami. Dziewczyny jak zwykle przechadzały się po sali w grupkach. Miały mocny ma-kijaż, podkoszulki na wąskich ramiączkach, kolorowe spodnie i buty, który wyglądały jak narzędzia tortur. Co jakiś czas rzucały się na któregoś nieszczęsnego chłopaka niczym ławica piranii, krzycząc i chichocząc, a kiedy wreszcie zostawiały go w spokoju, biedak miał we włosach wstążki, a na twarzy szminkowe graffiti. Niektórzy ze starszych chłopaków zachowywali się mniej więcej tak jak ja - przemykali pod ścianami sali, usiłując się schować, jakby w każdej chwili groziła im walka na śmierć i życie. Oczywiście mnie naprawdę groziła...

- To oni. - Grover ruchem głowy wskazał dwójkę młodszych dzieciaków, które siedziały na ławkach, dyskutując zawzięcie. - Bianca i Nico di Angelo.

Dziewczynka miała na głowie miękką zieloną czapkę i wyglądało na to, że ukrywa twarz. Chłopiec musiał być jej młodszym braciszkiem. Oboje mieli ciemne, jedwabiste włosy i oliwkową cerę, no i gestykulowali żwawo podczas rozmowy. Chłopak przekładał w rękach jakieś karty kolekcjonerskie. Jego siostra chyba go za coś ganiła. Rozglądała się ciągle dookoła, jakby wyczuwała, że coś jest nie w porządku.

- Czy oni... - odezwała się Annabeth. - To znaczy, powiedziałaś im?

Grover pokręcił przecząco głową.

- Wiesz, jak to jest. To mogłoby ich narazić na większe niebezpieczeństwo. Kiedy uświadomią sobie, kim są, będzie ich łatwiej wyczuć.

Spojrzał na mnie, więc przytaknąłem. Nigdy nie zrozumiałem

do końca, czym jest ten "zapach" herosów dla potworów i satyrów, ale wiedziałem, że ten trop może być dla nas śmiertelny. A im potężniejszym hero-sem się stajesz, tym bardziej pachniesz dla potwora jak obiad.

- No to zabierajmy ich i wiejmy stąd - powiedziałem.

Ruszyłem przed siebie, ale Thalia położyła mi dłoń na ramieniu. Wicedyrektor Cierniak przystanął w drzwiach położonych w pobliżu ławek, niedaleko rodzeństwa di Angelo, i kiwał w naszym kierunku głową z chłodnym wyrazem twarzy. Jego błękitne oko jakby się rozjarzyło.

Sądząc po jego minie sztuczka Thalii z Mgłą nie oszukała go w najmniejszym stopniu. Podejrzewał, kim jesteśmy. Czekał tylko na to, żeby się dowiedzieć, po co się tu znaleźliśmy.

- Nie patrzcie na te dzieci - poleciła nam Thalia. - Musimy poczekać na okazję, żeby je porwać. Będziemy udawać, że wcale nas nie interesują. Spróbujemy zbić go z tropu.

-Jak?

- Jesteśmy trójką potężnych herosów. Nasza obecność powinna go zmylić. Wmieszajmy się w tłum. Zachowujmy się naturalnie. Potańczmy. Ale cały czas uważajmy na te dzieci.

- Mamy tańczyć? - spytała Annabeth.

Thalia przytaknęła. Przechyliła głowę, żeby przysłuchać się muzyce, i się skrzywiła.

- Łeee. Kto puścił Backstreet boys?

Grover zrobił urażoną minę.

-Ja.

- Na bogów, Grover, to przecież obciach. Nie mogłeś puścić jakiegoś Green Daya czy czegoś w tym rodzaju?

- Green-czego?

- Okej. Zatańczmy.

- Przecież ja nie umiem tańczyć!

- Dasz radę, jeśli ja poprowadzę - odpowiedziała Thalia. -
Chodź kozłonogu.

Grover jęknął, kiedy chwyciła go za rękę i poprowadziła na parkiet. Annabeth się uśmiechnęła.

- O co chodzi? - spytałem.

- O nic. Po prostu fajnie, że Thalia jest znów z nami.

Annabeth przerosła mnie od ostatniego lata, co trochę mnie irytowało. Dawniej nie nosiła żadnej biżuterii oprócz naszyjnika Obozu Herosów, ale teraz miała w uszach niewielkie srebrne kolczyki w kształcie sów - symbole jej matki. Ściągnęła narciarską czapkę i długie jasne włosy opadły jej na ramiona. Wydawała się starsza.

- No... - usiłowałem wymyślić, co by tu powiedzieć.

Zachowujmy się naturalnie, powiedziała Thalia. Kiedy jest się herosem w czasie zadania, co u licha może być naturalne? -
Udało ci się ostatnio zaprojektować jakiś fajny budynek?

Oczy Annabeth rozbłysły, jak zawsze kiedy była mowa o architekturze.

- Och, bogowie, Percy. W mojej nowej szkole mogę wybrać jako przedmiot dodatkowy projektowanie trójwymiarowe, a poza tym jest ten świetny program komputerowy.

Zaczęła mi opowiadać o wielkim pomniku, który chciałyby wybudować w Strefie Zero na Manhattanie. Rozgadała się na temat rozwiązań strukturalnych, fasady i takich tam, a ja starałem się słuchać. Wiedziałem, że Annabeth marzyła o tym, aby kiedyś zostać wielkim architektem - kochała matematykę i zabytkowe budowle, i tak dalej - ale średnio rozumiałem, o czym mówiła. Po prawdzie byłem nieco rozczarowany, słysząc, że tak bardzo lubi swoją nową szkołę. Po raz pierwszy uczyła

się w Nowym Jorku, miałem więc nadzieję, że będziemy się częściej spotykać. Była to szkoła z interna-tem na Brooklynie, do której chodziły obie z Thalią, położona na tyle blisko Obozu Herosów, żeby Chejron mógł im pomóc w razie jakichś kłopotów. Ale ponieważ to była szkoła tylko dla dziewczyn, a ja chodziłem do zwykłego gimnazjum na Manhattanie, rzadko się widywaliśmy.

- No, super - powiedziałem. - Czyli zostajesz na resztę roku, tak?

Spochmurniała.

- Nie wiem. Może, jeśli nie...

- Hej! - zawołała do nas Thalia. Snuła się w rytm ckliwej balladki z Groverem, który nieustannie deptał samemu sobie po stopach, kopał Thalię w łydki i wyglądał jakby umierał ze wstydu. Przynajmniej miał sztuczne stopy. W przeciwieństwie do mnie miał jakieś usprawiedliwienie bycia niezdara. - Tańczcie! - rozkazała. - Wyglądacie głupio, jak tak stoicie.

Spojrzałem nerowo na Annabeth, a następnie na grupki dziewcząt krążące po sali.

- Co? - spytała Annabeth.

- Ekhem, kogo powinienem poprosić?

Dała mi kuksańca w żebro.

- *Mnie*, Glonomóżdżku.

- Och. No tak.

Weszliśmy więc na parkiet, a ja zacząłem zerkać w stronę Thalii i Grovera, żeby zobaczyć, co właściwie robią. Położyłem jedną dłoń na biodrze Annabeth, a ona chwyciła moją drugą rękę tak, jakby chciała mnie przewrócić.

- Nie ugryzę cię. - powiedziała. - No nie, Percy. Czy w twojej szkole nie ma potańcówek?

Nie odpowiedziałem. Prawdę mówiąc, są. Aleja nigdy tak

naprawdę nie *tańczyłem*. Należę do tych chłopaków, którzy na takich imprezach pokątnie grają w kosza.

Przez parę minut suwaliśmy nogami po parkiecie. Usiłowalem koncetrować się na drobiazgach: serpentynach i misie z ponczem, byle tylko nie myśleć o tym, że Anna-beth jest ode mnie wyższa, że poca mi się dłonie, co musi być dość obrzydliwe, no i że wciąż depczę jej po stopach.

- Co takiego zaczęłaś mówić wcześniej? - spytałem. - Masz jakieś kłopoty w szkole czy coś takiego?

Zacisnęła usta.

- Nie. Chodzi o mojego tatę.

- Yyy? - Znałem rodzinne układy Annabeth. - Myślałem, że jakoś się wam ułożyło. Znowu kłopoty z macochą?

Westchnęła.

- Postanowił się przeprowadzić. Kiedy tylko w miarę się przyzwyczaiłam do Nowego Jorku, on musiał przyjąć tę głupią nową pracę i zająć się szukaniem materiałów do książki o I wojnie światowej. W San Francisco!

Powiedziała to takim tonem jakby mówiła *Równina Kar* albo *strój gimnastyczny Hadesa*.

- I pewnie chciałby żebyś się tam z nim przeprowadziła? - spytałem.

- Na drugi koniec kraju - powiedziała markotnie. - A poza tym herosi nie mogą mieszkać w San Francisco. Powinieneś o tym wiedzieć.

- Że co? Dlaczego?

Annabeth przewróciła oczami. Może myślała, że żartuję.

- Przecież wiesz. To jest dokładnie *tam!*

- Aha - odpowiedziałem. Nie miałem pojęcia, o czym mówiła, ale nie chciałem wyjść na głupka. - W takim razie co... Wrócisz do obozu czy jak?

- Sprawa jest poważniejsza, Percy. Chyba... Chyba powinnam ci coś powiedzieć.

Nagle zamarła.

- Gdzie oni są?

- Że co?

Podążyłem za jej wzrokiem. Ławki. Dwoje małych herosów, Bianca i Nico, zniknęli. Drzwi w pobliżu ławek były szeroko otwarte. Pana Czerniaka też nigdzie nie było widać.

- Musimy powiadomić Thalię i Grovera! - Annabeth zaczęła się nerwowo rozglądać. - Gdzie ich poniosło? Chodź!

Szybkim krokiem ruszyła w tłum. Chciałem iść za nią, ale otoczyła mnie grupka dziewczyn. Udało mi się wy-manewrować tak, że uniknąłem wstążek i szminki, jednak kiedy się uwolniłem, Annabeth zniknęła. Zato-czyłem pełne koło, usiłując znaleźć ją, Thalię lub Grovera. Zamiast któregoś z nich dostrzegłem widok, który zmroził mi krew.

Jakieś piętnaście metrów ode mnie na podłodze sali gimnastycznej leżała miękka zielona czapeczka, taka sama, jaką miała na głowie Bianca di Angelo. Obok zobaczyłem rozsypane karty kolekcjonerskie. W tej samej chwili mignął mi przed oczami pan Czerniak. Wychodził pośpiesznie przez przeciwległe drzwi sali gimnastycznej i prowadził rodzeństwo di Angelo, trzy-mając ich za karki jak kocięta.

Nadal nie zlokalizowałem Annabeth, ale wiedziałem, że musi być po przeciwnej stronie sali, szukając Thalii i Grovera.

Miałem już biec za nią, kiedy przyszło mi coś do głowy.
Moment.

Przypomniało mi się to, co powiedziała mi jeszcze na korytarzu Thalia. Patrzyła na mnie ze zdumieniem, kiedy zapytałem o tę sztuczkę z pstrykaniem palcami. *Chejron jeszcze cię tego nie nauczył?* Pomyślałem o tym, jak Grover zwrócił się

do niej w nadziei, że wymyśli coś, co nas uratuje.

Nie żebym nie lubił Thalii. Ona jest spoko. To nie jej wina, że jej ojcem jest Zeus i dlatego wszyscy jej nadska-kują... Ale przecież nie muszę do niej biegać z każdym problemem. Poza tym nie było czasu. Rodzeństwo di Angelo znalazło się w tarapatach. Zanim znajdę moich przyjaciół, oni mogą zniknąć. Znam dobrze potwory. Dam sobie radę sam.

Wyciągnąłem Orkana z kieszeni i ruszyłem biegiem za panem Cierniakiem.

Drzwi prowadziły na ciemny korytarz. Usłyszałem przed sobą szuranie, a następnie pełen bólu jęk. Odetka-łem Orkana.

Długopis rósł w mojej dłoni i w końcu trzymałem długi na ponad pół metra spizowy grecki miecz z oprawną w skórę rękojeścią. Ostrze zajaśniało słabo, rzucając słabe światło na rzędy szafek.

Pobiegłem korytarzem, ale kiedy dotarłem na jego drugi koniec, nikogo tam nie było. Otwarłem drzwi i znalazłem się z powrotem w holu wejściowym. Byłem kompletnie skołowany. Nigdzie nie widziałem pana Cierniaka, ale po drugiej stronie holu dostrzegłem dzieciaki di Angelo. Stały bez ruchu, zdrętwiałe z prze-rażenia, i wpatrywały się prosto we mnie.

Podchodziłem powoli, opuszczając czubek miecza.

- Nie bójcie się. Nie skrzywdzę was.

Nie odpowiedzieli. Ich oczy były pełne lęku. O co tu chodziło? Gdzie był pan Cierniak? Może wyczuł obecność Orkana i się wycofał? Potwory nienawidzą broni wyko-nanej z niebiańskiego spiżu.

- Mam na imię Percy - powiedziałem, usiłując zachować spokój. - Zabiorę was stąd w jakieś bezpieczne miejsce.

Bianca otworzyła szeroko oczy. Zacisnęła pięści. Za późno się zorientowałem, co oznacza jej spojrzenie. Ona się mnie nie bała.

Chciała mnie ostrzec.

Obróciłem się natychmiast i w tym samym momencie coś przeleciało ze *ŚWISSSTEM* obok mnie. Poczulem ostry ból w barku. Jakaś siła jak ogromna dłoń uderzyła mnie i popchnęła w tył, rzucając mną o ścianę.

Ciąłem mieczem, ale nie bardzo było w co celować.

W holu rozległ się echem lodowaty śmiech.

- Tak, Perrrhseuszuuu Jacksonieeee - odezwał się pan Cierniak, znów akcentując ostatnie sylaby - Wiem, kim jesteś.

Usiłowałem uwolnić ramię. Kurtkę i koszulę miałem przygwożdżone do ściany jakimś ostrzem - czymś, co wyglądało jak czarny latający sztylet długi na prawie trzy-dzieści centymetrów. Ostrze przecięło ubranie i drasnęło mnie w ramię; rana piekła. Kiedyś już coś podobnego czułem. Trucizna. Zmusiłem się do koncentracji. *Nie zemdleję.*

W tej samej chwili zbliżyła się ku nam ciemna sylwetka. Pan Cierniak wyszedł w przycmione światło. Nadal miał ludzki wygląd, ale jego twarz stała się upiorna. Miał idealnie białe zęby, a w brązowo-niebieskich oczach odbijała się poświata mojego miecza.

- Dziękuję, że wyszedłeś z sali gimnastycznej - powiedział - Nienawidzę gimnazjalnych potańcówek.

Ponownie zamachnąłem się mieczem, ale on pozostał minimalnie poza moim zasięgiem.

ŚWISSST! Zza pleców pana Cierniaka wystrzelił drugi pocisk. Nauczyciel nawet się nie poruszył. Było to tak, jakby za nim czaił się ktoś niewidzialny i miotał nożami.

Stojąca tuż koło mnie Bianca krzyknęła. Drugi cień wbił się w kamienną ścianę dwa centymetry od jej twarzy.

- Cała trójka pójdzie za mną - zakomenderował pan Cierniak. - Powoli. Posłusznie. Najmniejszy hałas, prhóba

wołania o pomoc albo walki, a przekonacie się na własnej skórze, jak celnie potrafię rzucaaać.

ROZDZIAŁ II

ZASTĘPCY DYREKTORA WYRASTA WYRZUTNIA RAKIET

Nie miałem pojęcia, jakim potworem jest pan Cierniak, ale jedno było pewne: jakimś szybkim.

Może byłbym w stanie się obronić, gdybym uruchomił moją tarczę. Wystarczyłoby dotknąć zegarka. Ale obrona dzieci di Angelo to zupełnie inna sprawa. Potrzebowa-łem wsparcia, a znałem tylko jeden sposób, żeby je uzyskać.

Zamknąłem oczy.

- Co ty wyprhawiasz, Jackson? - syknął pan Cierniak. -
Rhuszaj się!

Otworzyłem oczy i poczłapałem dalej.

- Boli mnie ramię - poskarżyłem się, usiłując za-brzmieć żałością. - Koszmarnie.

- Ba! Mój jad jest bolesny. Ale nie umrzesz od niego. Idź.

Cierniak prowadził nas na zewnątrz, a ja starałem się skupić. Wyobraziłem sobie twarz Grovera. Skoncentro-wałem się na poczuciu strachu i zagrożenia. Ostatniego lata Grover stworzył

empatyczne łączy między nami. Wysyłał mi w snach wizje, w których przekazywał, że znajduje się w niebezpieczeństwie. O ile wiedziałem, byliśmy nadal połączeni w ten sposób, ale nigdy dotychczas nie próbowałem nawiązać z nim kontaktu. Nie miałem nawet pojęcia, czy to działa, jeśli nie będzie spał.

Hej, Grover! - pomyślałem. - Cierniak nas porwał! To świr strzelający jadowitymi kolcami! Pomocy!

Cierniak prowadził nas do lasu zaśnieżoną ścieżką, ledwie oświetloną staroświeckimi latarniami. Ramię bolało. Wiatr przewiewał moje podarte ubranie i czułem się jak sople lodu.

- Przed nami jest polana - oznajmił Cierniak. - Stamtąd wezwiemy transport.

- Jaki transport? - zapytała Bianca. - Dokąd nas pan zabiera?

- Zamknij się, ty nieznośna dziewczyno!

- Proszę tak nie mówić do mojej siostry - powiedział Nico.

Głos mu drżał ale i tak byłem pod wrażeniem, że w ogóle się odezwał.

Pan Cierniak wydał pomruk, który z pewnością nie był ludzki. Od tego dźwięku dostałem gęsiej skórki, ale zmusiłem się do tego, żeby iść dalej, i udawałem potulnego jeńca. Cały czas jednak wysyłałem rozpaczliwe myśli -cokolwiek, byle zwrócić uwagę Grovera: *Grover! Jabłka! Gruszki! Puszki! Rusz swój włochaty tyłek i przyprowadź tu ciężkozbrojnych przyjaciół!*

- Stac! - zakomenderował Cierniak.

Przed nami las się przerzedzał. Dotarliśmy do nadmorskiego urwiska. A w każdym razie *wyczuwałem*, że gdzieś tam dziesiątki metrów poniżej nas jest morze. Słyszałem szalejące fale, czułem w powietrzu zimną, słoną bryzę. Widziałem jednak tylko mgłę i ciemność.

Pan Cierniak popchnął nas ku krawędzi. Potknąłem się, ale

Bianca mnie złapała.

- Dziękuję - wymamrotałem.

- Czym on jest? - szepnęła. - Jak mamy z nim walczyć?

- Ja... usiłuję coś wymyślić.

- Boję się - powiedział niewyraźnie Nico. Obracał w palcach jakiś przedmiot: wyglądało to na małą metalo-wą figurkę żołnierzyka.

- Nie gadać! - krzyknął pan Cierniak. - Do mnie zwrhot!
Odwróciliśmy się.

Jego dwubarwne oczy błyszczały żarłocznie. Wyciąg-nął coś spod poły płaszcza. Z początku myślałem, że to scyzoryk, ale to był tylko telefon. Nacisnął coś z boku i powiedział:

- Przesyłka... gotowa do odbioru.

Słychac było zniekształconą odpowiedź i uświadomi-łem sobie, że Cierniak gada przez telefon. Wydało mi się to zdecydowanie zbyt nowoczesne i dziwaczne - potwór posługujący się komórką.

Zerknąłem za siebie, zastanawiając się, jak wysoki może byc ten klif.

Wicedyrektor wybuchnął śmiechem.

- Ależ prhoszę barhdzo, Synu Posejdona. Skacz! Tam jest morze. Urhatuj się.

- Jak on cię nazwał? - szepnęła Bianca.

- Później ci wytłumaczę - odpowiedziałem.

- Bo masz jakiś plan, tak?

Grover! - pomyślałem rozpaczliwie. - *Chodź tutaj!*

Może zdołałbym przekonać obojga di Angelo, żeby sko-czyli razem ze mną do oceanu. Jeśli przeżylibyśmy upa-dek, mógłbym użyć wody, żeby nas ochroniła. Zdarzało mi się już robić takie rzeczy. Jeśli mój tato miałby dobry humor i akurat słuchał, to może by pomógł. Może.

- Zabiję cię, zanim dolecisz do wody - oznajmił pan Cierniak, jakby czytał w moich myślach. - Nie masz pojęcia, kim ja jestem, prawda?

Dostrzegłem w nim jakieś poruszenie i kolejny pocisk świsnął tak blisko mnie, że drasnął mnie w ucho. Coś wyskoczyło zza pana Cierniaka - wyglądało jak katapul-ta, ale było elastyczne, jakby... ogon.

- Niestety - westchnął. - mam was dostarczyć ży-wych, o ile to możliwe. Gdyby nie to, już byście nie żyli.

- Komu ma nas pan dostarczyć? - spytała Bianca. - Bo jeśli ma pan nadzieję na okup, to się pan myli. My nie mamy rodziny. Nico i ja... -jej głos załamał się nieznacznie. - Mamy tylko siebie.

- Ha - powiedział pan Cierniak. - Nie martwcie się, dzieciaczki. Lada moment spotkacie się z moim prhaco-dawcą. A wtedy będziecie mieli całkiem nową rhodzinę.

- Luke - rzuciłem. - Pracuje pan dla Luke'a.

Usta Cierniaka wykrzywiły się w grymasie niesmaku, kiedy wymieniłem imię mojego nieprzyjaciela - i niegdy-siejszego kumpla, który już kilkakrotnie próbował mnie zabić.

- Nie masz pojęcia, co jest grhane, Perhseuszu Jacksonie. Niech sam Generhał cię oświeci. Dziś wyrzą-dzisz mu wielką przysługę. On nie może się doczekać spotkania z tobą.

- Generał? - zapytałem i uświadomiłem sobie, że wymówiłem to słowo z francuskim akcentem. - To znaczy... kim jest Generał?

Cierniak spoglądał w stronę horyzontu.

- O, już jest. Oto wasz środek trhansportu.

Odwróciłem się i dostrzegłem w oddali światło refle-ktora przeszukującego morze. Chwilę później usłysza-łem coraz głośniejszy, zbliżający się warkot śmigieł helikoptera.

- Dokąd nas pan zabiera? - spytał Nico.

- Powinieneś czuć się zaszczycony, mój chłopcze. Będiesz miał okazję dołączyć do wielkiej armii! Jak w tej głupiej grze z karhtami i laleczkami.

- To nie są laleczki! To są figurki! A poza tym może pan sobie tę swoją wielką armię...

- No, no - ostrzegł go pan Cierniak. - Zmienisz jeszcze zdanie, chłopcze. A jeśli nie, to... No cóż, istnieją inne zastosowania dla herosów. Mamy wiele potworhnych gęb do wykarhmienia. *Zbliża się Wielkie Gotowanie.*

- Wielkie co? - zapytałem. Byle tylko nie przestawał gadać, podczas gdy ja usiłowałem wymyślić jakiś plan.

- Potworhy gotują światu coś ciekawego. - uśmiechnął się złowrogo. - Najgorhsze i najpotężniejsze z nich wła-śnie się budzą. Potworhy, których nie widziano od tysiący lat. Przyniosą śmierć i zniszczenie, jakiego śmierhtelnicy dotychczas nie widzieli. A wkrhótce będzie wśród nas najważniejszy z potworhów - ten który sprhowadzi zagładę na Olimp!

- Oookej - szepnęła do mnie Bianca. - Całkiem mu odbiło.

- Musimy skoczyć z klifu - powiedziałem do niej cicho. - Do morza.

- Super pomysł. Tobie też całkiem odbiło.

Nie dyskutowałem z nią, ponieważ dokładnie w tej chwili uderzyła we mnie jakaś niewidzialna siła.

Jak się na to patrzy z perspektywy, to trzeba przyznać, że pomysł Annabeth był wyśmienity. Z bejsbolówką nie-widkąną głowie wpadła na rodzeństwo di Angelo i mnie, rzucając nas na ziemię. Przez ułamek sekundy pan Cierniak był zbity z tropu,

toteż pierwszy grad pocisków przemknął nad naszymi głowami. Dało to Thalii i Groverowi możliwość zajścia go od tyłu. Dziewczyna miała swą magiczną tarczę, Egidę.

Jeśli nie widzieliście Thalii ruszającej do boju, to nigdy naprawdę się nie baliście. Używa ogromnej włóczni, wyrastającej z kieszonkowej puszkii gazu łoża-wiącego, ale nie to jest najbardziej przerażające. Jej tarcza została wykonana na wzór tej, którą posługuje się jej tato, Zeus, i która jest darem Ateny i też nazywa się Egida. W jej spiżu wyrzeźbiono głowę gorgony Meduzy i choć nie zamienia ona patrzącego w kamień, jest tak straszliwa, że większość ludzi w panice ucieka na sam jej widok.

Nawet pan Cierniak skrzywił się i zawarczał.

Thalia ruszyła do przodu z uniesioną włócznią.

- W imię Zeusa!

Myślałem, że już po wicedyrektorze. Thalia dźgnęła go w głowę, ale on tylko warknął i odepchnął włócznię. Jego ręka zmieniła się w zwierzęcą pomarańczową łapę o ogromnych pazurach, które skrzesały iskry z jej tarczy, kiedy w nią uderzyły. Gdyby nie Egida, moja przyjaciółka zostałaby rozplątana jak bochenek chleba. Ona jednak zdołała odskoczyć do tyłu i wylądować na obu nogach.

Warkot helikoptera za moimi plecami stawał się coraz głośniejszy, ale nie odważyłem się odwrócić.

Pan Cierniak zasypał Thalię kolejną porcją pocisków i tym razem udało mi się zobaczyć, jak on je wystrzela. Miał ogon-skórzasty, podobny do skorpioniego, najeżony na końcu kolcami. Egida odbijała pociski, ale sama ich siła w końcu przewróciła Thalię.

Grover skoczył do przodu. Przyłożył do warg swoje piszczalki z trzciny i zaczął grać - była to szalona melodia, do której

pewnie z ochotą zatańczyliby piraci. Przez śnieg przebiły się żdzbla trawy. W ciągu kilku sekund wokół nóg pana Cierniaka wiły się chwasty grube jak powrozy, krępując jego ruchy. Potwór zaryczał i zaczął zmieniać kształt. Rósł coraz większy, aż wreszcie osiągnął swoją prawdziwą formę - twarz miał nadal ludzką, ale ciało przypominało ogromnego lwa. Jego nadziany kolcami ogon rozsyłał ciernie na wszystkie strony.

- Mantikora! - zawołała Annabeth, stając się widzia-łna. Jej magiczna bejsbolówka Jankesów spadła, kiedy Annabeth się na nas rzuciła.

- *Kim* wy jesteście? - zapytała Bianca di Angelo. - I czym jest *to*?

- Mantikora? - jęknął Nico. - Ma trzy tysiące do ataku plus pięć do celności!

Nie miałem pojęcia, o czym mówił, ani czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Mantikora podarła Groverowe chwasty na strzępy i zwróciła się do nas z rykiem.

- Na ziemię! - Annabeth rzuciła rodzeństwo na śnieg. W ostatniej chwili przypomniałem sobie o mojej tarczy. Pstryknąłem w zegarek, którego metalowa koperta rozwinęła się w gruby spizowy puklerz. Mało brakowało, a byłoby za późno. Kolce uderzyły o osłone z taką mocą, że wgniotły metal. Moja piękna tarcza, prezent od brata, została paskudnie uszkodzona. Nie byłem pewny, czy w ogóle zdoła powstrzymać kolejny grad pocisków.

Usłyszałem *trzask* i jęk i koło mnie z głuchym uderzeniem wylądował Grover.

- Poddajcie się! - ryknął głośno potwór.

- Nigdy! - odkrzyknęła Thalia z drugiej strony polany.

Zaatakowała bestię i przez moment wydawało mi się, że ją

przebije na wylot. Ale chwilę później rozległ się huk i za nami pojawiło się światło reflektorów. Z mgły wyłonił się helikopter, unosząc się nad samymi klifami. Był to smukły wojskowy śmigłowiec z przyczepionymi do boków urządzeniami, które wyglądały jak sterowane laserowo rakiety. Maszynę musieli pilotować śmiertelnicy, ale co ona tu robiła? Jakim cudem śmiertelnicy współpracowali z potworem? Reflektor oślepił Thalię a mantikora odepchnął ją na bok ogonem. Egida poleciała w śnieg. Włócznia poszybowała w przeciwnym kierunku.

- Nie! - Pobiegnę jej na pomoc. Odparowałem kolec dokładnie w chwili, kiedy omal nie przebił jej żeber. Uniosłem nad nami tarczę, ale wiedziałem, że to nie wystarczy.

Pan Cierniak wybuchnął śmiechem.

- Widzicie teraz, jakie to beznadziejne? Poddajcie się, mali herosi.

Byliśmy uwięzieni między potworem a w pełni uzbrojonym helikopterem. Nie mieliśmy żadnych szans.

W tej samej chwili usłyszałem czysty, przenikliwy dźwięk: gdzieś w lesie rozległ się głos myśliwskiego rogu.

Mantikora zamarła. Przez moment nikt się nie ruszał. Słychać było tylko szum wirującego wokół nas śniegu i łopot wirników helikoptera.

- Nie - odezwał się Cierniak. - To niemożliwe.

Urwał w pół zdania, kiedy tuż koło mnie przemknęło coś, co wyglądało jak promień księżyca. W ramieniu potwora utkwiała lśniąca przejrzysta strzała.

Zachwiał się, rycząc z bólu.

- Przekłęta! - zawył. Wystrzelił swoimi kolcami - całymmi garściami - ku lasom, skąd przyleciał bełt, ale srebrne pociski odpowiedziały kanonadą. Wyglądało to nie-mal tak, jakby

strzały przechwytywały kolce w powie-trzu i rozdzierały je na dwoje, ale to chyba moje oczy płatały mi figle. Nikt, nawet znane mi dzieci z obozu Apollina, nie strzela aż tak celnie.

Mantikora wyciągnęła strzałę z ramienia, wyjąc z bólu. Jej oddech był ciężki. Zamachnąłem się moim mie-czem, ale przeciwnik nie był aż tak ciężko ranny, jak mi się wydawało. Uskoczył przed atakiem i uderzył ogonem w tarczę, odrzucając mnie na bok.

W tej samej chwili z lasu wyszły łuczniczki. Były to dziewczęta, około tuzina. Najmłodsza mogła mieć jakieś dziesięć lat, a najstarsza chyba czternaście, jak ja. Miały na sobie srebrzyste kurtki narciarskie i dzinsy i wszys-tkie były uzbrojone w łuki. Ruszyły ku mantikorze z zawziętymi minami.

- Łowczynie! - wykrzyknęła Annabeth.

- No, pięknie - wymamrotała tuż koło mnie Thalia.

Nie zdążyłem zapytać, co miała na myśli.

Jedna ze starszych łuczniczek wysunęła się do przodu z napiętą cięciwą. Była wysoka i smukła, ze skórą w lekko miedzianym odcieniu. Tylko ona spośród wszys-tkich dziewcząt nosiła na długich ciemnych włosach srebrną przepaskę, w której wyglądała jak perska księżniczka.

- Zgoda na zabicie, pani?

Nie miałem pojęcia, do kogo się zwróciła, ponieważ wzroku nie spuszczała z mantikory. Potwór zawył.

- To nie w porządku! Bezpośrhednie działanie! To wbrhew Starhożytnym Prhawom!

- Niezupełnie - odezwała się jedna z dziewcząt. Ta była ode mnie nieco młodsza, mogła mieć dwanaście albo trzynaście lat. Miała rude włosy spięte w koński ogon i dziwaczne oczy srebrno-złote jak księżyc. - Polowanie na wszelkie dzikie bestie

należy do mojej dziedziny. A ty, obrzydła kreaturo, jesteś dziką bestią. - Spojrzała na starszą dziewczynę z opaską. - Udzielam zgody, Zoe. Mantikora warknęła.

- Skorho nie mogę mieć ich żywych, będę ich miał martwych!

Skoczyła ku Thalii i mnie, wiedząc, że jesteśmy ogłuszeni i osłabieni.

- Nie! - wrzasnęła Annabeth i rzuciła się w kierunku potwora.

- Cofnij się, córko bogini! - zawołała do niej dziewczyna w przepasce. - Zejdź z linii ognia.

Ale Annabeth wskoczyła już potworowi na grzbiet i wbiła mu sztylet w grzywę. Mantikora ryknęła i zaczęła kręcić się w kółko, wymachując ogonem, podczas gdy Annabeth trzymała się kurczowo jej karku.

- Ognia! - rozkazała Zoe.

- Nie! - krzyknąłem.

Ale łowczynie wypuściły już strzały. Pierwsza trafiła mantikorę w kark. Druga w pierś. Potwór zatoczył się, wyjąc.

- To nie koniec łowczynie! Jeszcze za to zapłacisz!

I zanim ktokolwiek zrobił cokolwiek, potwór - z Anna-beth uczepioną jego karku - skoczył z klifu i runął w ciemność.

- Annabeth! - zawyłem.

Rzuciłem się za nią ale nasi wrogowie nie dawali za wygraną. Od strony helikoptera rozległo się *tratatatata* - odgłos broni maszynowej.

Łowczynie rozpierzchły się, kiedy wokół ich stóp pojawiły się w śniegu wypalone dziury, tylko rudowłosa dziewczyna spojrzała spokojnie na helikopter.

- Śmiertelnikom - oznajmiła - nie wolno oglądać moich łowów.

Wystrzeliła w górę ręką i śmigłowiec rozleciał się w proch -

nie, nie w proch. Czarny metal zamienił się w stado ptaków -kruków, które odleciały w mrok.

Łowczynie podeszły do nas.

Ta, która miała na imię Zoe, zatrzymała się w miejscu na widok Thalii.

- Ty - powiedziała z niesmakiem.

- Zoe Nighshade. - W głosie Thalii pobrzmiwał gniew. - Jak zwykle świetne wyczucie chwili.

Zoe obrzuciła wzrokiem resztę z nas.

- Czwooro herosów i jeden satyr, pani.

- Owszem - powiedziała młodsza dziewczyna - Obozo-wicze Chejrona jak widzę.

- Annabeth! - krzyknąłem. - Musicie ją uratować!

Rudowłosa dziewczyna odwróciła się w moim kierunku.

- Przykro mi, Percy Jacksonie, ale twojej przyjaciółki nie da się uratować.

Usiłowałem podnieść się na nogi, ale kilka dziewczyn przyszpiliło mnie do ziemi.

- Nie masz teraz sił na rzucanie się z urwisk - oznajmiła rudowłosa.

- Puśćcie mnie! - zażądałem. - Co wy sobie wyobrażacie!

Zoe zrobiła krok do przodu, jakby chciała mnie uderzyć.

- Nie - zwróciła się do niej władczo ta druga. - Nie wyczuwam w nim braku szacunku, Zoe. On jest po prostu otumaniony. Nic nie rozumie.

Młodsza dziewczyna spojrzała na mnie; jej oczy były zimniejsze i jaśniejsze od zimowego księżyca.

- Jestem Artemidą - oznajmiła. - Boginią Łowów.

ROZDZIAŁ III

BIANCA DI ANGELO PODEJMUJE DECYZJĘ

Można by pomyśleć, że po tym jak pan Cierniak zamienił się w potwora i runął z klifu wraz z Annabeth, już nic nie byłoby mnie w stanie zaszokować. Ale kiedy ta dwunastolatka oznajmiła mi, że jest boginią Artemidą, zdołałem wydusić z siebie coś tak wielce inteligentnego jak "Yhy... okej".

Ale to i tak nic w porównaniu z Groverem, który wydał z siebie zduszony jęk, po czym szybko ukląkł na śniegu i zaczął zawodzić.

- Dzięki ci, Pani Artemido! Jesteś... Jesteś taka... Rany!

- Wstawaj, kozłonogu - warknęła Thalia. - Masz inne problemy na głowie. Straciliśmy Annabeth!

- Chwilkę - wtrąciła się Bianca di Angelo. - Zaczekaj-cie.
Przerwa w grze.

Spojrzenia wszystkich skierowały się na nią. Ona zaś wskazywała palcem na każdego z nas po kolei, jakby usiłowała rozwiązać łamigłówkę.

- Kim... Kim wy jesteście?

Wyraz twarzy Artemidy złagodniał.

- Lepsze, moja droga, byłoby pytanie kim wy jesteście? Kim są wasi rodzice?

Bianca zerknęła nerwowo na brata, który wciąż wpa-trywał się z zachwytem w Artemidę.

- Nasi rodzice nie żyją- odparła. - Jesteśmy sierotami. Za

naszą szkołę płaci bank ze złożonego w nim funduszu ale...

Głos jej się załamał. Podejrzewam, że patrząc na nasze twarze, uznała, że jej nie wierzymy.

- O co chodzi? - spytała buńczusznie. - Mówię prawdę.

- Toż wyście dzieci półkwi - oznajmiła Zoe Nightshade.

Mówiła dziwacznie, jakby czytała z jakiejś bardzo starej książki.

Na dodatek słowa wymawiała nieco staroświecko. - Jedno z waszych rodziców śmiertelnym jest, drugie zaś -

Olimpijczykiem.

- Olimpijczykiem... To znaczy sportowcem?

- Nie - odparła Zoe. - Bogiem.

- Super! - zawołał Nico.

- Nie! - Głos Bianki drżał. - Wcale nie super.

Nico przestępował z nogi na nogę, jakby bardzo potrzebował do łazienki.

- Czy Zeus naprawdę ma piorun, który daje sześćset do obrażeń? I czy dostaje dodatkowe punkty ruchu za...

- Zamknij się, Nico! - Bianca zakryła twarz dłońmi. - To nie twoja głupia gra w Magię i Mit, okej? Nie ma czegoś takiego jak bogowie!

Mimo że strasznie się bałem o Annabeth - pragnąłem natychmiast ruszyć na poszukiwanie - współczułem też rodzeństwu di Angelo. Pamiętałem, jak sam się czułem, kiedy dowiedziałem się, że jestem półbogiem.

Thalia najwyraźniej czuła coś podobnego, ponieważ gniew pałający w jej oczach złagodniał nieco.

- Bianca, ja wiem, że trudno w to uwierzyć. Ale bogowie są na świecie. Zaufaj mi. Są nieśmiertelni. A kiedy mają dzieci ze śmiertelnymi ludźmi, dzieci takie jak my, to... Nasze życie jest pełne niebezpieczeństw.

- Niebezpieczeństw - powtórzyła Bianca. - Masz na myśli tę

dziewczyne, która spadła? Thalia odwróciła wzrok. Nawet Artemida wyglądała nieswojo.

- Nie tracie nadziei co do Annabeth - powiedziała bogini. - To była dzielna panna. Jeśli da się ją odnaleźć, to ja ją odnajdę.

- Dlaczego w takim razie nie pozwolisz na iść jej szukać? - spytałem.

- Ona odeszła. Nie czujesz tego, synu Posejdona? Działa tu jakaś magia. Nie wiem dokładnie, w jaki sposób i dlaczego, ale wasza przyjaciółka zniknęła.

Nadal miałem ochotę skoczyć z klifu, żeby jej poszukiwać, ale czułem, że Artemida ma rację. Gdyby wylądowała w morzu, pomyślałem, mógłbym poczuć jej obecność.

- Aaa! - Nico podniósł rękę. - A co z panem Cierniakiem? Aleście go fantastycznie ostrzelały! Czy on nie żyje?

- On był mantikorą - odpowiedziała mu Artemida. - Miejmy nadzieję, że na razie został unieszkodliwiony, ale potwory nigdy naprawdę nie umierają. Odtwarzają się w kółko i trzeba na nie polować, kiedy tylko się pojawia.

- Inaczej one zapolują na nas - dorzuciła Thalia.

Bianca di Angelo zadrżała.

- To by tłumaczyło... Pamiętasz, Nico, jak ostatniego lata tamci faceci chcieli na nas napaść w zaułku w Waszyngtonie?

- I ten kierowca autobusu - dodał Nico. - Ten, który miał baranie nogi. *Mówiłem ci; że to prawda.*

- Dlatego właśnie Grover czuwał nad wami - powiedziałem. - Miał zapewnić wam bezpieczeństwo w przypadku, gdybyście się okazali herosami.

- Grover? - Bianca wlepiła w niego wzrok. - Ty jesteś półbogiem?

- Prawdę mówiąc, satyrem - Zrzucił buty i pokazał swoje kozie kopyta. Myślałem, że Bianca zemdleje.

- Wkładaj buty, Grover - zwróciła się do niego Thalia. -
Wystraszyłeś dziewczynę.

- No co, mam czyste kopyta!

- Bianca - powiedziałem - przybyliśmy wam na pomoc. Żeby przeżyć ty i Nico potrzebujecie treningu. Pan Cier-niak nie był jedynym potworem, jakiego spotkacie w życiu. Musicie pojechać do obozu.

- Obozu? - spytała.

- Obozu Herosów - odrzekłem. - To tam uczymy się, jak przeżyć, i tak dalej. Możecie do nas dołączyć i mieszkać tam przez cały rok, jeśli chcecie.

- Ekstra, jedziemy! - zawołał Nico.

- Zaczekaj. - Bianca potrząsnęła głową. - Ja jeszcze...

- Jest jednakowoż inna możliwość - wtrąciła się Zoe.

- Nie, nie ma! - przerwała jej Thalia.

Obie dziewczyny spoglądały na siebie z wściekłością. Nie miałem pojęcia, o czym mówią, ale wyczuwałem, że między nimi zaszło coś nieprzyjemnego. Z jakiegoś powodu szczerze się nawzajem nienawidziły.

- Te dzieci wystarczająco dużo przeszły - oznajmiła Artemida.

- Zoe, odpoczniemy tu kilka godzin. Postawcie namioty.

Opatrzcie rannych. Zabierzcie rzeczy naszych gości ze szkoły.

- Tak, pani.

- A ty, Bianco, chodź ze mną. Musimy porozmawiać.

- A ja? - spytał Nico.

Artemida obrzuciła go spojrzeniem.

- Może pokażesz Groverowi, jak się gra w twoją ulubio-ną grę. Jestem pewna, że on z przyjemnością zajmie się tobą przez chwilę... Może to potraktować jak przysługę dla mnie.

Grover poderwał się tak szybko, że omal nie potknął się o

własne nogi.

- Ależ, oczywiście! Chodź Nico!

Po chwili oddalili się w kierunku lasu, dyskutując o punktach ataku, modyfikatorach uzbrojenia obronnego i tym podobnych dziwactwach. Artemida zabrała kompletnie zdezorientowaną Biankę na spacer wzdłuż urwiska. Łowczynie tymczasem rozpakowywały swoje plecaki i rozbijały obóz.

Zoe rzuciła Thalii jeszcze jedno złowrogie spojrzenie, po czym odeszła, żeby dopilnować dziewczyn.

Gdy tylko się oddaliła, Thalia tupnęła nogą ze złością.

- Ależ one są bezczelne, te Łowczynie! Wydaje im się, że są...
Ech!

- Zgadzasz się z tobą - powiedziałem. - Nie ufam...

- Och zgadzasz się ze mną? - Tym razem Thalia zwróciła swoją złość na mnie. - A co sobie wyobrażałeś w tej sali gimnastycznej, Percy? Że w pojedynkę dasz radę panu Cierniakowi? Wiedziałeś, że jest potworem! Gdy-byśmy trzymali się razem, moglibyśmy pokonać go bez interwencji Łowczyń. Annabeth nie musiałaby zginąć. Przyszło ci to do głowy?

Zacisnąłem zęby. Przychodziło mi do głowy trochę nieprzyjemnych odpowiedzi i nawet odpyskowałbym jej, gdyby mojego wzroku nie przykuło coś niebieskiego, co leżało w śniegu pod moimi stopami. Niebieska bejsbo-lówka Annabeth.

Thalia zamilkła. Otarła łzę z policzka, odwróciła się i pomaszerowała przed siebie, pozostawiając mnie samego nad leżącą w śniegu podeptaną czapeczką.

Łowczynie rozłożyły biwak w kilka minut. Siedem dużych namiotów, wszystkie ze srebrzystego jedwabiu, otaczało pół-

księżycem ognisko. Jedna z dziewczyn zag-wizdała srebrnym gwizdkiem i z lasu wyszedł tuzin bia-łych wilków. *Zaczęły* krążyć wokół obozu niczym psy stróżujące. Łowczynie przechadzały się między nimi, karmiąc je przysmakami, całkowicie bez lęku, ale ja wolałem trzymać się bliżej namiotów. Z drzew obserwo-wały nas sokoły, których oczy błyszczały się w świetle ognia, a ja odniosłem wrażenie, że również one nas strzegą. Nawet pogoda jakby nagięła się do woli bogini. Powietrze było nadal mroźne, ale wiatr osłabł, a śnieg przestał padać, przy ognisku było więc niemal przyjemnie.

Niemal... Jeśli nie liczyć bólu w moim ramieniu i przy-tłaczającego poczucia winy. Nie mogłem uwierzyć, że Annabeth odeszła. I chociaż złościłem się na Thalię, miałem dołujące poczucie, że ona ma rację. To *była* moja wina.

Co Annabeth chciała mi powiedzieć w sali gimnasty-cznej? *Sprawa jest poważniejsza*, powiedziała. A teraz może już nigdy się nie dowiem. Przypomniało mi się jak przetańczyliśmy pół piosenki, i zrobiło mi się jeszcze ciężiej na sercu.

Obserwowałem Thalię krążącą po śniegu na samym skraju obozu, przechadzającą się bez lęku wśród wilków. Zatrzymała się i spojrzała w stronę Westover Hall, które było teraz całkowicie ciemne, tylko mroczna sylwetka wyłaniała się ze wzgórza poza lasem. Zastanawiałem się, o czym mogła myśleć.

Siedem lat temu Thalia została przemieniona w sosnę przez swojego ojca, który w ten sposób uratował ją przed śmiercią. Stawiła czoło armii potworów, na szczycie Wzgórza Herosów, aby dać czas na ucieczkę przyjacio-łom, Luke'owi i Annabeth. Dopiero od kilku miesięcy była na powrót człowiekiem i zdarzało jej się od czasu do czasu stac nieruchomo, że można było pomyśleć, że wciąż jest drzewem.

W końcu jedna z Łowczyń przyniosła mój plecak. Grover i

Nico wrócili z przechadzki i satyr zajął się moim skaleczonym ramieniem.

- Zzieleniało! - oznajmił Nico z zachwytem.

- Nie ruszaj się - powiedział do mnie Grover. - Masz, zjedz trochę ambrozji, a ja oczyszczę ranę.

Skrzywiłem się, kiedy mnie opatrywał, ale kawałek ambrozji pomógł. Smakował jak domowe czekoladowe ciasteczko, rozpływał się w ustach i wypełniał całe ciało falą ciepła. Dzięki ambrozji oraz magicznym maściom Grovera już po paru minutach moja ręka miała się lepiej.

Nico grzebał w swoim plecaku, który musiały wcześnie-niej spakować Łowczynie, choć nie miałem pojęcia, jak im się udało przemknąć niezauważonym do Westover Hill. Wyłożył na śnieg stertę figurek do gry bitewnej - małe repliki greckich bogów i herosów. Rozpoznałem Zeusa z piorunem, Aresa z włócznią i Apollina na słonecznym rydwanie.

-Nieźła kolekcja.

Chłopiec uśmiechnął się promiennie.

- Mam prawie wszystkie, razem z kartami holograficznymi! No, bez kilku rarów.

- Grasz w to od dawna?

- Od tego roku. Wcześniej... - zmarszczył czoło.

- Co? - spytałem.

- Nie pamiętam. To dziwne.

Wyglądał na zaniepokojonego, ale nie trwało to długo.

- Ej może zobaczyć ten twój miecz?

Pokazałem mu Orkan i wytłumaczyłem, że wystarczy odetkać długopis, żeby stał się mieczem.

- Super! Czy w nim kiedyś skończy się atrament?

- Yyy, no, ja w sumie nigdy nim nie piszę.

- I naprawdę jesteś synem Posejdona?

- No, tak.

- W takim razie pewnie świetnie surfujesz?

Spojrzałem na Grovera, który z trudem powstrzymał się od śmiechu.

- Rany, Nico - powiedziałem. - Nigdy nie próbowałem.

Zasypał mnie pytaniami. Czy dużo kłócę się z Thalią, skoro ona jest córką Zeusa? (Nie odpowiedziałem). Skoro matką Annabeth jest Atena, bogini mądrości, to dlaczego Annabeth nie wymyśliła czegoś mądrzejszego niż spadanie z klifu? (Zdołałem powstrzymać się od uduszenia go za to pytanie). Czy Annabeth jest moją dziewczyną? (Po tym pytaniu miałem ochotę włożyć dzieciaka do worka po mięsie i rzucić na pożarcie wilkom).

Uznałem, że lada moment zapyta mnie o statystyki ataku i całkowicie się załamię, ale w tej chwili pojawiła się Zoe Nightshade.

- Percy Jacksonie.

Miała ciemnobrązowe oczy i lekko zadarty nos. Z tą srebrną przepaską i dumnym wyrazem twarzy wyglądała tak królewsko, że musiałem się powstrzymać, żeby nie usiąść prosto i nie powiedzieć "Tak, pani". Przyglądała mi się z niesmakiem, jakbym był koszem z brudną bielizną, który kazano jej przynieść.

- Pójdź ze mną - powiedziała. - Pani Artemida pragnie z tobą rozmawiać.

Zoe doprowadziła mnie do ostatniego namiotu, który nie różnił się niczym od pozostałych, i gestem wskazała, żebym wszedł do środka. Bianca di Angelo siedziała obok tej rudowłosej dziewczyny - wciąż nie mogłem się przyzwycząić do nazywania

jej Artemidą.

W namiocie było ciepło i wygodnie. Podłogę pokrywały jedwabiste dywany i poduszki. W samym środku stał złoty trójnóg, na którym płonął najwidoczniej niczym niezasilany i niedymiący ogień. Za plecami bogini, na stojaku z polerowanego dębowego drewna leżał jej wielki srebrny łuk, wyrzeźbiony tak, że przypominał rogi gazeli. Na ścianach wisiały skóry zwierzęce: czarny niedźwiedź, tygrys i kilka innych, których nie byłem w stanie rozpoznać. Wyobrażałem sobie, że obrońca praw zwierząt dostałby ataku serca na widok tych rzadkich skór, ale może skoro Artemida jest boginią łowów, potrafi uzupełnić wszystko co ustrzeli. Zobaczyłem kolejną skórę, leżącą tuż koło niej, i uświadomiłem sobie, że jest to żywe zwierzę -jeleń o błyszczącej sierści i srebrnych rogach. Jego głowa spoczywała spokojnie na jej kolanach.

- Witaj, Percy Jacksonie.

Usiadłem naprzeciwko niej na podłodze namiotu. Artemida przyglądała mi się, aż poczułem się niepewnie. Miała bardzo dojrzałe oczy jak na tak młodą dziewczynę.

- Dziwi cię mój wiek? - spytała.

- Yyy... Troszkę.

- Mogłabym ci się ukazać jako dorosła kobieta albo płomień, albo też cokolwiek innego, na co miałabym ochotę, ale tę postać lubię najbardziej. To średni wiek moich Łowczyń, oraz wszystkich młodych dziewcząt, których jestem opiekunką, zanim zejdą na złą drogę.

- Zejdą na złą drogę?

- Dorosną. Zaczną się podkochiwać w chłopakach. Staną się głupie, wiecznie czymś zajęte, niepewne. Zapomną o samych sobie.

-Aha.

Zoe usiadła po prawej stronie Artemidy. Wpatrywała się we mnie tak, jakby wszystko to, co właśnie powiedziała bogini, było moją winą, jakbym to ja był pomysłodawcą istnienia facetów.

- Musisz wybaczyć moim Łowczyniom, że nie przyjmują cię z radością - ciągnęła Artemida. - Bardzo rzadko zdarza się nam gościć w obozie chłopaków. Zazwyczaj nie wolno im mieć żadnych kontaktów z Łowczyniami. Ostatni, który widział ten obóz... - Spojrzała na Zoe. - Który to był?

- Tamten chłopak z Kolorado - odpowiedziała Zoe. - Zamieniłaś go w szakalopę.

- Ach, tak. - Artemida przytaknęła z zadowoleniem. - Bardzo lubię stwarzać szakalopy. W każdym razie, Percy, zaprosiłam cię tu, żebyś mi opowiedział więcej o tej mantikorze. Bianca zdała mi relację z pewnych... hmm, niepokojących spraw, o których mówił potwór. Ale ona mogła pewnych rzeczy rzeczy nie zrozumieć. Chciałabym więc usłyszeć wszystko od ciebie. Opowiedziałem jej więc wszystko. Kiedy skończyłem, bogini położyła w zamyśleniu rękę na łuku.

- Takiej właśnie odpowiedzi się obawiałam.

Zoe się wyprostowała.

- Zapach, Pani?

-Tak.

- Jaki zapach? - zapytałem.

- Potwory na które polowałam od tysięcy lat, podnoszą głowy - mruknęła Artemida. - Łup tak stary, że niemal o nim zapomniałam.

Wpatrywała się we mnie z uwagą.

- Przybyliśmy tutaj, wyczuwając mantikorę, ale to nie tego potwora szukam. Powtórz mi dokładnie, co powiedział pan

Cierniak.

- No... "Nienawidzę gimnazjalnych potańcówek".

- Nie, nie. Potem.

- Powiedział, że jakiś Generał ma mi wszystko wytłumaczyć.

Zoe zbladła. Zwróciła się do Artemidy, żeby coś powiedziec, ale bogini uniosła rękę.

- Mów dalej, Percy - poleciała.

- No, a potem Cierniak mówił coś o Wielkim Smażeniu...

- Gotowaniu - poprawiła mnie Bianca.

- Tak. I powiedział: "Wkrótce będzie wśród nas najważniejszy z potworów - ten, który sprowadzi zagładę na Olimp".

Bogini siedziała tak nieruchomo, że równie dobrze mogła być posągiem.

- Może kłamał - dorzuciłem.

Artemida pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie kłamał. Za późno dostrzegłam znaki. Muszę rozpocząć łowy na tego potwora.

Zoe wyglądała tak, jakby bardzo starała się nie bać.

Skinęła głową.

- Ruszymy natychmiast, pani

- Nie, Zoe. Tym razem muszę zapolować sama.

- Ale, Artemido...

- To zadanie jest zbyt niebezpieczne nawet dla Łowczyń.

Wiesz, gdzie muszę rozpocząć poszukiwania. Nie możecie tam ze mną pójść.

- Jak... Jak sobie życzysz, pani.

- Odnajdę tego potwora - przyrzekła Artemida. - I przyprowadzę go z powrotem na Olimp do zimowego przesilenia. To powinno przekonać Radę Bogów, w jakim znaleźliśmy się niebezpieczeństwie.

- Wiesz, czym jest ten potwór? - spytałem.

Zacisnęła palce na łuku.

- Módlmy się, żebym się myliła.

- Boginie mogą się modlić? - spytałem, ponieważ nigdy coś takiego nie przyszło mi do głowy.

Na jej ustach pojawił się przelotny uśmiech.

- Zanim odejdę, Percy Jacksonie, mam dla ciebie małe zadanie.

- Czy w pakiecie jest zamiana w szakalopę?

- Niestety nie. Chcę, żebyś odprowadził Łowczynię do Obozu Herosów. Mogą tam bezpiecznie pozostać dopóki nie wrócę.

- Co? - wybuchła Zoe. - Ależ, Artemido, my nienawidzimy obozu. Ostatnim razem kiedyśmy tam byli...

- Owszem, wiem - odpowiedziała bogini. - Ale jestem przekonana, że Dionizos nie będzie chował urazy z powodu tego małego, och, nieporozumienia. Macie prawo korzystać z domku ósmego, ilekroć jesteście w potrzebie. A poza tym słyszałam, że odbudowali te domki, które spaliłyście. Zoe wymamrotała pod nosem coś o głupich obozowiczach.

- A teraz musimy podjąć jeszcze jedną decyzję - Artemida zwróciła się do Bianki. - Zdecydowałaś się już, moje dziecko?

Bianca się zawahała.

- Wciąż nad tym myślę.

- Zaczekaj - wtrąciłem się - Nad czym myślisz?

- One... One zaprosiły mnie, żebym dołączyła do łowów.

- Że co? Nie możesz! Musisz udać się do Obozu Hero-sów, żeby Chejron zaczął cię uczyć. Tylko w ten sposób zdołasz przeżyć.

- Dla panienki to nie jedyny sposób - odrzekła Zoe.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Bianca, obóz jest super! Są tam stajnie pegazów i arena do

szermierki i... Właściwie dlaczego miałabyś dołączyć do Łowczyń?

- Na przykład - powiedziała Zoe - dla nieśmiertelności.

Wlepiłem w nią wzrok, po czym spojrzałem na Artemidę.

- Ona żartuje, prawda?

- Zoe bardzo rzadko żartuje - odparła bogini. - Łowczy-nie towarzyszą mi w moich przygodach. Są moimi pomo-cnicami i towarzyszkami broni. Kiedy tylko złożą przy-sięgę lojalności, stają się naprawdę nieśmiertelne...

Chyba że polegną w bitwie, co jest mało prawdopodobne. Albo złamię przysięgę.

- Jaką przysięgę? - zapytałem.

- Że na zawsze wyrzekną się romantycznej miłości - odpowiedziała Artemida. - Że nigdy nie dorosną, nigdy nie wyjdą za mąż. Pozostaną zawsze dziewczętami.

-Tak jak ty?

Bogini przytaknęła.

Usiłowałem sobie wyobrazić to, o czym mówiła. Nieśmiertelność. Wieczne towarzystwo gimnazjalistek. Jakoś nie potrafiłem się do tego przekonać.

- To znaczy jeździsz tak po świecie i zbierasz dziew-czeta półkrwi...

- Nie tylko półkrwi - przerwała mi Zoe. - Pani Artemi-da nie dyskryminuje nikogo z powodu urodzenia. Każde dziewczę, które czci boginię, może do nas dołączyć. Półkrwi, nimfa, śmiertelniczka...

- A ty kim jesteś?

W jej oczach zapłonął gniew.

- Nie twoja sprawa, chłopcze. Liczy się to, że Bianca może dołączyć, jeśli taka jest jej wola. To jej wybór.

- Bianca, to szaleństwo - zwróciłem się do niej. - Co z twoim

bratem? Nico nie może zostać Łowczynią.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Artemida. - On uda się do obozu. Niestety to najlepsze, co mamy do zaoferowania chłopakom.

- Ej - zaprotestowałem.

- Możesz się z nim od czasu do czasu widywać - zapewniła Biankę Artemida. - Ale zostaniesz zwolniona z odpowiedzialności. Zajmą się nim nauczyciele w obozie. A ty zyskasz nową rodzinę. Nas.

- Nową rodzinę - powtórzyła z rozmarzeniem dziewczyna. - Brak odpowiedzialności.

- Nie możesz tego zrobić, Bianca - powiedziałem. - To szaleństwo.

Bianca podniosła wzrok na Zoe.

- Warto?

Ta skinęła głową.

- Warto.

- Co muszę zrobić?

- Powtórz te słowa - odpowiedziała. - "Oddaję się bogini Artemidzie".

- Od... Oddaję się bogini Artemidzie.

- "Wyrzekam się towarzystwa mężczyzn, przyjmuję wieczne panieństwo i przyłączam się do Łowów".

Bianca powtórzyła.

- To wszystko?

Zoe przytaknęła.

- Jeśli Pani Artemida przyjmie twoją przysięgę, staje się ona wiążąca.

- Przyjmuję - powiedziała bogini.

Płomienie na trójnogu skoczyły do góry, zalewając namiot srebrzystą poświatą. Bianca wyglądała tak samo jak wcześniej,

ale wzięła głęboki oddech i otworzyła szeroko oczy.

- Czuję się... mocniejsza.

- Witaj, siostrze - powiedziała Zoe.

- Pamiętaj o przysiędze - dodała Artemida. - To twoje nowe życie.

Nie zdołałem wydusić ani słowa. Czuję się jak intruz. I kompletna łajza. Nie wierzyłem, że przeszedłem przez to wszystko i tyle wycierpiałem tylko po to, żeby utracić Biankę na rzecz jakiegoś wiecznego klubu dla dziewcząt.

- Nie trac nadziei, Percy Jacksonie - powiedziała Artemida. - I tak będziesz musiał pokazać ten swój obóz obojgu di Angelo. A jeśli Nico będzie chciał, to może tam zostać.

- Super - odpowiedziałem, starając się, żeby nie zabrzmiało to opryskliwie. - A jak mam się tam dostać?

Artemida zamknęła oczy.

- Zbliża się świt, czas zwinąć obóz. Musicie dostać się na Lond Island szybko i bezpiecznie. Poproszę mojego brata, żeby was podrzucił.

Zoe najwyraźniej nie była zachwycona tym pomysłem, ale skinęła głową i zabrała Biankę ze sobą. Kiedy mnie mijały, Bianca zatrzymała się na moment.

- Przepraszam, Percy. Aleja tego chcę. Naprawdę tego chcę.

I poszła sobie, a ja zostałem w towarzystwie dwu-nastoletniej bogini.

- A więc - powiedziałem ponuro - twój brat nas podrzuci, co? Srebrne oczy Artemidy zabłyśły.

- Tak, chłopcze. Widzisz, Bianca di Angelo nie jest jedyną osobą na świecie, która ma irytującego brata. Czas, abyś poznał mojego nieodpowiedzialnego bliźniaka, Apollina.

ROZDZIAŁ IV

THALIA ROZPALA NOWĄ ANGLIĘ

Artemida zapewniła nas, że zbliża się świt, ale ja wcale tego nie czułem. Było zimniej, ciemniej i padało mocniej niż dotąd. W oknach Westover Hill, widocznych na wzgórzu, nie paliło się światło. Zastanawiałem się, czy nauczyciele zauważyli już zniknięcie rodzeństwa di Angelo i pana Cierniaka. Nie chciałem być w pobliżu, kiedy to nastąpi. Znając moje szczęście, jedynym na-zwiskiem, jakie utkwiło w głowie pani Utschniack, będzie "Percy Jackson", i tak stanę się przestępcą poszukiwanym w całym kraju... Kolejny raz.

Łowczynie złożyły obóz równie szybko, jak wcześniej go postawiły. Stałem na śniegu, trzęsąc się z zimna (podczas gdy one sprawiały wrażenie, jakby mróz nie stanowił dla nich najmniejszego problemu), a Artemida wpatrywała się w horyzont, jakby na coś czekała. Bianca usiadła z boku i rozmawiała z Nico. Widząc jego ponurą minę, byłem pewny, że tłumaczy mu swoją decyzję o przyłączeniu się do Łowów. Nie potrafiłem powstrzymać myśli, że był to z jej strony skrajny egoizm -zostawic tak brata.

Thalia i Grover podeszli do mnie. Zżerała ich ciekawość, co wydarzyło się podczas mojej audiencji u bogini.

Kiedy im powiedziałem, Grover pobladł.

- Ostatnim razem, kiedy Łowczynie odwiedziły obóz, sprawy

nie wyglądały najlepiej.

- Skąd się tu wzięły? - zapytałem. - Miałem wrażenie, że pojawiły się znikąd.

- A Bianca do nich dołączyła - dodała z niesmakiem Thalia. - To wszystko wina Zoe. Tej upartej, nieznośnej...

- Ja tam się jej nie dziwię - wtrącił się Grover. - Wieczność u boku Artemidy. - Westchnął głęboko.

Thalia przewróciła oczami.

- Ech, wy, satyrowie. Wszyscy kochacie się w Artemi-dzie. Nie dociera do was, że ona nigdy tego nie odwzaje-mni?

- Ale ona jest... ekologiczna - powiedział omdlewającym głosem.

- Palma ci odbiła - podsumowała Thalia.

- Daktyłowa - odrzekł rozmarzonym głosem Grover. - Tak.

W końcu niebo pojaśniało.

- Najwyższy czas - mruknęła Artemida. - Ależ on jest leniwy w zimie.

- Czekasz, no, na wschód słońca? - zapytałem.

- Tak. Na mojego brata.

Nie chciałem być nieuprzejmy. To znaczy, znałem legendy o Apollinie - a czasami o Heliosie - który jeździ w wielkim słonecznym rydwanie po niebie. Ale wiedziałem również, że Słońce jest tak naprawdę gwiazdą oddaloną od nas o miliardy kilometrów. Przywykłem już do tego, że niektóre greckie mity okazują się prawdą, ale jednak... Nie wyobrażałem sobie, że Apollo może jeździć na Słońcu.

- To niezupełnie tak, jak sobie wyobrażasz - powiedziała Artemida, jakby czytała mi w myślach.

- Aha, okej. - Rozluźniłem się. - To znaczy on nie nadjedzie

W...

Na horyzoncie pojawił się nagły rozbłysk światła. Uderzenie ciepła.

- Nie patrz - poradziła mi Artemida. - Niech on najpierw zaparkuje.

Zaparkuje?

Odwróciłem oczy i zobaczyłem, że pozostali robią to samo. Światło i ciepło narastały, aż w końcu miałem wrażenie, że moja zimowa kurtka roztopi się na mnie. A potem zupełnie nagle światło zgasło.

Podniosłem wzrok. I nie uwierzyłem własnym oczom. To był mój samochód. To znaczy raczej samochód moich marzeń. Czerwony kabriolet maserati spyder. Był tak wspaniały, że bił od niego blask. A potem uświadomiłem sobie, że to błyszczący rozgrzany metal. Wokół maserati śnieg wytopił się w idealne koło, co wyjaśnia fakt, że stałem teraz na zielonej trawie i miałem mokro w butach.

Kierowca z uśmiechem wysiadł z samochodu. Wyglądał na jakieś siedemnaście albo osiemnaście lat i przez ułamek sekundy miałem nieprzyjemne wrażenie, że patrzę na Luke'a, mojego starego wroga. Ten chłopak miał takie same jasne włosy i był w taki sam naturalny sposób przystojny. Ale to nie był Luke. Ten gość był wyższy i nie miał na twarzy blizny jak Luke. Uśmiechał się szerzej i radośniej. (Luke ostatnimi czasy głównie krzywił się drwiąco). Miał na sobie dzinsy, trampki i podkoszulek bez rękawów.

- Rany - mruknęła Thalia. - Ale on jest boski...

- Jest bogiem - powiedziałem.

- Nie to miałam na myśli.

- Moja mała siostrzyczka! - zawołał Apollo. Gdyby miał jeszcze bielsze zęby, mógłby nas oślepić bez tego słonecznego

samochoodu. - Co się stało? Długo nie dzwoniłaś. I nie pisałaś. Już zaczynałem się martwić! Artemida westchnęła.

- U mnie wszystko w porządku, bracie. I nie jestem twoją "małą siostrzyczką".

- Ej że, ja się urodziłem pierwszy.

- Jesteśmy bliźniętami! Ile jeszcze tysiącleci mamy się kłócić...

- No, więc, o co chodzi? - przerwał jej. - Widzę, że masz przy sobie dziewczyny. Chcesz, żeby ktoś ich nauczył strzelać z łuku?

Artemida zazgrzytała zębami.

- Potrzebuję przysługi. Muszę się udać na polowanie, sama. Chciałabym, żebyś zabrał moje towarzyszki do Obozu Herosów.

- Spoko siostruniu! - Uniósł ręce w geście nakazującym ciszę.

- Czuję, że zbliża się haiku.

Łowczynie jęknęły. Najwyraźniej nie było to ich pierwsze spotkanie z Apollinem. Odchrząknął i uniósł w dramatycznym geście jedną rękę.

W śniegu trawa się zieleni.

Artemis woła o pomoc. Ależ ze mnie ciacho.

Uśmiechnął się do nas promiennie, czekając na oklaski.

- Ostatni wers jest za krótki - oznajmiła Artemida.

Apollo zmarszczył brwi.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Co byś powiedział na "Ależ ze mnie prze mądrzały typ"?

- Nie, nie, to za długie. Hmmm. - zaczął coś mamrotać pod

nosem. Zoe Nightshade zwróciła się do nas.

- Pan Apollo przechodzi fazę haiku, odkąd wybrał się do Japonii. I tak jest lepiej niż po wizycie w Limerick. Jeśli usłyszę jeszcze jeden wiersz, który zaczyna się od "Była sobie bogini ze Sparty" ...

- Mam! - wykrzyknął Apollo. - " A ze mnie ciacho nie ziemskie" ma właściwy rytm! - Skłonił się bardzo z siebie zadowolony. - Okej, siostruś. Transport dla Łowczyń, powiadasz? Niezłe wycucie czasu. Jestem gotowy do drogi.

- Ci herosi również muszą się tam dostać - powiedziała Artemida, wskazując na nas. - To obozowicze Chejrona.

- Nie ma problemu! - Apollo obrzucił nas wszystkich wzrokiem. - Przyjrzyjmy się... Thalia, zgadza się? Dużo o tobie słyszałem.

Thalia się zarumieniła.

- Hej a, Panie Apollinie.

- Zeusowa córeczka, co? Znaczy się, jesteśmy przyrodzonym rodzeństwem. Byłaś chyba kiedyś drzewem, zgadza się? Cieszę się, że jesteś znów z nami. Nienawidzę kiedy piękne dziewczęta zamieniają się w drzewa. Ludzie, pamiętam, jak kiedyś...

- Bracie - upomniała go Artemida. - Powinieneś już jechać.

- Jasne. - Spojrzał na mnie i zmrużył oczy. - Percy Jackson?

- Ta. To znaczy... Tak, proszę pana.

Dziwacznie było się zwracać do nastolatka "proszę pana", ale kontakty z nieśmiertelnymi nauczyły mnie ostrożności. Bardzo łatwo ich urazić. A wtedy lepiej być daleko.

Apollo mierzył mnie wzrokiem, ale nic nie mówił, co przyprawiało mnie o lekki dreszcz.

- Świetnie! - zawołał w końcu. - No to się pakujemy, co? Droga wiedzie tylko w jedną stronę - na zachód. Więc jeśli nie

zdążycie to się nie załapiecie.

Spojrzałem na maserati, w którym mogły się zmieścić najwyżej dwie osoby. A nas było około dwudziestki.

- Świetna bryka - powiedział Nico.

- Dzięki, chłopcze - odrzekł właściciel.

- Och - Apollo jakby dopiero teraz dostrzegł ten problem. - No cóż. Nie znoszę zmieniać trybu ze sportowego, ale obawiam się...

Wyciągnął kluczyki i pstryknął pilotem od alarmu. *Pstryk, pstryk.*

Przez moment samochód znów rozbłysł. Kiedy światło przygasło, w miejscu maserati stał ogórkowaty busik, taki, jakim jeździliśmy na szkolne mecze koszykówki.

- Doskonale - powiedział Apollo. - Wsiadać, dzieciarnia.

Zoe rozkazała Łowczyniom zacząć pakować rzeczy. Podniosła swój plecak, ale Apollo wyciągnął do niej rękę.

- Ależ, ślicznotko. Ja to wezmę.

Zoe cofnęła się, a jej oczy rozbłysły żądzą mordy.

- Braciszku - zadrwiła Artemida. - Lepiej nie pomagaj moim Łowczyniom. Nie patrz na nie, nie rozmawiaj z nimi i nie podrywaj. No i nie nazywaj ich ślicznotkami.

Apollo rozłożył bezradnie ręce.

- Wybacz. Zapomniałem. Ej, siostruś, gdzie ty się tak właściwie wybierasz?

- Na polowanie - odpowiedziała. - Nie twój interes.

- I tak się dowiem. Ja wszystko widzę. O wszystkim wiem.

Artemida prychnęła.

- Zawieź je do obozu, Apollinie. Bez kombinowania!

- Ja miałbym kombinować?

Bogini przerwociła oczami i zwróciła się do nas.

- Zobaczymy się przed zimowym przesileniem. Zoe, do-

wodzis łowczyniami. Sprawuj się dobrze. Postępuj tak, jak ja bym postąpiła. Zoe się wyprostowała.

- Tak jest, pani.

Artemida przyklęła i dotknęła ziemi, jakby szukając śladów. Kiedy się podniosła, wyglądała na zaniepokojoną.

- Za duże niebezpieczeństwo. Muszę znaleźć tę bestię.

Pobiegła w las i znikła w śniegu i mroku.

Apollo odwrócił się ku nam z promiennym uśmiechem, bawiąc się kluczykami.

- Kto chce prowadzić?

Łowczynie wsiadły do busa. Stłoczyły się wszystkie na samym tyle, żeby być jak najdalej od Apollina i reszty męskiej zarazy. Bianca usiadła z nimi, zostawiając swojego braciszka z przodu z nami, co wydało mi się mało sympatyczne z jej strony, ale Nico najwyraźniej się nie przejmował.

- Ale super! - oznajmił, podskakując na siedzeniu kierowcy. - To jest naprawdę Słońce? Myślałem, że to Helios i Selene są bogami Słońca i Księżycy. Dlaczego czasem to są oni, a czasem ty i Artemida?

- Cięcie kosztów - odparł Apollo. - Zaczęli Rzymianie. Nie mogli sobie pozwolić na tyle świątyń i ofiar, więc odstawili Heliosa i Selene na boczny tor i powierzyli nam ich obowiązki. Moja siostrzyczka dostała Księżyc. Ja - Słońce. Z początku było to trochę irytujące, ale w końcu dorobiłem się tego samochodu.

- Ale jak to działa? - zapytał Nico. - Myślałem, że Słońce jest wielką ognistą kulą gazu!

Apollo roześmiał się i zmierzwił czuprynę chłopca.

- Te plotki powstały zapewne dlatego, że Artemida przeżywa mnie wielką ognistą kulą gazu. A poważnie, chłopcze, to zależy, czy mówimy o astronomii, czy o filo-zofii. Chcesz pogadać o astronomii? Ale co w tym cieka-wego? Wolisz porozmawiać o tym, co ludzie myślą o Sło-ńcu? To znacznie bardziej interesujące. Wyjeżdżają, że tak powiem, z mnóstwem pomysłów co do Słońca. Daje im ciepło, sprawia, że rośnie zboże, zasila maszyny, dzięki niemu wszystko wygląda bardziej, no, słonecznie. Ten rydwan jest zbudowany z ludzkich wyobrażeń o Słońcu, chłopcze. Jest tak stary jak nasza cywilizacja. Każdego dnia przemierza niebo ze wschodu na zachód, oświetlając wszystkie te drobne, mizerne żywoty śmiertelnych. Rydwan jest widowym znakiem potęgi Słońca, jak ją widzą śmiertelnicy. Kapujesz?

Nico pokręcił głową.

-Nie.

- W takim razie wyobraź sobie, że to naprawdę mocny i naprawdę niebezpieczny samochód na baterie słone-czne.

- Mogę poprowadzić?

- Nie. Jesteś za młody.

- Ja! Ja! - Grover uniósł rękę.

- Hmm, nie - odpowiedział Apollo. - Zbyt włośchaty. - Prześlizgnął po mnie wzrokiem i spojrzał na Thalię. - Córka Zeusa! Pana niebios. Doskonale.

- O, nie. - Thalia pokręciła głową. - Dziękuję.

- Daj spokój - powiedział Apollo. - Ile masz lat?

Thalia się zawahała.

- Nie wiem.

Jakkolwiek to brzmi, jest prawdą. Została zamieniona w drzewo, kiedy miała dwanaście, ale to wydarzyło się siedem lat temu. Powinna zatem mieć dziewiętnaście, gdyby po prostu

liczyć lata. Ale ona ciągle się czuła jak dwunastolatka, a wyglądała na coś pośrodku. Chejron wymyślił, że będąc drzewem, zapewne dorastała, ale znacznie wolniej. Apollo przyłożył palec do ust.

- Masz piętnaście, prawie szesnaście lat.

- Skąd to wiesz?

- Hej, przecież bogiem wyroczni. Znam się na tym. Za jakiś tydzień będziesz miała szesnaście.

- Fakt, mam urodziny! Dwudziestego drugiego grudnia.

- Co oznacza, że masz wystarczająco dużo lat, żeby zacząć się uczyć jeździć!

Thalia kręciła się niepewnie na swoim miejscu.

- Ekhem...

- Wiem, co chcesz powiedzieć - oznajmił Apollo. - Nie zasłużyłaś na prowadzenie rydwanu Słońca.

- Wcale nie zamierzałam tego powiedzieć.

- Dasz radę! Z Maine na Long Island nie jest daleko, no, i nie przejmuj się tym, co przydarzyło się ostatniemu dzieckakowi, którego uczyłam. Jesteś córką Zeusa. Ciebie nie zrzuci z nieba.

Roześmiał się przyjaźnie. Nikt do niego nie dołączył.

Thalia usiłowała protestować, ale Apollo nie zamierzał przyjmować odmownej odpowiedzi.

Nacisnął coś na desce rozdzielczej i na szybie pojawił się napis. Musiałem go odczytać w odbiciu lustrzanym (co dla dyslektyka nie różni się zasadniczo od zwykłego czytania) i jestem niemal pewny, że było tam napisane UWAGA! NAUKA JAZDY.

- Ruszaj! - zwrócił się Apollo do Thalii. - Jesteś urodzonym kierowcą!

Przyznaję, że zazdrościłem jej. Nie mogłem się docze-kać,

kiedy zacznę prowadzić samochód. Kilka razy jesienią mama zabierała mnie do Montauk i pozwalała pojechać na brzegu po pustej drodze swoją mazdą. No, ona co prawda ma japońską osobówkę, a to był rydwan słoneczny, ale w końcu dla kierowcy jaka to różnica?

- Prędkość równa się ciepłu - wyjaśnił Apollo. - Startuj więc powoli i miej pewność, że wzniosłaś się dość wysoko, zanim naprawdę dodasz gazu.

Thalia chwyciła kierownicę tak mocno, że knykcie jej pobielały. Wyglądała tak, jakby miała zaraz zwymiotować.

- Co się dzieje?

- Nic - odpowiedziała drżącym głosem. - Nic się nie dzieje.

Pociągnęła kierownicę. Przechyliła się, a bus wznosił się w górę tak szybko, że poleciałem do tyłu i wylądowałem na czymś miękkim.

- Au - powiedział Grover.

- Przepraszam.

- Wolniej! - zawołał Apollo.

- Spoko - odkrzyknęła Thalia. - Mam to pod kontrolą!

Udało mi się podnieść. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem dymiący krąg drzew wokół polany, z której wystartowaliśmy.

- Thalia - powiedziałem - zdejmij trochę nogę z gazu.

- Dam sobie radę, Percy - odparowała, zaciskając zęby. Ale dociskała nadal do deski.

- Zwolnij.

- Zwalniam! - krzyknęła. Była tak napięta, że wyglądała jak manekin.

- Musimy się skierować na południe, żeby się dostać na Long Island - powiedział Apollo. - Skręć w lewo.

Thalia skręciła kierownicę, co ponownie rzuciło mnie na Grovera, który jęknął.

- W to drugie lewo - odpowiedział Apollo.

Popełniłem ten błąd, że wyjrzałem znów przez okno. Byliśmy już na wysokości samolotowej... Tak wysoko, że niebo zdawało się zaglądać nam w oczy.

- Ach... - odezwał się Apollo, a ja odniosłem wrażenie, że robi, co może, żeby w jego głosie nie słychać było nie-pokoju. - Nieco niżej, kochana. Cape Cod zamarza.

Thalia skręciła kierownicę. Jej twarz było kredowobia-ła, na czoło wystąpiły kropelki potu. Coś było najwyraź-niej nie w porządku. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie.

Bus zapikował w dół i ktoś krzyknął. Niewykluczone, że ja. Teraz pędziliśmy prosto w kierunku Oceanu Atlantyckiego z prędkością kilkuset kilometrów na go-dzinę, mając wybrzeże Nowej Anglii po prawej stronie. A w busie zrobiło się gorąco.

Apollo wylądował gdzieś na tyłach pojazdu, ale gramo-lił się spomiędzy rzędów siedzeń.

- Przejmij kierownicę! - błagał go Grover.

- Nie ma powodów do niepokoju - odrzekł bóg. Na jego twarzy niepokój malował się wyraźnie. - Ona po prostu musi nauczyć się... Łooo!

Zobaczyłem to, co on musiał dostrzec. Pod nami znajdowało się małe, pokryte śniegiem miasteczko. W każdym razie jeszcze przed chwilą było pokryte śniegiem. Biała wieża kościelna zmieniła barwę na brązową i zaczęła dymić. Nad całym miasteczkiem unosiły się niewielkie pióropusze dymu, zupełnie jak z urodzinowych świeczek. Drzewa i dachy zajmowały się ogniem.

- Do góry! - wrzasnąłem.

W oczach Thalii płonął dziki ogień. Szarpnęła znów kierownicę, tym razem zdążyłem się przytrzymać. Kiedy

wznosiliśmy się do góry, widziałem przez tylne okno, że nagle powiew zimnego powietrza zgasił płomień w miasteczku.

- Tam! - wskazał Apollo. - Long Island jak w pysk strzelił. Zwolnij nieco, kochana. Z tym strzelaniem to tylko metafora.

Thalia pędziła w stronę północnego wybrzeża Long Island. Widac już było Obóz Herosów: dolinę, las, plażę. Rozpoznałem pawilon jadalny, domki i teatr.

- Wszystko pod kontrolą - wymamrotała Thalia. - Wszystko pod kontrolą.

Od obozu dzieliło nas zaledwie sto metrów.

- Hamuj - powiedział Apollo.

- Dam sobie radę.

- HAMUJ!

Thalia nacisnęła hamulec i słoneczny bus skoczył do przodu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wpadając do kajakowego jeziora Obozu Herosów z wielkim PLUUUSK! Uniosła się para, a z jeziora wyskoczyły przerażone najady z częściowo wplecionymi wiklinowymi-mi koszykami.

Bus wypłynął na powierzchnię wraz z kilkoma przewróconymi stopionymi kajakami.

- Doskonale - oznajmił Apollo, uśmiechając się dzielnie. - Miałaś rację, kochana. Miałaś wszystko pod kontrolą! Sprawdzimy, czy nie ugotowaliśmy kogoś ważnego, dobrze?

ROZDZIAŁ V

ZAMAWIAM PODWODNĄ ROZMOWĘ
TELEFONICZNĄ

Nigdy wcześniej nie widziałem Obozu Herosów w zimie, więc śnieg mnie zaskoczył.

Bo wiecie, obóz ma pełną magiczną kontrolę klimatu. Nic nie zakradnie się w jego granice, jeśli dyrektor, Pan D. na to nie pozwoli. Myślałem, że będzie tu ciepło i słońce; ale okazało się, że pozwolono śniegowi nieco po-padać. Tor do wyścigów rydwanów był pokryty szronem, podobnie jak pola truskawek. Domki były przystrojone maleńkimi migoczącymi światełkami, zupełnie jak tymi na choinkę, tyle że te tutaj wyglądały na kulki prawdziwego ognia. W lesie widziałem kolejne światełka, a co jeszcze dziwniejsze, ogień migotał nawet w oknie strychu Wielkiego Domu, gdzie mieszka Wyrocznia, uwięziona w starym zamumifikowanym ciele. Zastanawiałem się, czy duch Wyroczni Delfickiej piecze sobie kiełbaski czy coś w tym rodzaju.

- Rany - powiedział Nico wysiadając z autobusu. - Czy to jest ścianka wspinaczkowa?

- Aha - odparłem.

- A dlaczego płynie z niej lawa?

- Dodatkowe utrudnienie. Chodź, przedstawię cię Chejronowi. Zoe, czy poznałaś...

- Znam Chejrona - odpowiedziała sztywno. - Powiedz mu, że będę w domku numer osiem. Łowczyni, za mną.

- Pokażę wam drogę - zaofiarował się Grover.

- Znamy drogę.

- Ależ to żaden problem. A tu się tak łatwo zgubić, jeśli nie... - Potknął się o kajak, ale podnosząc się, gadał dalej. - jak zwykły mawiać mój stary koźli ojciec! Chodź cie!

Zoe przewróciła oczami, ale chyba uznała, że nie pozbędzie

się Grovera. Łowczynie zarzuciły plecaki na ramiona, podniosły łuki i ruszyły w stronę domków. Bianca di Angelo pochyliła się i szepnęła coś na ucho swojemu bratu, zanim ruszyła za nimi. Przez chwilę patrzyła na niego, czekając na odpowiedź, ale Nico tylko rzucił jej ponure spojrzenie i się odwrócił.

- Uważajcie na siebie, ślicznotki! - zawołał za Łowczyniami Apollo, po czym mrugnął do mnie. - Uważaj na przepowiednię, Percy. Wkrótce się zobaczymy.

- Co masz na myśli?

Ale on nie odpowiedział, tylko wskoczył do busa.

- Później, Thalio - zawołał. - I... zachowuj się!

Posłał jej łobuzerski uśmiech, jakby wiedział o czymś, o czym ona nie miała pojęcia. Następnie zatrzasnął drzwiczki i uruchomił silnik. Odwróciłem wzrok kiedy słoneczny rydwan wystartował w podmuchu gorąca. Kiedy znów spojrzałem w tym kierunku, z jeziora unosiła się para. Nad lasem wznosiło się czerwone maserati, świecąc coraz jaśniej i wspinając się coraz wyżej, dopóki nie zniknęło w promieniach słońca.

Nico wciąż był w złym humorze. Zastanawiałem się, co takiego powiedziała mu siostra.

- Kto to jest Chejron? - spytał. - Nie mam takiej figurki.

- To nasz dyrektor od nauki - odpowiedziałem. - On jest...

Sam zobaczysz.

- Te Łowczynie go nie lubią - mruknął ponuro Nico. - To mi wystarczy.

Drugą rzeczą, która mnie zaskoczyła na obozie, były panujące tu pustki. Oczywiście, wiedziałem, że większość herosów terenuje tylko w lecie. Przewidywałem, że na miejscu będą tylko

całorocznici - ci, którzy nie mają własnych domów albo byliby zanadto narażeni na ataki potworów, gdyby opuścili obóz. Ale tych też najwyraźniej nie było wielu.

Zobaczyłem Charlesa Beckendorfa z domku Hefajsto-sa, jak podkładał ogień w kuźni przy obozowej zbrojowni. Bracia Travis i Connor Hood z domku Hermesa włamywali się do magazynu. Kilkoro dzieci z domku Aresa toczyło na skraju lasu bitwę na śnieżki z nimfami. I tyle. Nie dostrzegłem nawet mojej odwiecznej rywalki z domku Aresa, Clarisse.

Wielki dom był ozdobiony łańcuchami czerwonych i żółtych kul ognistych, które ogrzewały werandę, ale nic się nie zajmowało ogniem. We wnętrzu płomienie trza-skały na palenisku. Pachniało gorącą czekoladą. Kierownicy obozu Pan D. i Chejron w milczeniu grali w karty w salonie.

Brązowa broda Chejrona była gęstsza zimą, a jego kędzierzawe włosy nieco dłuższe. W tym roku nie pracował jako nauczyciel, więc podejrzewał, że mógł sobie pozwolić na nieco więcej swobody. Miał na sobie puchaty sweter w podkowy, a ułożony na kolanach pled prawie całkowicie zasłaniał wózek inwalidzki.

Uśmiechnął się na nasz widok.

- Percy! Thalia! Ach, a to musi być...

- Nico di Angelo - odpowiedziałem. - On i jego siostra są półkrwi.

Chejron odetchnął z ulgą.

- A więc udało się wam.

-No...

Uśmiech znikł z jego twarzy.

- Co się stało? I gdzie jest Annabeth?

- No nie - odezwał się Pan D. znudzonym głosem. - Nie mów, że straciliśmy j jeszcze j edną.

Próbowałem nie zwracać uwagi na Pana D., ale trochę ciężko było nie widzieć jego jaskrawopomarańczowego dresu w lamparcie cętki i fioletowych butów do biegania. (Tak jakby Pan D. kiedykolwiek w swoim nieśmiertelnym życiu biegał). Na jego kędzierzawych czarnych włosach spoczywał przekrzywiony wieniec laurowy, co musiało oznaczać, że wygrał poprzednią partyjkę.

- Co masz na myśli? - spytała Thalia. - Kogo jeszcze straciliśmy?

W tej samej chwili do pokoju wszedł Grover, cały w skowronkach. Miał podbite oko i czerwone pręgi na policzku, które podejrzenie przypominały ślady po oberwaniu po twarzy.

- Łowczynie się wprowadziły!

Chejron spochmurniał.

- Łowczynie, mówisz? Widzę, że musimy poważnie porozmawiać. - Zerknął na Nica. - Grover może zabrał-byś naszego młodego przyjaciela do jaskini i pokazał mu film instruktażowy?

- Ale... Och, oczywiście. Tak jest, proszę pana.

- Film instruktażowy? - spytał Nico. - Bez ograniczeń wieku czy tylko pod opieką dorosłych? Bo Bianca bardzo wyraźnie...

- Pod opieką dorosłych od lat trzynastu - odpowiedział Grover.

- Super! - Nico pomaszerował za nim, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- A teraz - Chejron zwrócił się do Thalii i mnie - może wy dwoje usiądziecie i opowiecie nam o co chodzi.

Kiedy skończyliśmy opowieść, Chejron zwrócił się do Pana D.

- Powinniśmy natychmiast rozpocząć poszukiwania Annabeth.

- Ja pójdę - oznajmiliśmy równocześnie Thalia i ja.

Pan D. parsknął kpiąco.

- Nie ma mowy!

Oboje z Thalia zaczęliśmy protestować, ale kierownik obozu podniósł rękę. Miał w oczach ten krwawoczerwony ogień, który zazwyczaj oznaczał, że jeśli się nie zamkniemy, wydarzy się coś bosko strasznego.

- Z tego co słyszałem wynika - powiedział - że obie strony poniosły w tej eskapadzie równe straty. My straciliśmy, niestety, Annie Bell...

- Annabeth - warknąłem. Była na obozie, odkąd skończyła siedem lat, a Pan D. nadal udawał, że nie pamięta jej imienia.

- Tak, tak - rzucił lekceważąco. - Ale za to przyprowadziliście na jej miejsce małego nieznośnego chłopca. Nie widzę więc sensu ryzykować życia kolejnych herosów w tej niepoważnej akcji ratunkowej. Są spore szanse, że ta Annie-jak-jej-tam nie żyje.

Miałem ochotę go udusić. To niesprawiedliwe, że Zeus zesłał go tu na sto lat temu na odwyk i zrobił kierownikiem obozu. Miała to być kara za złe zachowanie Pana D. na Olimpie, a stała się karą dla nas wszystkich.

- Annabeth może żyć - odrzekł Chejron, ale czułem, że spokojny ton głosu wiele go kosztuje. Właściwie wychowywał Annabeth przez wszystkie te lata, kiedy była całoroczną obozowiczką, zanim postanowiła spróbować jeszcze raz zamieszkać z ojcem i macochą. - Ona jest bardzo inteligentna. Jeśli... Jeśli wrogowie ją porwali, będzie się starała grać na zwłokę. Może nawet udawać, że idzie na współpracę.

- W takim razie - powiedział Pan D. - obawiam się, że będzie musiała wykazać się dostateczną inteligencją, żeby wrócić samodzielnie.

Wstałem od stołu.

- Percy - w głosie Chejrona brzmiało poważne ostrzeżenie. W głębi serca wiedziałem, że nie należy zadzierać z Panem D. On nie odpuści nawet takiemu impulsywnemu dziecku z ADHD jak ja. Ale byłem tak wściekły, że się nie przejmowałem.

- Wcale się nie zmartwisz, jeśli stracisz kolejnego obozowicza - oznajmiłem. - Najbardziej byś chciał, żebyśmy wszyscy znikli!

Kierownik obozu stłumił ziewnięcie.

- Jakies wnioski?

- Tak - burknąłem. - To, że cię tu zesłali za karę, nie znaczy, że musisz być leniwym burakiem! To również twoja cywilizacja. Może zechciałbyś nam choć troszkę pomóc!

Przez chwilę trwała absolutna cisza, w której słyhać było jedynie trzask ognia. Światło odbijało się w oczach Pana D. nadając mu złowrogi wygląd. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć - zapewne jakieś przekleństwo, które miało mnie zmieść z powierzchni ziemi - kiedy do pokoju wpadł Nico a za nim Grover.

- ALE SUPER! - krzyknął Nico wyciągając ręce do Chejrona. - Jesteś... Jesteś centaurem!

Chejron zmusił się do nerwowego uśmiechu.

- Tak, panie di Angelo, owszem. Aczkolwiek wolę tę ludzką formę na wózku podczas pierwszych spotkań.

- A ty, rany! - Nico przeniósł wzrok na Pana D. - Ty jesteś ten kolo od wina? Niemożliwe!

Pan D. odwrócił wzrok ode mnie i rzucił chłopcu niena-wistne spojrzenie.

- Kolo od wina?

- Dionizos, zgadza się? O, rany! Mam twoją figurkę.

- Moją figurkę?

- W mojej grze. Magia i Mit. I hologramową kartę! No i mimo, że masz tylko pięćset punktów ataku i wszyscy myślą, że jesteś największym cieniem z bogów, moim zdaniem masz ekstra moce!

- Ach. - Pan D. chyba naprawdę był zaskoczony, co prawdopodobnie uratowało mi życie. - No, to... bardzo pochlebne.

- Percy - wtrącił szybko Chejron - idźcie z Thalią do domków. Powiadom obozowiczów, że jutro wieczorem rozgrywamy bitwę o sztandar.

- Bitwę o sztandar? - zdziwiłem się. - Przecież nie mamy...

- To tradycja - odparł Chejron. - Rozgrywka towarzyska przy każdej wizycie Łowczyń.

- Aha - mruknęła Thalia. - Istotnie bardzo towarzyskie wydarzenie.

Chejron przechylił głowę w kierunku Pana D., który wciąż siedział posepny, słuchając, jak Nico rozprawia o punktach obrony poszczególnych bogów w jego grze.

- No, już, nie ma was - powiedział do nas.

- Jasne - odrzekła Thalia. - Chodź, Percy.

Wyciągnęła mnie z Wielkiego Domu, zanim Dionizos zdążył sobie przypomnieć, że zamierzał mnie zabić.

- Masz już na pieńku z Aresem - przypomniała mi Thalia, kiedy wlekiśmy się w stronę domków. - Potrzebujesz kolejnego nieśmiertelnego wroga?

Miała rację. Pierwszego roku na obozie wdałem się w bójkę z Aresem i teraz wszystkie jego dzieci pałały żądzą mordy na mnie. Nie powinienem zadzierać dodatkowo z Dionizosem. - Przepraszam - powiedziałem. - Nie potrafiłem się po-

wstrzymać. To po prostu niesprawiedliwe.

Thalia zatrzymała się przed zbrojownią i spojrzała na dolinę, ku szczytowi Wzgórza Herosów. Jej sosna rosła tam nadal, a na najniższej gałęzi połyskiwało Złote Runo. Magiczne drzewo wciąż strzegło granic obozu, ale duch Thalii nie stanowił już źródła jego mocy.

- Wszystko jest niesprawiedliwe, Percy - mruknęła. - Czasem chciałabym...

Nie dokończyła, ale w jej tonie było coś takiego, że zrobiło mi się jej żal. Z potarganymi czarnymi włosami, czarnymi punkowymi ciuchami i starym wełnianym płaszczem, którym była okutana, wyglądała jak wielki kruk, całkowicie nie na miejscu w otaczającym nas krajobrazie.

- Odzyskamy Annabeth - obiecałem. - Tylko jeszcze nie wiem jak.

- Najpierw dowiaduję się, że Luke się zagubił - powiedziała. - A teraz Annabeth...

- Nie myśl w ten sposób.

- Masz rację. - Wyprostowała się. - Coś wymyślimy.

Na boisku do koszykówki kilka Łowczyń trenowało rzuty do kosza. Jedna z nich kłóciła się z chłopakiem od Aresa, który trzymał dłoń na rękojeści miecza, a Łowczyni miała taką minę, jakby zamierzała w każdej chwili zamienić piłkę na łuk i strzałę.

- Zajmę się tym - powiedziała Thalia. - A ty przejdź się po domkach. Powiedz wszystkim o tej bitwie o sztandar.

- Okej. Powinnaś zostać kapitanem.

- Nie - odpowiedziała. - Ty byłeś dłużej na obozie. Ty będziesz kapitanem.

- Możemy, no... jakoś się podzielić stanowiskiem czy coś...

Sądząc po jej minie podobał jej się ten pomysł mniej więcej tak samo jak mnie, ale przytaknęła.

Kiedy ruszyła w stronę boiska, zatrzymałem ją.

- Thalia.

- Co?

- Przepraszam za Westover. Trzeba było na was poczekać.

- Daj spokój, Percy. Ja bym pewnie tak samo zrobiła. -

Przestąpiła z nogi na nogę, jakby próbując podjąć decyzję, czy ma mówić coś więcej. - Pamiętasz, zapytałeś o moją mamę, a ja na ciebie naskoczyłam. Chodzi o to, że... Po siedmiu latach próbowałam ją odnaleźć i dowiedziałam się, że zmarła w Los Angeles. Wiesz... Ona bardzo dużo piła i z tego, co wiem, jakieś dwa lata temu jechała po nocy i... - Thalia zamrugnęła szybko oczami.

- O rany.

- Ta. No. Wiesz... My nigdy nie byliśmy blisko. Uciekłam jak miałam dziesięć lat. Najlepsze dwa lata w moim życiu to ta wieczna ucieczka z Lukiem i Annabeth. A jednak...

- Dlatego miałaś problemy z pojazdem słonecznym.

Zerknęła na mnie podejrzliwie.

- O co ci chodzi?

- Cała zeszywniałaś. Na pewno myślałaś o mamie, kiedy nie chciałaś siadać za kółkiem.

Natychmiast pożałowałem tych słów. Mina Thalii niebezpiecznie przypominała mi Zeusa ten jedyny raz, kiedy widziałem go w gniewie - wyglądało to tak, jakby w każdej chwili z jej oczu miały wystrzelić miliardy woltów.

- Ty - mruknęła. - Pewnie o to chodziło.

Powlekliśmy się w kierunku boiska, gdzie syn Aresa i Łowczyni próbowali się wzajemnie pozabijać za pomocą miecza i piłki do kosza.

Obozowe domki to najdziwniejsze zbiorowisko budynków, jakie w życiu widziałem. Jedynka i dwójka, należące do Zeusa i Hery, są dużymi budowlami z kolumnadami i stoją w środku, mając po lewej domki pięciu innych bogów i pięciu bogiń po prawej. W sumie tworzy to wielką podkowę wokół trawnika z paleniskiem do grilla.

Obszedłem domki, powiadamiając wszystkich o bitwie. Jakiegoś chłoptasia do Aresa wyrwałem z popołudniowej drzemki, więc wydarł się na mnie, żebym spadał. Kiedy zapytałem go o Clarisse, odpowiedział:

- Jest na misji zleconej przez Chejrona! Ścisłe tajne!
- Wszystko u niej w porządku?
- Nie odzywała się od miesiąca. Zaginęła w akcji. Twój tyłek też zaginie, jeśli się nie wyniesiesz!

Uznałem, że lepiej pozwolę mu spać dalej.

W końcu dotarłem do trójki, domku Posejdona. Był niewysoki, zbudowany z morskiego kamienia, w którym było widać mnóstwo zatopionych muszelek i koralowców. W środku było jak zwykle pusto, jeśli nie liczyć mojego łóżka. Na ścianie nad moją poduszką wisiał róg Minotaura.

Wyjąłem z plecaka bejsbolówkę Annabeth i położyłem ją na nocnej szafce. Oddam jej, kiedy ją odnajdę. Bo ja ją odnajdę.

Zdjąłem zegarek i uruchomiłem tarczę. Rozwijając się, głośno zgrzytała. Kolce pana Cierniaka wgniotły spiż w kilku miejscach. Jedna rysa uniemożliwiała całkowite otwarcie tarczy, wyglądała więc teraz jak pizza, z której ktoś zjadł dwa kawałki. Piękne sceny, które wykuł na niej mój brat, były pocięte. Na obrazku przedstawiającym mnie i Annabeth walczących z Hydrą wyglądałem tak, jakby meteoryt zrobił mi dziurę w

czasce. Powiesi-łem tarczę na kołku, obok rogu Minotaura, ale przykro było teraz na nią patrzeć. Może Beckendorf od Hefajsto-sa zdoła ją naprawić. Był najlepszym zbrojmistrzem na obozie. Zapytam go podczas kolacji.

Wpatrywałem się w tarczę, kiedy usłyszałem gulgo-czący dźwięk - gulgotanie wody - i uświadomiłem sobie, że w domku jest coś, czego wcześniej tam nie było. W kącie stała wielka misa z szarego morskiego kamienia, z kranem rzeźbionym w kształt rybiej głowy. Z pyszczka ryby lała się woda - było to słone źródło wylewające się z misy. Woda musiała być gorąca, ponieważ w chłodnym zimowym powietrzu tworzyła się mgiełka jak w saunie. Dzięki temu w pokoju było ciepło i czuło się lato - pachniało świeżym morskim powietrzem.

Podszedłem do misy. Nie było tam żadnej karteczki ani nic, ale wiedziałem, że to może być prezent tylko od Posejdona.

Popatrzyłem w głąb wody:

- Dzięki, tato.

Powierzchnia wody zafalowała. Na dnie misy zamigo-tały monety - około tuzina złotych drahm. Domyśliłem się, do czego służy to źródło. Przypomina, że mam utrzy-mywać kontakty z rodziną.

Otworzyłem najbliższe okno i zimowe słońce wytwo-rzyło w mgiełce tęczę. Następnie wyłowilem z gorącej wody monetę.

- Irydo, Bogini Tęczy - powiedziałem - przyjmij moją ofiarę.

Wrzuciłem monetę w mgiełkę. Znikła. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia z kim powinienem się skontaktować najpierw.

Z mamą? Byłoby to zachowanie godne "dobrego synka", ale ona nie powinna się jeszcze o mnie martwić. Przywykła do tego, że znikam na kilka dni albo nawet tygodni.

Z tatą? Bardzo, ale to bardzo dawno z nim nie rozma-wiałem -

od prawie dwóch lat.

Ale czy można wysyłać wiadomości iryfonem do bogów? Nigdy nie próbowałem. Może ich to zdenerwować, jak telefony od akwizytorów czy coś w tym rodzaju.

Zastanawiałem się. I podjąłem decyzję.

- Pokaż mi Tysona - poprosiłem. - W kuźniach cyklopów.

Mgiełka zamigotała i pojawił się w niej obraz mojego przyrodniego brata. Otaczał go ogień, co zapewne stanowiłoby problem, gdyby nie był cyklopem. Pochylał się nad kowadłem, kując rozpalone do czerwoności ostrze miecza. Wokół niego latały iskry i tańczyły płomienie. Za jego plecami widziałem oprawne w marmur okno, które wychodziło na ciemnoniebieską wodę - dno oceanu.

- TYSON! - krzyknąłem.

Odwrócił się i otworzył szeroko swoje ogromne oko. Wyszczrzył krzywe żółte zęby w szerokim uśmiechu.

- Percy!

Rzucił miecz i podbiegł usiłując mnie uściskać. Obraz zamazał się a ja odruchowo się cofnąłem.

- Tyson, to tylko iryfon. Mnie tam nie ma.

- Oj - wrócił na wizję z zakłopotaną miną. - No tak, wiedziałem. Tak.

- Jak leci? - spytałem. - Jak praca?

Oko mu rozbłysło.

- Wymarzona! Patrz! - Podniósł rozpalone ostrze gołymi rękami. - Wykułem to!

- Super.

- Napisałem na nim moje imię. O, tu.

- Rewelacja. Słuchaj, zdarza ci się rozmawiać z tatą?

Uśmiech przybladł nieco na twarzy Tysona.

- Niezbyt często. Tata jest zajęty. Martwi się tą wojną.

- Jaką wojną?

Tyson westchnął. Wysunął ostrze miecza przez okno i wodę wypełniła chmura bąbelków. Kiedy wciągnął miecz z powrotem do kuźni, metal był zimny.

- Stare duchy morza sprawiają kłopoty. Ajgajon. Okea-nos. Tacy różni.

Coś tam mi świtało. Miał na myśli tych nieśmiertelnych, którzy rządzą morzami w czasach Tytanów. Zanim władzę przejęli Olimpijczycy. To, że zaczęli podnosić głowy teraz, kiedy Pan Kronos i jego poplecznicy rośli w siłę, nie wróżyło nic dobrego.

- Czy mogę jakoś pomóc? - spytałem.

Tyson pokręcił smętnie głową.

- Stawiamy nereidy pod broń. Do jutra potrzebne będzie dla nich tysiąc mieczy. - Spojrzał na swoje ostrze i westchnął. - Dawne duchy opiekują się złą łodzią.

- Masz na myśli "Księżniczkę Andromedę"? - wybałuszyłem oczy. - Statek Luke'a?

- Tak. Bardzo ciężko go znaleźć. Chronią go przed sztormami taty. Inaczej dawno by go rozwalił.

- Rozwalenie go to niezły pomysł.

Tyson przechylił głowę, jakby coś innego przyszło mu do głowy.

- Annabeth! Jest z tobą?

- Eee, no... - Serce ciążyło mi jak kula od kręgli. Tyson uważa Annabeth za najwspanialszą rzecz na świecie zaraz po maśle orzechowym (on uwielbia masło orzechowe). Nie miałem serca powiedzieć mu, że zaginęła. Zacząłby płakać tak, że zapewne zgasiłby wszystkie pale-niska w kuźni.

- No, nie. Nie ma jej tu w tej chwili.

- Pozdrów ją ode mnie! - Rozpromienił się. - Pozdrów

Annabeth!

- Jasne. - Ledwie przeszło mi to przez gardło. - Pozdro-wię.

- I nie przejmuj się złą łodzią, Percy. Ona odpływa.

- Co masz na myśli?

- Kanał Panamski! To bardzo daleko.

Zmarszczyłem brwi. Dlaczego Luke zabiera ten prze-siąknięty demonami liniowiec aż tam? Kiedy go ostatnio widzieliśmy, pływał wzdłuż Wybrzeża Wschodniego, rekrutując herosów i musztrując armię potworów.

- Okej - powiedziałem, ale wcale nie czułem się w porządku. - To... dobrze. Chyba.

W głębi kuźni jakiś niski głos ryknął coś, czego nie zrozumiałem. Tyson się wzdrygnął.

- Muszę wracać do pracy. Inaczej szef się wścieknie. Powodzenia, bracie.

- Okej, przekaz tacie...

Zanim zdążyłem dokończyć, obraz zamigotał i zgasł. Byłem sam w moim domku, jeszcze bardziej osamotnio-ny niż wcześniej.

Przy kolacji byłem bardzo nieszczęśliwy.

Oczywiście jedzenie było wspaniałe jak zawsze. Trudno, żeby było inaczej, jeśli się ma mięso z grilla, pizzę i samonapełniające szklanki na napoje. Pochodnie i paleniska zapewniają otwartemu pawilonowi ciepło. Ale reguła jest taka, że siedzi się przy stołach z współ-mieszkańcami domków, co oznacza, że ja siedzę sam przy stoliku Posejdona, Thalia sama przy stoliku Zeusa, i nie możemy usiąść razem. Przepisy obozowe. Hefajs-tos, Ares i Hermes mieli po kilka osób. Nico usiadł z braćmi Hood,

ponieważnowi obozowicze zawsze dostają się do domku Hermesa, dopóki ich olimpijski rodzic po-zostaje nieznany. Bracia Hood próbowali przekonać go, że poker jest znacznie lepszą grą niż Magia i Mit. Mia-łem nadzieję, że Nico nie ma żadnych pieniędzy, które mógłby przegrać.

Jedynym stolikiem, który się świetnie bawił był stolik Artemidy. Łowczynie jadły, piły i śmiały się jak wielka rodzina. Zoe siedziała u szczytu stołu niczym matka. Nie śmiała się tyle, ile pozostałe dziewczyny, ale od czasu do czasu na jej twarzy gościł uśmiech. Jej srebrna opaska porucznika lśniła na ciemnych włosach. Uzna-łem, że wygląda znacznie lepiej, kiedy się uśmiecha. Bianca di Angelo najwyraźniej czuła się w tym towarzy-stwie doskonale. Uczyła się siłowania na rękę od tej wy-sokiej dziewczyny, która biła się z synem Aresa na bo-isku do koszykówki. Ta większa za każdym razem ją po-konywała, ale Biance najwyraźniej to nie przeszkadzało.

Kiedy skończyliśmy kolację, Chejron zgodnie ze zwy-czajem wznosił toast na cześć bogów i oficjalnie powitał Łowczynie Artemidy. Oklaski nie były zbyt żywiołowe. Następnie ogłosił "towarzyską" bitwę o sztandar, która miała się odbyć następnego wieczoru. To spotkało się ze znacznie lepszym przyjęciem.

Później wszyscy udaliśmy się z powrotem do swoich domków - zimą cisza nocna wypadła wcześniej. Byłem wykończony, więc zasnąłem od razu. Chociaż tyle. Gorzej, że śnił mi się koszmar, który nawet jak na moje możliwości był potworny.

Zobaczyłem Annabeth na ciemnym spowitym mgłą zboczcu. Wyglądało to prawie jak Podziemie i natych-miast poczułem klaustrofobię. Nie widziałem nieba - tylko wiszący nisko ciężki

mrok jak we wnętrzu jaskini.

Annabeth z trudem wspinała się na wzgórze. Wokół widziałem ruiny starych greckich kolumn z czarnego marmuru, jakby coś zamieniło wielką budowlę w gruz.

- Cierniak! - zawołała Annabeth. - Gdzie jesteś? Dla-czego mnie tu przyprowadziłeś? - Wspięła się na kawałek zburzonej ściany i znalazła się na szczycie wzgórza.

Wsztrzymała oddech.

Przed nią znajdował się Luke. Cierpiał.

Był skulony na skalistym podłożu, usiłując się podnieść. Mrok wokół niego wydawał się gęstszy, mgła wirowała żarłocznie. Jego ubranie było w strzępach, a twarz podparta i złana potem.

- Annabeth! - zawołał. - Pomóż mi. Proszę!

Rzuciła się do przodu.

Usiłowałem zawołać: *To zdrajca! Nie ufaj mu!* Ale mój głos nie należał do świata snu. Zobaczyłem w jej oczach łzy. Wyciągnęła ręce, jakby chciała dotknąć twarzy Luke'a, ale w ostatniej chwili się zawahała.

- Co się stało? - spytała.

- Zostawili mnie tutaj - jęknął Luke. - Proszę. To mnie zabija.

Nie miałem pojęcia, co mu jest. Najwyraźniej walczył z jakąś niewidzialną klątwą, jak gdyby ta mgła dusiła go na śmierć.

- Dlaczego mam ci ufać? - spytała Annabeth. W jej głosie brzmiał ból.

- Nie powinnaś - odpowiedział. - Byłem dla was okropny. Ale jeśli mi nie pomożesz, umrę.

Daj mi umrzec, chciałem krzyknąć. Luke zbyt wiele razy próbował nas zabić z zimną krwią. Nie zasłużył na litość Annabeth.

W tej chwili ciemność nad jego głową zaczęła pękać niczym sklepienia jaskini podczas trzęsienia ziemi. Z góry posypały się

wielkie odłamy czarnej skały. Anna-beth rzuciła się do przodu w momencie, kiedy pojawiła się szczelina i załamało się całe sklepienie. Podtrzymała je jakoś - całe tony skały. Trzymała je z całej siły, nie pozwalając im runąć na nią i Luke'a. To było niemożliwe. Nie miała tyle siły. Luke wytoczył się na zewnątrz, dysząc ciężko.

- Dzięki - wymamrotał.

- Pomóż mi to trzymać - jęknęła Annabeth.

Luke złapał oddech. Twarz miał brudną i spoconą. Podniósł się chwiejnie.

- Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. - Zaczął się oddalać, a rozedrgany mrok mógł w każdej chwili zawalić się na Annabeth.

- POMÓŻ MI! - błagała.

- Och, nie masz się co matwić - odpowiedział Luke. - Pomoc już jest w drodze. To wszystko należy do planu. Postaraj się tymczasem nie umrzeć.

Sklepienie mroku znów zaczęło się kruszyć, przygniatając dziewczynę do ziemi.

Usiadłem na łóżku wyprostowany, zaciskając palce na pościeli. W domku panowała cisza, jeśli nie liczyć plusku słonego źródła. Budzik stojący na nocnej szafce wskazywał kilka minut po północy.

To był tylko sen, ale dwóch rzeczy mogłem być pewny: Annabeth znalazła się w straszliwym niebezpieczeństwie, a Luke był za to odpowiedzialny.

ROZDZIAŁ VI

WIZYTA DAWNO ZMARŁEGO PRZYJACIELA

Następnego ranka po śniadaniu opowiedziałem Grove-rovi o tym śnie. Siedzieliśmy na łące, przyglądając się satyrom, goniącym po śniegu leśne nimfy. Nagrodą za złapanie miały być pocałunki, ale rzadko się zdarzały.

Zazwyczaj było tak, że gdy satyr zadadto się zbliżył, nimfa zmieniała się w pokryte śniegiem drzewo, a biedak wpadał na pień i na dodatek lądował w zaspie.

Grover wysłuchał relacji o moim koszmarze, drapiąc się po włochatej nodze.

- Zawaliło się na nią sklepienie jaskini? - spytał.

- Aha. Co to u diabła oznacza?

Mój przyjaciel potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia. Ale po tym, co się śniło Zoe...

- Ej. O czym ty mówisz? Zoe miała podobny sen?

- No... Nie wiem dokładnie. Jakoś o trzeciej nad ranem przyszła do Wielkiego Domu i zażądała rozmowy z Chejronem. Była nieźle spanikowana.

- Czekaj... Skąd ty o tym wiesz?

Grover oblał się rumieńcem.

- Ja... No... Trochę biwakowałem pod domkiem Artemidy.

- Po co?

- Żeby, no wiesz, być blisko.

- Ty kopytny Romeo.

- Przestań! W każdym razie poszedłem za nią do Wielkiego

Domu, schowałem się w krzakach i wszystko widziałem. Była naprawdę nieszczęśliwa, kiedy Argus nie wpuścił ją do środka. Zrobiło się w sumie dość niebe-zpiecznie.

Usiłowałem to sobie wyobrazić. Argus - potężny blon-dyn z oczami na całym ciele - był szefem ochrony na obozie. Rzadko się pokazywał, chyba że działo się coś naprawdę poważnego. Nie chciałem obstawiać wyników pojedynku między nim a Zoe Nightshade.

- Co powiedziała? - zapytałem.

Grover się skrzywił.

- Wiesz, ona gada strasznie staroświecko, kiedy się zdenerwuje, więc nie bardzo zrozumiałem. Ale coś o tym, że Artemida ma kłopoty i potrzebuje Łowczyń. A potem nazwała Argusa bezmózgim ordynusem... To chyba coś nieprzyjemnego. A on nazwał ją...

- Moment, czekaj. Jakie niby Artemida ma kłopoty?

- Eee... No, w końcu Chejron wyszedł w piżamie i papi-lotach na ogonie i...

- On nosi papiloty na ogonie?

Grover zakrył dłonią usta.

- Nieważne - powiedziałem. - Mów dalej.

- No więc Zoe oznajmiła, że potrzebuje zgody na na tychmiastowe opuszczenie obozu. Chejron odmówił. Przypomniał jej, że Łowczynie mają tu pozostać do czasu, kiedy dostaną rozkazy od Artemidy. A ona na to... - Grover nabrał oddechu. - Ona powiedziała: "Jak mamy dostać rozkazy od Artemidy, skoro Artemida się zgubiła?".

- Co to znaczy, że się zgubiła? Nie wie, w którą stronę iść?

- Nie. Obawiam się, że to znaczy: zaginęła. Znikła. Ktoś ją porwał.

- Porwał? - Usiłowałem przyswoić sobie taką myśl. - Jak

można porwać nieśmiertelną boginię? Czy to w ogóle możliwe?

- No, wiesz Persefonie się zdarzyło.

- Ale ona była tak jakby boginią kwiatów

Grover zrobił urażoną minę.

- Wiosny.

- Nieważne. Artemida to zupełnie inna liga. Kto mógłby ją porwać? I dlaczego?

Satyr pokręcił żałośnie głową.

- Nie mam pojęcia. Kronos?

- On jeszcze nie ma takiej mocy. Prawda?

Ostatnim razem kiedy widzieliśmy Kronosa, był poszatkwany na kawałki. To znaczy... Właściwie go nie widzieliśmy. Tysiące lat temu, po tej wielkiej wojnie między tytanami a bogami ci ostatni pokawałkowali go jego własnym sierpem i wrzucili szczątki do Tartaru, który jest jak bezdenna boska śmieciara na wrogów. Dwa lata temu Kronos zwabił nas nad samą krawędź tej otchłani i omal nas tam nie wciągnął. A ostatniego lata widzieliśmy na pokładzie demonicznego okrętu Luke'a złoty sarkofag, do którego chłopak ponoć przyzywał pana tytanów z otchłani, kawałek po kawałku, ilekroć ktoś przyłączał się do jego armii. Kronos potrafi wpływać na ludzkie umysły za pomocą snów i oszukiwać je, ale nie mogłem sobie wyobrazić, jak miałby fizycznie pokonać Artemidę skoro nadal był stertą obrzydliwego kompostu.

- Nie wiem - powiedział Grover. - Myślę, że ktoś by się zorientował, gdyby Kronos odzyskał kształt. Bogowie byliby zaniepokojeni. Ale mimo wszystko to dziwne, że śnią ci się koszmary tej samej nocy co Zoe. To prawie tak, jakby były...

- One są połączone - oznajmiłem.

Na zamarzniętej łące jeden z satyrów poślizgnął się w trakcie pościgu za rudowłosą nimfą leśną. Driada roześmiała się i

wyciągnęła do niego ręce. Pstryk! Zamieniła się w pinie, a on ucałował pień.

- Och, miłość - szepnął sennie Grover.

Pomyślałem o koszmarze, który przyśnił się Zoe raptem kilka godzin po moim.

- Muszę pogadać z Zoe - powiedziałem.

- Hm, zanim to zrobisz... - Grover wyciągnął coś z kieszeni kurtki. Był to folder przypominający reklamę biura podróży. - Pamiętasz to, co powiedziałeś... Zdawało ci się, że one pojawiły się z nikąd na Westover Hill? Obawiam się, że mogły nas śledzić.

- Śledzić? Co masz na myśli?

Podał mi folder. Była to rekrutacyjna broszura Łowczyń Artemidy. Na jej pierwszej stronie przeczytałem hasło: ZAPLANUJ SWOJĄ PRZYSZŁOŚĆ! W środku zobaczyłem zdjęcia młodych dziewczyn polujących, goniących potwory, strzelających z łuku. I kolejne hasła: PAKIET ZDROWOTNY: NIEŚMIERTELNOŚĆ! A także ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ BEZ FACETÓW!

- Znalazłem to w plecaku Annabeth - oznajmił.

Gapiałem się na niego.

- Nie rozumiem.

- No, wiesz, mam wrażenie... że może Annabeth rozważyła dołączenie do nich.

Bardzo chciałbym powiedzieć, że dobrze zniosłem tę wiadomość. Prawda jednak taka, że miałem ochotę udusić Łowczy-nie

Artemidy - każdą wieczną dziewicę, jedną po drugiej.

Przez resztę dnia wynajdowałem sobie różne zajęcia, ale tak naprawdę zamartwiałem się o Annabeth. Po-szedłem na lekcję rzucania oszczepem, ale chłopak z domku Aresa, który nadzorował terning, wywalił mnie, kiedy w roztargnieniu cisnąłem oszczepem w tarczę, zanim on zszedł z linii strzału. Przeprosiłem go za dziurę w portkach, ale on i tak posłał mnie do wszystkich diabłów.

Odwiedziłem stajnie pegazów, ale Silena Beuregard z domku Afrodyty klóciła się tam właśnie z jedną z Łow-czyń, więc uznałem, że lepiej nie będę się mieszał.

Pozostało mi siedzieć markotnie w pustej ławce przy torze do wyścigów rydwanów. Na strzelnicy Chejron prowadził szkolenie. Wiedziałem, że to z nim powinie-nem porozmawiać. Może byłby w stanie wesprzeć mnie radą; ale coś mnie powstrzymywało. Myślałem, że Chejron będzie się starał mnie chronić, jak zawsze. Może nie powiedziec mi wszystkiego co wie.

Spojrzałem w przeciwnym kierunku. Na szczycie Wzgórza Herosów Pan D. i Argus karmili smoczątko pilnujące Złotego Runa.

I wtedy coś przyszło mi do głowy: w Wielkim Domu nie było nikogo. A tam jest ktoś inny... Coś innego, co mogłem poprosić o radę.

Krew szumiała mi w uszach, kiedy biegłem do domu i na górę po schodach. Byłem tam tylko raz, a wciąż śniło mi się to po nocach. Odsunąłem klapę i wspiąłem się na strych.

Pokój był ciemny, zakurzony i zawalony starymi grata-mi, zupełnie tak jak pamiętałem. Były tam tarcze noszą-ce ślady kłów i pazurów potworów, miecze powyginane w kształty demonicznych głów, a także nieco trofeów, na przykład

wypchana harpia oraz jaskrawopomarańczowy pyton.

Pod oknem na trój nożnym taborecie siedziała pokurczona mumia starej kobiety w hipisowskich ciuchach. Wyrocznia.

Zmusiłem się, żeby podejść do niej. Czekałem, aż z jej ust wydostanie się zielona mgła, jak poprzednio, ale nic takiego się nie wydarzyło.

- Hejka - powiedziałem. - Ekhem, jak zdrówko?

Skrzywiłem się, słysząc, jak idiotycznie to zabrzmiało. Jak można pytać o zdrówko kogoś, kto jest martwy i upchnięty na strychu? Wiedziałem jednak, że duch Wyroczni gdzieś tam jest. Czulem w tym pomieszczeniu chłodną obecność, jakby zwiniętego we śnie węża.

- Mam pytanie - odezwałem się nieco głośniej. - Muszę się dowiedzieć czegoś o Annabeth. Jak mam jąurato-wac?

Zero odpowiedzi. Przez brudne okna strychu wpadały promienie słoneczne, oświetlając drobinki kurzu tańczące w powietrzu.

Odczekałem jeszcze chwilę.

W końcu się rozzłościłem. Zostałem zlekceważony przez trupa.

- W porządku - oznajmiłem. - Spoko. Sam sobie dam radę.

Odwróciłem się i wpadłem na wielki stół pełen pamiątek. Wydał mi się jeszcze bardziej zagracony niż podczas mojej poprzedniej wizyty. Herosi składują na strychu najróżniejsze badziewia: trofea, których nie mają ochoty trzymać w domkach, oraz te przywołujące nieprzyjemne wspomnienia. Wiedziałem, że Luke upchnął tu gdzieś smoczy pazur - ten, który rozorał mu twarz.

Leżała tam też złamana rękojeść miecza z karteczką z opisem: "Miecz złamał się, a Leroy zaginął, 1999".

Obok zauważyłem różową jedwabną apaszkę, również opatrzoną karteczką. Podniosłem kartonik i usiłowałem

odczytać, co tam napisano:

APASZKA BOGINI AFRODYTY
ODZYSKANA W WODNEJ KRAINIE W DENVER
PRZEZ ANNABETH CHASE I PERCY'EGO JACKSONA

Gapilem się na apaszkę. Całkowicie o niej zapomniałem. Dwa lata temu Annabeth wyrwała mi ją z rąk, mówiąc coś w rodzaju "Trzymaj się z dala od magii miłosnej!".

Byłem pewien, że po całej tej historii musiała ją wyrzucić. A jednak chustka była tu nadal. Annabeth jednak ją zachowała? Dlaczego w takim razie wyrzuciła w końcu na strych?

Odwróciłem się do mumii. Nie poruszyła się, ale cienie układające się na jej twarzy nadały jej posepnie uśmiechnięty wyraz.

Odłożyłem chustkę i starałem się wyjść spokojnie.

Tego wieczoru po obiedzie miałem szczerzy zamiar pokonać Łowczynię w bitwie o sztandar. To powinna być prosta sprawa: raptem trzynaście Łowczyń, licząc z Biancą di Angelo i mniej więcej tyle samo obozowiczów.

Zoe Nightshade wyglądała niewyraźnie. Rzucała Chejronowi urażone spojrzenia, jakby nie mogła uwierzyć, że tak z nią postąpił. Pozostałe Łowczynię też nie wyglądały na uszczęśliwione.

Już nie śmiały się i nie żartowały jak poprzedniego wieczoru. Zbiły się w ciasną grupkę w jadalni, szepcząc coś nerwowo między sobą i poprawiając rzemyki na zbrojach. Niektóre chyba dopiero co płakały. Obawiałem się, że Zoe opowiedziała im

swój sen.

W naszej drużynie był Beckendorf i jeszcze dwóch chłopaków od Hefajstosa, kilka osób z domku Aresa (wciąż nie mogłem się przyzwyczać do nieobecności Cla-risse), bracia Hood i Nico z domku Hermesa oraz kilkoro dzieciaków od Afrodyty.

Zdziwiłem się, że domek Afro-dyty w ogóle chciał brać udział w zabawie. Oni zazwyczaj trzymali się z boku, rozmawiając we własnym

gronie i przeglądając się w rzece, ale kiedy dowiedzieli się, że będziemy grać przeciwko Łowczyniom, niespodziewanie postanowili dołączyć.

- Ja im dam, mówić: "miłość jest żalosna" - mruknęła Silena Beauregard, zapinając zbroję. - Zetrę je na proch!

No i byliśmy jeszcze ja i Thalia.

- Ja się zajmę atakiem - zaproponowała Thalia - a ty weź obronę.

- Eee - powiedziałem niepewnie, ponieważ właśnie zamierzałem wysunąć podobną propozycję, tyle że z odwróconymi rolami. - Nie wydaje ci się, że ze swoją tarczą i w ogóle będziesz lepsza w obronie?

Thalia miała już Egidę przypiętą do ramienia i nawet ludzie z naszej drużyny omijali ją szerokim łukiem, mimowolnie uchylając się przed spiżową głową Meduzy.

- Wiesz, uznałam, że ona będzie lepsza w ataku -odpowiedziała Thalia. - A poza tym masz większe doświadczenie w obronie.

Nie byłem pewny, czy sobie ze mnie kpi. Moje doświadczenie w obronie podczas bitwy o sztandar było dość fatalne. W czasie mojego pierwszego pobytu na obozie Annabeth wystawiła mnie jako rodzaj przynęty, co skończyło się tak, że omal nie wykrwawiłem się na śmierć i nie zostałem

pożarty przez piekielnego ogara.

- Dobra, spoko - skłamałem.

- Super. - Thalia odwróciła się, żeby pomóc jednej z dziewczyn od Afrodyty, która usiłowała założyć zbroję, nie łamiąc przy tym paznokci.

Do mnie podbiegł rozpromieniony Nico di Angelo.

- Percy, ale to zarąbiste! - Hełm z niebieskim czubem opadał mu na oczy, a napierśnik był conajmniej sześć razy za duży. Zastanawiałem się, czy ja wyglądałem równie idiotycznie, kiedy pojawiłem się tu po raz pierw-szy. Obawiałem się, że tak.

Nico uniósł miecz z wysiłkiem.

- Zabijamy przeciwników?

-Eee... Nie.

- Ale przecież Łowczynie są nieśmiertelne, prawda?

- Tylko jeśli nie polegną w bitwie. Poza tym...

- Byłoby super, gdybyśmy, wiesz, zmartwychwstawali zaraz po tym, jak zostaniemy zabici, żeby móc dalej walczyć i...

- Nico to jest poważna gra. Prawdziwe miecze. Można się zranić.

Wbił we mnie wzrok, w którym malowało się pewne rozczarowanie, i nagle zorientowałem się, że mówię jak moja mama. Oj. Zły znak.

Poklepałem Nica po ramieniu.

- Słuchaj, jest fajnie. Trzymaj się drużyny. Unikaj Zoe. Będzie ekstra zabawa.

Na posadzce pawilonu rozległ się stukot kopyt Chejrona.

- Herosi! - zawołał. - Znacie zasady! Strumień jest linią graniczną. Drużyna niebieska, Obozu Herosów, do-staje zachodnią część lasu. Łowczynie Artemidy, druży-na czerwona - wschodnią. Ja będę sędzią i lekarzem po-lowym. Żadnych celowych okaleczeń, proszę! Dozwolone są wszelkie przedmioty

magiczne. Na pozycje!

- Super - szepnął koło mnie Nico. - Jakie przedmioty magiczne? Ja też jakiś dostanę?

Miałem właśnie przekazać mu smutną wiadomość, że nie dostanie, kiedy odezwała się Thalia.

- Niebiescy za mną!

Wznieśliśmy okrzyk i pobiegliśmy za nią. Musiałem nieźle się wysilać, żeby ją dogonić, na dodatek potknąłem się o czyjąś tarczę, więc średnio wyglądałem na współdowodzącego. Raczej na totalną łajzę.

Osadziliśmy sztandar na szczycie Pięści Zeusa. Jest to sterta głazów na samym środku zachodniego lasu, która -jeśli spojrzec na nią pod odpowiednim kątem - wygląda jak wielka pięść wystająca z ziemi. Kiedy popa-trzy się z drugiej strony, przypomina raczej stertę jele-nich odchodów, ale Chejron nie pozwala nam nazywać tego miejsca Kupą Łajna, zwłaszcza odkąd zostało nazwane na cześć Zeusa, który nie odznacza się nadmier-nym poczuciem humoru.

W każdym razie było to świetne miejsce na sztandar. Na górny głaz siedmiometrowej wysokości naprawdę trudno się wspiąć, więc sztandar był dobrze widoczny, zgodnie z zasadami, i nie miało wielkiego znaczenia, że strażnikom nie wolno było podejść bliżej niż na dziesięć metrów.

Ustawiłem Nica na straży z Beckendorfem i braćmi Hood, zakładając, że w ten sposób będzie bezpieczny i nie będzie przeszkadzał.

- Wysyłamy przynętę na lewą stronę - powiedziała naszej drużynie Thalia - Silena, ty prowadzisz.

- Tak jest!

- Weź Laurel i Jasona. Oni dobrze biegają. Okrążcie szeroko Łowczynie i postarajcie się odciągnąć ich jak najwięcej. Ja

zajmę się główną grupą atakujących, zwabię je na prawo i wezmę z zaskoczenia.

Wszyscy potakiwali. Brzmiało to niezłe, a poza tym Thalia mówiła z taką pewnością siebie, że trudno było nie uwierzyć w zwycięstwo.

Spojrzała na mnie.

- Chcesz coś dodać, Percy?

- Yyy, tak. Nie zapominajcie o obronie. Mamy czterech strażników i dwóch zwiadowców. To niedużo jak na taki las. Ja będę krążył między wami. Krzyczcie, gdybyście potrzebowali pomocy.

- I nie opuszczać pozycji! - dodała Thalia.

- Chyba, że dostrzeżecie jakąś rewelacyjną okazję - dorzuciłem.

Thalia rzuciła mi spojrzenie spode łba.

- Po prostu nie opuszczajcie pozycji.

- Jasne, chyba że...

- Percy! - Od jej dotknięcia przeszył mnie prąd. Oczywiście każdemu się to może zdarzyć w zimie, ale kopnię-cia Thalii naprawdę bołą. To pewnie dlatego, że jej tata jest bogiem błyskawic. Thalia jest znana z tego, że zdarza jej się spalić komuś brwi.

- Przepraszam - powiedziała, ale nie zabrzmiało to przekonująco. - Okej, wszystko jasne?

Wszyscy znów przytaknęli. Rozbiliśmy się na mniejsze grupki. Zabrzmiał głos rogu i zaczęła się gra.

Grupa Sileny znikła w lesie po naszej lewej. Grupa Thalii dała im kilka sekund, po czym ruszyła na prawo.

Czekałem, aż coś się wydarzy. Wspiąłem się na Pięć Zeusa, skąd roztaczał się dobry widok na las. Pamiętam jak Łowczynie wynurzyły się spomiędzy drzew, kiedy walczyliśmy z mantikorą,

byłem więc przygotowany na coś podobnego - jeden potężny atak, który może nas zgnieść. Ale nic się nie działo.

Dostrzegłem Silene i dwójkę jej zwiadowców. Biegli przez polanę, gonieni przez pięć Łowczyń, odciągając je głęboko w las i z dala od Thalii. Plan najwyraźniej się sprawadzał. Chwilę później zobaczyłem kolejną grupkę Łowczyń zmierzającą na prawo z napiętymi łukami. Najwyraźniej wytropiły Thalię.

- Co się dzieje? - spytał Nico, usiłując wspiąć się do mnie na górę.

Moje myśli szalały. Thalia nie zdoła się przedrzeć, ale Łowczynie są podzielone. Skoro jest ich tyle na obu skrzydłach, środek będzie wolny. Gdybyśmy ruszyli szybko...

Spojrzałem na Beckendorfa.

- Dacie radę utrzymać fort?

Beckendorf prychnął.

- Perwnie.

- Wchodzę do gry.

Bracia Hood i Nico wiwatowali, kiedy popędziłem w stronę granicy.

Biegłem jak szalony i czułem się bosko. Przeskoczyłem przez strumień, wkraczając na terytorium wroga. Widziałem przed sobą ich srebrny sztandar i tylko jedną strażniczkę, która nawet nie patrzyła w moim kierunku.

Z obu stron dochodziły mnie odgłosy walki toczącej się gdzieś w głębi lasu. Udało mi się.

Strażniczka odwróciła się w ostatniej chwili. Była to Bianca di Angelo. Otworzyła szeroko oczy, kiedy runąłem na nią i wrzuciłem ją w śnieg.

- Wybacz! - krzyknąłem. Zdarłem z drzewa srebrny sztandar i ruszyłem z powrotem.

Oddaliłem się na dziesięć metrów, zanim Bianca zaczęła

wzywać, pomoc. Uznałem, że nic mi już nie grozi.

ŚWIST. Srebrna kula chwyciła mnie za kostki i przy-więzała do najbliższego drzewa. Linka wystrzelona z łuku! Zanim zdążyłem cokolwiek pomyśleć, leżałem rozciągnięty na śniegu.

- Percy! - wrzasnęła. Thalia gdzieś po mojej lewej. - Co ty wyprawiasz?

Zanim do mnie dobiegła, pod jej nogami wybuchł bełt, wypuszczając chmurę żółtawego dymu w stronę jej drużyny. Wszyscy zaczęli kaszlec i dusić się. Od strony lasu poczułem smród gazu, paskudny odór siarkowodo-ru.

- To nie fair! -jęknęła Thalia. - Smrodliwe strzały są niesportowe!

Podniosłem się i ruszyłem biegiem. Zostało mi tylko kilka metrów do strumienia i wygranej. Strzały świstały mi wokół głowy. Niespodziewanie z cienia przede mną wyłoniła się Łowczyni i uderzyła sztyletem, ale odparowałem cios i gnałem dalej przed siebie.

Po naszej stronie strumienia usłyszałem wrzaski. Beckendorf i Nico pędzili w moją stronę. Zakładałem, że przybiegli, żeby mnie przywitac, ale nagle dostrzegłem, że kogoś gonią... To była Zoe Nightshade. Zbliżała się ku mnie z prędkością geparda, bez najmniejszego kłopotu robiąc uniki przed obozowiczami. Zoe z naszym sztanda-rem w rękach.

- Nie! - wrzasnąłem i dodałem gazu.

Dzieliło mnie pół metra od wody, kiedy Zoe skoczyła na swoją stronę, wyprzedzając mnie o kilka kroków. Łow-czynie wiwatowały podczas gdy obie drużyny zbierały się nad potokiem. Z lasu wynurzył się Chejron z ponurą miną. Na grzbiecie niósł braci Hood, którzy wyglądali, jakby paskudnie oberwali po głowach. Z hełmu Connora wystawały dwie strzały niczym czułki.

- Zwycięstwo dla Łowczyń! - oznajmił bez entuzjazmu.
Chejron mruknął pod nosem: - Po raz pięćdziesiąty szósty z
rzędu.

- Perseuszu Jacksonie! - To był krzyk Thalii, przedzie-rającej
się ku mnie. Śmierdziała zgniłymi jajkami i była taka wściekła,
że po jej zbroi przebiegały niebieskie iskierki. Wszyscy kulili się
i odwracali od Egidy. Użyłem całej siły woli, żeby się nie
cofnąć.

- Co ty, na wszystkich bogów, sobie WYOBRAŻASZ? -
ryknęła.

Zacisnąłem pięści. Dość nieprzyjemności na jeden dzień. Nie
chciałem tego.

- Mam sztandar, Thalia! - Potrząsnąłem jej flagą przed nosem.
- Dostrzegłem szansę i zdobyłem go!

- DOTARŁAM DO ICH POSTERUNKU! - wrzeszcza-ła. -
Ale sztandaru nie było. Gdybyś się nie wtrącał, wygralibyśmy!

- Miałaś za dużo przeciwniczek!

- A więc to moja wina?

- Tego nie powiedziałem.

- Arrrgh! - Thalia popchnęła mnie i poczułem kopnię-cie
elektryczności, które odrzuciło mnie na kilka metrów, aż
wpadłem do wody.

Kilku obozowiczów krzyknęło z przerażenia. Jedna czy dwie z
Łowczyń stłumiły chichot.

- Przepraszam! - zawołała Thalia, blednąc. - Nie chciałam...

Poczułem wzbierający we mnie gniew. Ze strumienia
wyskoczyła fala prosto w jej twarz, zalewając ją od czubka
głowy po stopy. Podniosłem się.

- Taaa - warknąłem. - Ja też nie chciałem.

Thalia dyszała ciężko.

- Dosyc! - rozkazał Chejron.

Ale ona uniosła włócznie.

- Chcesz walki, Glonomóźdzku?

Mogłem się pogodzić z tym, że nazywała mnie tak Annabeth -w każdym razie jakoś do tego przywykłem - ale w ustach Thalii wcale to fajnie nie zabrzmiało.

- To walcz, Szycho!

Uniosłem Orkan, ale zanim zdążyłem chociażby się zamachnąć, Thalia wrzasnęła i z nieba trzasnęła błyskawicą. Uderzyła w jej włócznie jak w piorunochron i odbiła się prosto w moją klatkę piersiową.

Usiadłem ogłuszony. Czułem smród spalenizny i miałem przeczucie, że dobywa się on z mojego ubrania.

- Thalia! - zawołał Chejron. - Dosyć!

Podniosłem się na nogi i zmusiłem cały strumień do uniesienia się w górę. Zawirował i setki litrów wody stworzyły potężną lodową chmurę w kształcie leja.

- Percy! - zwrócił się do mnie Chejron błagalnie.

Miałem już skierować wodę prosto na Thalię, kiedy zobaczyłem coś w lesie. Cały mój gniew wyparował razem ze zdolnością koncentracji. Woda opadła z powrotem do strumienia. Thalia była tak zaskoczona, że spojrzała w tę samą stronę.

Ktoś... Coś się ku nam zbliżało. Było pokryte szarozieloną mgłą, ale kiedy podeszło bliżej, wszyscy - obozowicze i Łowczynie - westchnęliśmy ze zdumienia.

- To niemożliwe - powiedział Chejron. Nigdy nie słyszałem w jego głosie tyle napięcia. - To... Ona nigdy nie opuszcza strychu. Nigdy.

A jednak pomarszczona mumia kryjąca w sobie Wyrocznie kuśtykała ku nam, dopóki nie znalazła się pośrodku

zgromadzenia. Wokół naszych stóp zbierała się mgła, nadając śniegowi niezdrowy zielonokawy odcień.

Nikt nie odważył się poruszyć. Nagle w głowie usłyszałem syczący głos. Chyba wszyscy go słyszeli, ponieważ część osób zasłaniała sobie uszy rękami.

Jam jest duch Delf, głos Fojbosa Apolla, zabójcy potężnego Pythona.

Wyrocznia wpatrywała się we mnie zimnymi, martwymi oczami. A następnie zwróciła się niewątpliwie do Zoe Nightshade: *Podejź, poszukująca, i pytaj.*

Zoe przełknęła ślinę.

- Co muszę uczynić, żeby pomóc mojej bogini?

Usta Wyroczni otwarły się i wypłynęła z nich zielona mgła. Ujrzałem niewyraźny zarys góry i dziewczyny stojącej na jej nagim szczycie. To była Artemida, ale w łańcuchach, przykuta do skały. Klęczała z rękami uniesionymi jakby w próbie obrony przed napastnikiem, i wyglądało na to, że bardzo cierpiała. Wyrocznia przemówiła:

*Pięcioro niech na zachód ku spętanej ruszy, Z
których jedno zaginie w bezdeszczowej głuszy,
Drogę do niej Olimpu zagłada im wskaże, Heros
i Łowca wygrać mogą tylko w parze, Jednemu
dane wytrwać pod klątwą tytana, Jednemu zaś
śmierć ręką rodzica zadana.*

A następnie na naszych oczach mgła zawirowała i wycofała się niczym ogromny zielony wąż do ust mumii. Wyrocznia usiadła na głazie i znieruchomiała jak na strychu, jakby siedziała nad tym strumieniem od setek lat.

ROZDZIAŁ VII

NIENAWIDZĄ MNIE WSZYSCY OPRÓCZ KONIA

Wyrocznia mogłaby przynajmniej być tak miła, żeby wrócić sama z powrotem na strych.

Ale niestety nie była, a Grover i ja dostaliśmy wyznaczeni do jej odniesienia. Nie przypuszczałem, żebyśmy to zawdzięczali naszej popularności.

- Uważaj na jej głowę! - ostrzegł mnie mój przyjaciel, kiedy wspinaliśmy się po schodach. Było jednak za późno. Bum! Uderzyłem zmumifikowaną twarzą we framugę klapy, aż posypał się kurz.

- Zaczekaj - posadziłem ją i przyjrzałem się poczynionym szkodom. - Połamałem coś?

- Trudno ocenić - powiedział Grover.

Podnieśliśmy ją i usadziliśmy na taborecie, dysząc i ociekając potem. Skąd mieliśmy wiedzieć, że mumie bywają takie ciężkie?

Uznałem, że Wyrocznia nie przemówi do mnie, i miałem rację. Poczulem ulgę, kiedy wreszcie wydostaliśmy się stamtąd i zatrzasnęliśmy klapę prowadzącą na strych.

- Dobra - powiedział Grover. - To było obrzydliwe.

Wiedziałem, że usiłował zażartować ze względu na mnie, ale mimo to byłem nadal zdołowany. Cały obóz był na mnie wściekły o przegraną bitwę z Łowczyniami, a potem na dodatek ta przepowiednia Wyroczni. Było to tak, jakby duch Wyroczni Delfickiej zadał sobie trud wykluczenia mnie. Olał moje pytanie, ale przelazł prawie kilometr, żeby pogadać z Zoe. I nie powiedział nic, ani słówka, o Annabeth.

- Co robi Chejron? - zapytałem Grovera.

- Chciałbym wiedzieć. - Rzucił tęskne spojrzenie z okna drugiego piętra, spoglądając na łagodne wzgórza pokryte śniegiem. - Chciałbym się stąd wyrwać.

- Żeby ruszyć na poszukiwanie Annabeth?

Nie chciał spojrzeć mi prosto w oczy. Oblał się rumieńcem.

- Ach, tak. Jasne, to też. Oczywiście.

- Że co? - spytałem. - O czym ty myślałeś?

Zaszurał nerwowo kopytami.

- O czymś, co powiedziała mantikora, o tym Wielkim Gotowaniu. Nie mogę przestać myśleć... Jeśli wszystkie te starożytne potęgi się budzą, to może... może nie wszystkie są złe?

- Masz na myśli Pana.

Poczułem się strasznym egoistą, ponieważ kompletnie zapomniałem o życiowej ambicji Grovera. Bóg natury zaginął dwa tysiące lat temu. Krążyły pogłoski, jakoby umarł, ale satyrowie nie dawali im wiary. Uparli się, że go odnajdą. Od stuleci prowadzili bezskuteczne poszukiwania, a Grover był przekonany, że jemu się uda. W tym roku Chejron wezwał wszystkich satyrów do nadzwyczajnego poszukiwania dzieci półkrwi, więc mój przyjaciel nie mógł kontynuować swojej misji. Musiało go to doprowadzać do rozpacz.

- Ślad mi się urwał - odparł. - Jestem niespokojny, jakbym przegapił coś naprawdę ważnego. On tam gdzieś jest. Czuję to.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Chciałem dodać mu otuchy, ale nie miałem jak. Mój optymizm w zasadzie został wdeptany w śnieg w lesie wraz z naszymi nadziejami na zwycięstwo w bitwie o sztandar.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, na schodach pojawiła się Thalia. Oficjalnie nie rozmawiała ze mną, toteż spojrzała na Grovera i powiedziała:

- Powiedz Percy'emu, żeby zwlókł swój tyłek na dół.
- Po co? - spytałem.
- To się odezwało? - spytała Thalia Grovera.
- Mhm, zapytał, po co.
- Dionizos zwołuje naradę starszych wszystkich domków, żeby omówić przepowiednię - odpowiedziała. - Niestety dotyczy to również Percy'ego.

Narada odbywała się przy stole do ping-ponga w sali rekreacyjnej. Dionizos machnął ręką i pojawiły się przekąski: czipsy, krakersy i kilka butelek czerwonego wina. Następnie Chejron przypomniał mu, że wino jest niezgodne z jego karą, a większość z nas jest nieletnia. Pan D. westchnął. Pstryknął palcami i wino zamieniło się w dietetyczną colę. Tego też nikt nie pił.

Pan D. i Chejron (na wózku) siedzieli po jednej stronie stołu. Zoe i Bianca di Angelo (która stała się kimś w rodzaju osobistej asystentki Zoe) po drugiej. Thalia i Grover usiedli po prawej, a pozostali wezwani - Becken-dorf, Silena Beauregard i bracia Hood - po lewej. Dzieci Aresa miały też wysłać reprezentanta, ale wszyscy mieli połamane - z pewnością przypadkowo - ręce

lub nogi. Podziękujemy za to Łowczyniom. Wszyscy leżeli więc na infirmerii. Zoe zaczęła spotkanie od twórczej uwagi:

- To nie ma sensu.

- Czipsy serowe! - zachwycił się Grover, po czy zaczął zgarniać chrupki oraz piłeczki pingpongowe, i polewać je keczupem.

- Nie ma czasu na rozmowy - ciągnęła Zoe. - Nasza bogini nas potrzebuje. Łowczynie muszą wyruszyć natychmiast.

- Ale dokąd, jeśli łaska? - spytał Chejron.

- Na zachód! - odparła Bianca.

Nie mogłem się nadziwić, jak bardzo się zmieniła po zaledwie kilku dniach spędzonych w towarzystwie Łow-czyń. Ciemne włosy zaplatała teraz podobnie jak Zoe, więc przynajmniej było widać twarz. Miała na nosie kilka piegów, a jej ciemne oczy mgliście przypominały mi kogoś sławnego, ale nie wiedziałem kogo. Wyglądała jakby sporo trenowała, jej skóra zaś lśniła leciutko, podobnie jak pozostałych Łowczyń - jakby kąpała się w płynnym świetle księżyca.

- Słyszałeś przepowiednię "Pięcioro niech na zachód ku spętanej ruszy". Możemy wybrać pięć Łowczyń i ruszyć.

- Właśnie - potaknęła Zoe. - Artemida w niewoli! Musimy ją odnaleźć i uwolnić!

- Jak zwykle coś wam umyka - wtrąciła się Thalia. - "Heros i Łowca wygrać mogą tylko w parze". Mamy to zrobić wspólnymi siłami.

- Wykluczone! - zaprotestowała Zoe. - A po cóż ty Łowczyniom chcesz iść w sukurs?

- Sukurs - prychnęła Thalia. - Nikt normalny nie używa takich słów od jakiś trzystu lat, Zoe. Mówi się "na pomoc". Dostosuj się.

Zoe się zawahała, jakby usiłowała poprawnie wymówić to słowo.

- Twa... pomoc nam nie potrzebna.

Thalia przewróciła oczami.

- Nieważne.

- Obawiam się, że przepowiednia mówi jasno, że potrzebujecie naszej pomocy - oznajmił Chejron. - Herosi i Łowczynie muszą współpracować.

- Doprawdy? - rozmarzył się Pan D., wdychając zapach dietetycznej coli, jakby było to wino o wyjątkowo boga-tym bukicie. - Jedno się zgubi. Jedno zginie. Brzmi dość nieprzyjemnie, nieprawdaż? Co jeśli poniesiecie klęskę właśnie dlatego, że będziecie próbowali współpra-cować?

- Panie D. - westchnął Chejron. - z całym szacunkiem, ale po czyjej stoisz stronie?

Dionizos usniósł brwi.

- Wybacz, drogi centaurze. Chciałem tylko pomóc.

- Mamy pracować razem - upierała się Thalia. - Mnie też to się nie podoba, Zoe, ale wiesz, jak to jest z przepo-wiedniami. Chcesz walczyć z jedną z nich?

Zoe skrzywiła się, ale wiedziałem, że Thalia właśnie zarobiła punkt.

- Nie możemy zwlekać - ostrzegł nas Chejron. - Dziś niedziela. A w najbliższy piątek, dwudziestego pierwsze-go grudnia wypada zimowe przesilenie.

- Już się cieszę - mruknął Dionizos. - Kolejny doroczny nudny zlot rodzinny.

- Artemida musi być obecna na spotkaniu - powiedzia-ła Zoe.
- To jej najbardziej leży na sercu kwestia, żeby wystąpić przeciwko hordom Kronosa. Jeśli jej zabrak-nie, bogowie terminów żadnych nie osiągną. Stracimy kolejny rok wojennych

przygotowań.

- Czyżbyś sugerowała, że bogowie nie potrafią współ pracować, młoda damo? - spytał Dionizos.

- Tak, Panie Dionizosie.

Pan D. skinął głową.

- Tylko się upewniałem. Masz oczywiście rację. Jedźmy dalej.

- Muszę się zgodzić z Zoe - powiedział Chejron. - Obecność Artemidy podczas zimowej narady jest kluczo-wa. Mamy zaledwie tydzień na jej odnalezienie. I, co być może jeszcze ważniejsze, odnalezienie potwora, na którego polowała. Na początek musimy ustalić skład wyprawy.

- Trzy plus dwa - powiedziałem.

Wszyscy zwrócili na mnie wzrok. Nawet Thalia zapomniała, że nie istniałem.

- Ma nas być pięcioro - powiedziałem, nieco skrępowany. - Trzy Łowczynie, dwie osoby z Obozu Herosów. To chyba sprawiedliwe.

Thalia i Zoe wymieniły spojrzenia.

- No - odezwała się Thalia. - To nawet ma sens.

Zoe prychnęła.

- Wolałabym zabrać wszystkie Łowczynie. Będziemy potrzebować wsparcia.

- Będziecie szli po śladach bogini - przypomniał jej Chejron. - Musicie poruszać się szybko. Nie ulega wątpliwości, że Artemida znalazła trop tego rzadkiego potwora, czymkolwiek on jest, i ruszyła na zachód. Wy musicie uczynić tak samo. Tu przepowiednia jest jasna: zagłada Olimpu wskaże drogę. Co powiedziałabym wasza mistrzyni? "Zbyt wiele Łowczyń zatrze trop". Lepsza jest mała grupka.

Zoe wzięła do ręki paletkę do ping-ponga i wpatrywała się w nią tak, jakby rozważała, komu przywalić naj-pierw.

- Ten potwór... Zagłada Olimpu. Poluję u boku Pani Artemidy od wielu lat, ale nie potrafiłabym rzec, co to mogłoby być.

Wszyscy spojrzeli na Dionizosa, zapewne dlatego, że był jedynym bogiem w towarzystwie, a bogowie powinni wiedzieć takie rzeczy. Pan D. przerzucał kartki katalogu win, ale podniósł wzrok, kiedy wszyscy umilkli.

- Przestańcie się na mnie gapić. Jestem młodym bogiem, zapomnieliście? Nie pamiętam tych wszystkich pradawnych potworów i zakurzonych tytanów. Nie da się z nimi pogadać przy winie.

- Chejronie - odezwałem się - czy wie pan coś o takim potworze?

Chejron zacisnął usta.

- Parę możliwości przychodzi mi do głowy, ale żadna z nich nie napawa mnie optymizmem. Co więcej, żadna nie ma za bardzo sensu. Na przykład taki Tyfon pasowałby do opisu. Był rzezywiście zagłada Olimpu. Albo też taki potwór morski Ketos. Gdyby jednak którykolwiek z nich zamierzał powstać, wiedzielibyśmy o tym. To są morskie potwory wielkości wieżowców. Twój ojciec Posejdon już biłby na alarm. Obawiam się, że ten potwór jest bardziej nieuchwytny. Może nawet potężniejszy.

- Jesteście chyba w poważnych kłopotach - odezwał się Connor Hood. (Sprytnie użył drugiej osoby, a nie pierwszej). - Wygląda na to, że co najmniej dwójka z tej piątki zginie.

- "Jedno zaginie w bezdeszczowej głuszy" - zacytował Beckendorf. - Na waszym miejscu trzymałbym się z dala od pustyni.

Rozległy się przytakujące pomruki.

- "Jednemu dane wytrwać pod klątwą Tytana" - powiedziała Silena. - Co to znaczy?

Dostrzegłem, że Chejron i Zoe wymieniają nerwowe spojrzenia, ale cokolwiek sobie pomyśleli, nie uznali za właściwe podzielić się tym z innymi.

- "Jednemu zaś śmierć ręką rodzica zadana" - wymam rotał Grover między kęsami chrupek serowych i piłeczek pingpongowych. - Jak to możliwe? Jaki rodzic zabiłby własne dziecko?

Przy stole zapanowało posępne milczenie.

Zerknąłem na Thalię, zastanawiając się, czy myśli o tym samym co ja. Wiele lat temu Chejron otrzymał przepowiednię o następnym dziecku Wielkiej Trójki - Zeusa, Posejdona lub Hadesa - i jego szesnastych urodzinach. To dziecko miałoby podjąć decyzję, która ocali lub na zawsze zniszczy bogów. Dlatego właśnie po drugiej wojnie światowej Wielka Trójka postanowiła nie mieć więcej dzieci. A mimo to Thalia i ja urodziliśmy się i teraz oboje zbliżaliśmy się do szesnastki.

Przypomniała mi się moja zeszłoroczna rozmowa z Annabeth. Zapytałem ją, dlaczego, skoro mogę być tak niebezpieczny, bogowie po prostu mnie nie zabijają.

Niektórzy bogowie woleliby cię zabić - odpowiedziała - ale zapewne boją się obrazić Posejdona.

Czy olimpijski rodzic może zwrócić się przeciwko własnemu dziecku półkrwi? Czy czasem nie najłatwiej jest dać komuś umrzeć? Jeśli kiedykolwiek istnieli herosi, których mógł dręczyć taki problem, to Thalia i ja z pewnością do nich należeliśmy. Pomyślałem, że może jednak powinienem posłać Posejdonowi ten krawat w muszelki na Dzień Ojca.

- Ktoś zginie - przytaknął Chejron. - Tyle wiemy.

- Wspaniale! - zawołał Dionizos. Wszyscy spojrzeli na niego. Podniósł niewinnie wzrok znad katalogu win. - Och, przeczytałem właśnie o tryumfalnym powrocie

pinot noir. Nie przejmujcie się mną.

- Percy ma rację - powiedziała Silena Beauregard. - Powinny pójść dwie osoby z obozu.

- Ach, rozumiem - odrzekła sarkastycznie Zoe. - I mniemam, że zgłaszasz się na ochotnika?

Silena się zarumieniła.

- Nie wybieram się nigdzie z Łowczyniami. Nie patrzcie na mnie!

- Córka Afrodyty nie chce, żeby na nią patrzeć - parsknęła Zoe. - Co powiedziałyby na to twoja mamusia?

Silena aż podskoczyła na krześle, ale bracia Hood ją powstrzymali.

- Przestańcie - powiedział Beckendorf. Był to potężnej budowy chłopak o jeszcze potężniejszym głosie. Nie odzywał się często, ale jak już mówił, to ludzie zazwyczaj słuchali. - Zaczniemy od Łowczyń. Które trzy idą?

Podniosła się Zoe.

- Ja, oczywiście. I zabieram Phoebe, jest naszą najlepszą tropicielką.

- To ta wielka, która lubi walić ludzi po łbach? - spytał ostrożnie Travis Hood.

Zoe przytaknęła.

- Ta, która wbiła mi strzały w hełm? - upewnił się Connor.

- Tak - wakrnęła Zoe. - Czemu tak dopytujecie?

- Nic takiego - odparł Travis. - Mamy dla niej podkoszulek z obozowego sklepiku. - Wyciągnął wielki srebrny podkoszulek, na którym widniał napis ARTEMIDA, BOGINI KSIĘŻYCA, TRASA ŁOWIECKA JESIEŃ

2002 oraz długa lista parków narodowych i rezerwatów pod spodem. - To przedmiot kolekcjonerski. Bardzo się jej podobał. Przekażesz jej?

Czułem, że bracia coś knują. Zawsze tak było. Obawiałem się jednak, że Zoe nie zna ich tak dobrze, jak ja. Westchnęła i wzięła podkoszulek.

- Jak już mówiłam, zabieram Phoebe. I chciałabym, żeby udała się ze mną Bianca.

Bianca spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Ja? Ale... Ja jestem nowa. Na nic się nie przydam.

- Poradzisz sobie - oznajmiła Zoe. - Nie ma lepszego sposobu na to, żeby wykazać swą wartość.

Bianca zamknęła usta. Zrobiło mi się jej żal. Pamiętałem moją pierwszą misję, kiedy miałem dwanaście lat. Czułem się kompletnie nieprzygotowany. Pewnie, wiedziałem niby, że to zaszczyt, ale byłem też bardzo nie-pewny i okropnie przerażony. Wyobrażałem sobie, że podobne myśli muszą teraz krążyć po jej głowie.

- A co z herosami? - spytał Chejron. Spojrzał mi prosto w oczy, ale nie byłem w stanie odgadnąć, co sobie myśli.

- Ja! - Grover podniósł się tak szybko, że uderzył w stół do ping-ponga. Strząsnął z kolan okruszki i resztki piłeczek. - Zrobię wszystko, żeby pomóc Artemidzie!

Zoe zmarszczył nos.

- Obawiam się, że nie, satyrze. Nie jesteś herosem.

- Ale jest obozowiczem - odparła Thalia. - No i ma zmysły satyra i zna magię przyrody. Nauczyłeś się już pieśni tropiciela, Grover?

- Jasne.

Zoe się zamyśliła. Nie miałem pojęcia, czym jest pieśń tropicieli, ale ona najwyraźniej uważała, że to coś przydatnego.

- Doskonale - powiedziała w końcu. - A kto drugi?

- Ja - Thalia wstała i rozejrzała się dookoła, jakby czekając, czy ktoś odważy się jej zaprzeczyć.

No dobra, może i moje zdolności matematyczne nie są najlepsze na świecie, ale nagle zorientowałem się, że właśnie dotarli do pięciu, a mnie nie było w grupie.

- Ej, zaczekajcie sekundkę - odezwałem się. - Ja też chcę iść.

Thalia nic nie powiedziała. Chejron wpatrywał się we mnie smutnym wzrokiem.

- Oj - powiedział Grover, najwyraźniej dopiero teraz zdał sobie sprawę z problemu. - Ojej kompletnie zapomniałem! Percy musi iść. Nie miałem... Zostanę. Percy pójdzie za mnie.

- Nie może - oznajmiła Zoe. - To chłopak. Nie pozwolę, aby Łowczynie podróżowały z chłopakiem.

- Podróżowałyście tutaj ze mną- przypomniałem jej.

- To była krótka podróż i wyjątkowa sytuacja, a poza tym, wypełniam rozkaz bogini. Nie zamierzam włączyć się po całym kraju i walczyć z wieloma niebezpieczeństwami w towarzystwie chłopaka.

- A Grover?

Zoe pokręciła głową.

- Nie liczy się. To satyr. Technicznie rzecz biorąc, chłopakiem nie jest.

- Ej że! - zaprotestował Grover.

- Muszę iść - oznajmiłem. - Muszę być w tej drużynie.

- Dlaczego? - spytała Zoe. - Z powodu twej miłej Anna-beth?

Poczułem, że się rumienię. Byłem wściekły, że wszyscy się na mnie gapią.

- Nie! To znaczy trochę. Po prostu uważam, że powinienem pójść!

Nikt nie powiedział ani słowa w mojej obronie. Pan D. czytał nadal swój katalog, sprawiając wrażenie totalnie znudzonego. Silena, bracia Hood i Beckendorf siedzieli ze wzrokiem wbitym w stół. Bianca spojrzała na mnie ze współczuciem.

- Nie - oznajmiła twardo Zoe. - Nalegam. Jeśli muszę, zgodzę się na satyra, ale nie na herosa.

Chejron westchnął.

- To misja w sprawie Artemidy. Łowczynie mają prawo wybrać towarzyszy.

W uszach mi dzwoniło, ale usiadłem. Wiedziałem, że Groverowi i kilku innym osobom jest mnie żal, ale nie byłem w stanie spojrzeć im prosto w oczy. Siedziałem i czekałem, aż Chejron zakończy spotkanie.

- Niech więc tak będzie - powiedział. - Thalia i Grover będą towarzyszyć Zoe, Bianca i Phoebe. Wyruszyście skoro świt, i niech bogowie - zerknął na Dionizosa - włączając w to obecnych, mam nadzieję, będą z wami.

Nie poszedłem tego wieczoru na kolację, co okazało się błędem, ponieważ Chejron i Grover przyszli mnie szukać.

- Przepraszam, Percy! - zawołał satyr, siadając koło mnie na łóżku. - Nie miałem pojęcia, że one... że ty... Naprawdę!

Zaczął pochlipywać, a ja uznałem, że jeśli go nie pocieszę, to albo zacznie wyć, albo pogryzie mi materac. Grover ma zwyczaj zjadać sprzęty domowe, kiedy się zdenerwuje.

- Wszystko w porządku - skłamałem. - Naprawdę. Wszystko gra.

Jego dolna warga zadrżała.

- Nawet nie pomyślałem... Byłem tak skupiony na pomocy Artemidzie. Ale obiecuję, że będę szukał Anna-beth ze wszystkich sił. Jeśli jestem w stanie ją odnaleźć, to ją odnajdę.

Przytaknąłem i starałem się nie zważać na otchłań otwierającą się w mojej piersi.

- Groverze - odezwał się Chejron - może pozwoliłbyś mi zamienić słówko z Percym?

- Jasne - pociągnął nosem.

Chejron patrzył na niego wyczekująco.

- Ach - powiedział Grover. - Miałeś na myśli na osobności. Oczywiście, Chejronie. - Spojrzał na mnie żałośnie. - Widzisz? Nikt nie potrzebuje kozła.

Wycłapał przez drzwi, wycierając nos w rękaw.

Chejron przyklęknął na swych końskich nogach z westchnieniem.

- Percy, nie będę udawał, że rozumiem przepowiednię.

- Taa - odpowiedziałem. - Może dlatego, że one nie mają sensu?

Chejron spojrzał na słone źródło bulgoczące w rogu pokoju.

- Gdybym to ja miał wybierać drużynę na tę wyprawę, nie postawiłbym w pierwszym rzędzie na Thalię. Jest zbyt porywcza. Działa, nie zawsze przy tym myśląc. No i jest zbyt pewna siebie.

- Wybrałby pan mnie?

- Szczerze mówiąc, nie - odparł. - Ty i Thalia jesteście bardzo do siebie podobni.

- Dzięki.

Uśmiechnął się.

- Różnica między wami jest taka, że ty jesteś mniej pewny siebie. To może być korzystne albo nie. Ale mogę powiedzieć jedno: wy razem stanowicie wielkie niebez-pieczeństwo.

- Dalibyśmy sobie radę.

- Tak jak przy tym potoku po bitwie?

Nie odpowiedziałem. Miał rację.

- Może to wyjdzie ci to na dobre - powiedział Chejron w zamyśleniu. - Będiesz mógł pojechać na święta, do mamy.

- Taa - odrzekłem. - Może.

Wyciągnąłem Orkan z kieszeni i położyłem go na nocnej

szafce. Miałem przeczucie, że użyję go najwyżej do pisania kartek świątecznych. Chejron skrzywił się na widok długopisu.

- Chyba się nie dziwię, że Zoe nie chce cię na wyprawie. Zważywszy, że posługujesz się tą konkretną bronią,

Nie wiedziałem, o czym mówił. A potem przypomniałem sobie coś, co mi powiedział, kiedy dał mi tę magiczną broń: *Ten miecz ma długie i tragiczne dzieje, których nie możemy teraz omawiać.*

Miałem ochotę go o to zapytać, ale on wyjął z juków złotą drahmę i rzucił miją.

Zadzwoń do mamy, Percy. Powiedz jej, że jutro rano przyjedziesz do domu. Ach... i jeśli mato jakieś znaczenie... omal sam nie zgłosiłem się na tę misję. Byłbym pojechał, gdyby nie ostatni wers.

- "Jednemu zaś śmierć ręką rodzica zadana". Mhm.

Nie musiałem pytać. Wiedziałem już, że ojcem Chejrona jest Kronos, złowrogi władca tytanów. Ten wers miałby szczególne znaczenie, gdyby Chejron udał się na wyprawę. Kronos nie troszczy się o nikogo, włączając w to własne dzieci.

- Chejronie - powiedziałem. - Pan wie, co to jest ta klątwa tytana, prawda?

Jego twarz sposepniała. Złożył palce w szpony na wysokości serca i zrobił ruch, jakby coś od siebie odpychał, w starożytnym geście odpędzania złych sił.

- Miejmy nadzieję, że ta przepowiednia nie oznacza tego, o czym myślę. Dobranoc, Percy. Twój czas jeszcze nadejdzie. Jestem o tym przekonany. Nie trzeba się spieszyć.

Powiedział to "twój czas" takim tonem, jakim zazwyczaj mówi o śmierci. Nie wiedziałem, czy Chejron miał to na myśli, ale w jego wzroku było coś co sprawiło, że nie śmiałem zapytać.

Stałem przy słonym źródle, przewracając w ręce otrzymaną przez Chejrona monetę i usiłując wymyślić, co mam powiedzieć mamie. Wcale nie byłem w nastroju, żeby kolejny dorosły mówił mi, że nicnierobienie jest najlepsze, co mogę zrobić, ale uznałem, że mama zasługuje na wieści ode mnie. Wziąłem głęboki wdech i rzuciłem monetę.

- Bogini, przyjmij moją ofiarę.

Mgielka zamigotała. Światła dobiegającego z pokoju wystarczyło, żeby uzyskać bladą tęczę.

- Pokaż mi Sally Jackson - powiedziałem. - Na Manhattanie, Upper East Side.

We mgle pojawiła się scena, której się nie spodziewałem. Mama siedziała przy naszym kuchennym stole... z jakimś facetem. Oboje zaśmiewali się do łez. Mężczyzna mógł mieć... Ja wiem? Trochę ponad trzydziestkę? Miał długawe szpakowate włosy i brązową kurtkę narzucony na czarny podkoszulek. Wyglądał jak jakiś aktor... Taki, który grywa role tajnych agentów w serialach telewizyjnych.

Byłem zbyt zdumiony, żeby cokolwiek powiedzieć. Na szczęście mama i ten facet byli za bardzo zajęci śmieciem się, żeby zauważyć moją tęczowe połączenie.

- Ależ z ciebie szalona kobieta, Sally - odezwał się ten gość. - Chcesz jeszcze wina?

- Nie powinnam. Ale ty sobie nalej, jeśli masz ochotę.

- W sumie chętniej skorzystałbym z twojej łazienki. Mogę?

- Na końcu korytarza - odpowiedziała, usiłując przestać się śmiać.

Wyglądający na aktora koleś wstał i wyszedł.

- Mamo! - zawołałem.

Tak ją zaskoczyłem, że ona nie zrzuciła tych wszystkich podręczników ze stołu. W końcu udało jej się skupić na mnie.

- Percy! Kochanie! Wszystko w porządku?

- Co ty wyprawiasz? - zapytałem surowo.

Zamrugnęła oczami.

- Odrabiam zadanie - W tej chwili najwyraźniej zrozumiała, co znaczy moja mina. - Och, kochanie, to tylko Paul... To znaczy pan Blofis. Chodzimy razem na zajęcia z pisania.

- Pan Popis?

- Blofis. On tu zaraz wróci, Percy. Powiedz mi, co się dzieje. Zawsze wyczuwała, że coś "się dzieje". Powiedziałem jej o Annabeth. O innych sprawach też, ale w sumie wszystko sprowadzało się do Annabeth.

W oczach mamy pojawiły się łzy. Wiedziałem, że bardzo starała się nie rozkleić ze względu na mnie.

- Och, Percy...

- No. I powiedzieli mi, że nic nie mogę zrobić. To pewnie przyjadę do domu.

Obracała w palcach ołówki.

- Bardzo bym chciała, żebyś wrócił do domu, Percy - westchnęła, jakby była zła na samą siebie - i bardzo bym chciała, żebyś był bezpieczny, ale musisz coś zrozumieć. Musisz robić to, co uważasz za słuszne.

Gapiałem się na nią, nic nie rozumiejąc.

- Co masz na myśli?

- Chodzi mi o to, że tak naprawdę w duszy wierzysz, że możesz pomóc ją uratować? Sądzisz, że to właśnie powinieneś zrobić? Bo ja wiem o tobie jedną rzecz, Percy. Twoje serce zawsze ma rację. Słuchaj go.

- Ty... Ty mówisz, że powinienem pojechać?

Mama zacisnęła usta.

- Mówię ci, że... Jesteś już za duży na to, żebym mówiła ci, co masz robić. Mówię ci, że będę cię wspierać, nawet jeśli postanowisz zrobić coś niebezpiecznego. I sama nie wierzę, że to mówię.

- Mamo...

Usłyszałem odgłos spluczki w końcu korytarza naszego mieszkania.

- Nie mam dużo czasu - powiedziała mama. - Cokolwiek postanowisz, Percy, pamiętaj, że cię kocham. I wiem, że zrobisz wszystko, żeby pomóc Annabeth.

- Skąd ta pewność?

- Bo ona zrobiłaby wszystko dla ciebie.

Po czym mama pomachała ręką we mgle i połączenie przerwało się, pozostawiając mnie z obrazem jej uśmiechniętego nowego przyjaciela, pana Popisa.

Nie pamiętam, kiedy zasnąłem ale pamiętam sen.

Znów znalazłem się w tej pustej grocie, której sklepienie zwieszało się całym ciężarem nisko nad moją głową. Pod ciężarem tej mrocznej masy, przypominającej stertę głazów, klęczała Annabeth. Była zbyt zmęczona, żeby krzyczeć. Jej nogi drżały. W każdej chwili mogła stracić siły, a wtedy sklepienie jaskini zawałiłoby się na nią.

- Jak się miewa nasz śmiertelny gość? - rozległ się dudniący męski głos.

To nie był Kronos. Jego głos brzmi chrapliwie i metalicznie, jak ostrze noża na kamieniu. Słyszałem jego szyderstwa wiele razy w snach. Ten głos był znacznie głębszy i niższy, jak gitara basowa. Jego moc wprawiała ziemię w drżenie.

Z cieni wynurzył się Luke. Podbiegł do Annabeth, ukląkł przy

niej, po czym zwrócił się ponownie do niewidzialnego mężczyzny.

- Słabnie. Musimy się pospieszyć.

Co za hipokryta. Jakby go w ogóle ochodził jej los.

Głęboki głos zarechotał. Należał do kogoś kryjącego się w cieniu, na samym obrzeżu mojego snu. W tej samej chwili mięsista ręka rzuciła kogoś w krąg światła... Artemidę, której ręce i nogi był spętane łańcuchami z niebiańskiego spizu.

Krzyknąłem. Jej srebrzysta tunika była podarta i poszarpiona. Na twarzy i ramionach widniały skaleczenia, z których płynął ichor, złota krew bogów.

- Słyszałaś chłopaka - powiedział mężczyzna kryjący się w cieniu. - Decyduj!

W oczach Artemidy zapłonął gniew. Nie miałem pojęcia, dlaczego po prostu nie rozkaże łańcuchom pęknąć albo sama nie zniknie, ale najwyraźniej nie był w stanie. Może łańcuchy jej to uniemożliwiały, a może w tym mrocznym, straszliwym miejscu działała jakaś magia.

Bogini spojrzała na Annabeth i na jej twarzy pojawiły się troska i wściekłość.

- Jak śmiesz tak torturować dziewczynę!

- Ona wkrótce umrze - powiedział Luke. - A ty możesz ją ocalić.

Annabeth wydała cichy jęk protestu. Miałem wrażenie, że serce zaciska mi się w ciasny węzeł. Chciałem pobiec do niej, ale nie mogłem się ruszyć.

- Uwolnij moje ręce - powiedziała Artemida.

Luke wyciągnął swój miecz, Szerszenia. Jednym sprawnym ruchem przeciął kajdany na rękach bogini.

Artemida podbiegła do Annabeth i zdjęła jej ciężar z ramion. Dziewczyna upadła na ziemię i leżała tam, dygocząc. Bogini

zatoczyła się, usiłując podtrzymać czarne skały.

Męski głos w mroku zarechotał.

- Jesteś równie przewidywalna jak łatwa do pokonania, Artemido.

- Zaskoczyłeś mnie - powiedziała, uginając się pod ciężarem. - To się więcej nie zdarzy.

- Zaiste - odparł tamten. - Teraz mamy cię z głowy na dobre! Wiedziałem, że nie oprzesz się chęci pomocy młodej dziewczynie. To jest w końcu twoja specjalność, moja droga.

Artemida jęknęła.

- Nie znasz takiego pojęcia jak miłosierdzie, wieprzu.

- W tej kwestii - przytaknął męski głos - możemy się zgodzić. Możesz już zabić dziewczynę, Luke.

- Nie! - krzyknęła Artemida.

Luke się zawahał.

- Ona... może się jeszcze przydać, panie... Znów jako przynęta.

- Przynęta! Naprawdę w to wierzysz?

- Tak, Generale. Oni po nią przyjdą. Jestem pewny.

Tamten się zastanowił.

- Niech w takim razie pilnują jej tu drakainy. Zakłada-jąc, że nie umrze od odniesionych ran, możemy trzymać ją przy życiu do przesilenia. A potem, jeśli nasza ofiara pójdzie jak należy, jej życie będzie bez znaczenia. Tak samo jak życie wszystkich pozostałych śmiertelników.

Luke uniósł bezwładne ciało Annabeth i oddalił się od bogini.

- Nigdy nie znajdziecie potwora, którego szukacie - powiedziała Artemida. - Wasz plan spali się na pane-wce.

- Jak ty mało wiesz o świecie, młoda boginko - powiedział głos z mroku. - Twoje ukochane służki już rozpo-czynają wyprawę, żeby cię odnaleźć. Powędrują prosto w moje ręce. A teraz, jeśli wybaczysz, przed nami długa droga. Musimy powitać

twoje Łowczynie i zapewnić im... dobrą zabawę. - Śmiech mężczyzny rozległ się echem w ciemności, wstrząsając ziemią, aż wydawało się, że całe sklepienie runie w dół.

Obudziłem się z krzykiem. Byłem pewny, że słyszałem głośnie stukanie. Rozejrzałem się po domku. Na zewnątrz było ciemno. Słone źródło wciąż bulgotało. Nie było słychać żadnych innych dźwięków oprócz pohukiwania sowy w lesie i szumu dalekich fal na plaży. W świetle księżycy na mojej szafce nocnej leżała bejsbo-lówka Annabeth. Wpatrywałem się w nią przez chwilę i wtedy znów usłyszałem: BUM BUM.

Ktoś albo coś waliło w moje drzwi. Chwyciłem Orkan i poderwałem się z łóżka.

- Hej? - zawołałem.

STUK STUK. Podpełzłem do drzwi.

Odetkałem ostrze i szybkim ruchem otworzyłem drzwi, by znaleźć się twarzą w twarz z czarnym pegazem.

Hej a, szefie! - odezwał się w moich myślach jego głos, kiedy rumak cofał się przed ostrzem miecza. - *Nie chcę skończyć jako końburger!*

Zamachał nerwowo czarnymi skrzydłami, a powiew wiatru odepchnął mnie krok w tył.

- Mroczny - powiedziałem z ulgą, ale też z lekkim poirytowaniem. - Jest środek nocy!

Pegaz prychnął: - *Niezupełnie, szefie. Jest piąta rano. Czemu jeszcze śpisz?*

- Ile razy mam ci powtarzać? Nie nazywaj mnie szefem.

Jak sobie życzysz, szefie. Ty tu rządzisz. Jesteś moim ulubieńcem. Przetarłem oczy, żeby się rozbudzić, i starałem się nie pozwolić pegazowi odczytać moich myśli. To jeden z

problemów bycia synem Posejdona: to on stworzył konie z piany morskiej, więc jestem w stanie porozumieć się z większością koniowatych, ale one słyszą również i mnie. Czasami, jak to zrobił Mroczny, w pewnym sensie mnie adoptują.

Bo wiecie, Mroczny był jeńcem na statku Luke'a ostatniego lata, dopóki nie wywołaliśmy tam niewielkiej rozróby, dzięki której mógł uciec. Naprawdę miałem z tym niewiele wspólnego, ale on uznał, że to ja go uwolniłem.

- Mroczny - powiedziałem - powinieneś być teraz w stajni.

E tam, stajnie. Widziałeś kiedyś, żeby Chejron nocował w stajni?

- No... Nie.

No. Słuchaj, pewien mały morski przyjaciel potrzebuje twojej pomocy.

- Znowu?

Mhm. Powiedziałem hipokampom, że cię przywiozę.

Westchnąłem. Ilekroć znalazłem się w pobliżu morza, hipokampy prosiły mnie, żebym pomagał im rozwiązywać ich problemy. A one mają mnóstwo problemów. Wieloryby wyrzucone na brzeg, morświny zaplątane w sieci rybackie, trytony z powbijanymi w ogony haczykami - za każdym razem wzywają mnie pod wodę na pomoc.

- Okej - powiedziałem. - Już idę.

Jesteś wielki, szefie!

- I nie nazywaj mnie szefem!

Mroczny zarżał cicho. Uznałem, że to mógł być śmiech.

Obejrzałem się na moje wygodne łóżko. Spizowa tarcza wciąż wisiała na ścianie, pogięta i nienadająca się do użytku. A na nocnym stoliku leżała magiczna bejsbołówka Annabeth. Coś kazało mi ją wsunąć do kieszeni.

Podejrzewam, że już wtedy miałem przeczucie, że nie wrócę szybko do mojego domku.

ROZDZIAŁ VIII

SKŁADAM NIEBEZPIECZNAŃ OBIETNICĘ

Mroczny zawiózł mnie na plażę i muszę przyznać, że było to super doświadczenie. Przejazdźka na latającym koniu, prześlizgującym się nad falami z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, z wiatrem rozwiewającym mi włosy i pianą morską uderzającą w twarz - to bije na głowę każde narty wodne.

To tutaj. Mroczny zwolnił i zatoczył koło, po czym zanurkował pod wodę.

- Dzięki. - Zsunąłem się z jego grzbietu i wpadłem prosto do morza.

Przez ostatnie dwa lata przyzwyczailem się do tego rodzaju sztuczek. Pod wodą mogę się poruszać, jak chcę, wystarczy mi rozkazać prądom morskim, żeby zmieniły bieg i popchnęły mnie we właściwym kierunku. Mogę też bez problemu oddychać, a moje ubrania nie mokną, chyba że tego chcę.

Zanurkowałem w mroczną głębię.

Pięć, dziesięć, piętnaście metrów. Ciśnienie nie stanowiło kłopotu. Nigdy nie przeginałem - nie starałem się przekonać jak nisko mogę zejść. Wiem, że większość zwykłych ludzi nie może

przekroczyć siedemdziesięciu metrów, nie ryzykując zgniecenia jak aluminiowa puszka. Powinienem również właściwie być ślepy w tak głębokiej wodzie nocą, ale widziałem ciepło emitowane przez żywe stworzenia oraz zimno prądów. Trudno to opisać. To co innego niż zwykle widzenie, po prostu potrafiłem powiedzieć, gdzie co jest.

Zbliżając się do dna, zobaczyłem hipokampy - konie z rybimi ogonami - pływające wokół przewróconej łódki. Były niezwykle piękne: ich ogony błyszczały wszystkimi kolorami tęczy i otaczała je fosforyzująca poświata. Grzywy lśniły bielą. Zwierzęta galopowały przez wodę, tak jak nerwowe konie podczas burzy. Coś je niepokoiło.

Kiedy podpłynąłem bliżej, zobaczyłem, na czym polegał problem. Ciemny kształt -jakieś zwierze - był zaklino-wany pod łódką i zaplątany w sieć rybacką, jedną z tych ogromnych sieci, których używa się na trałowcach, żeby chwytac wszystko, co się nawinie. Nienawidzę ich. Nie dość, że topią delfiny i morświny, to na dodatek czasami łapią się w nie mityczne zwierzęta. Kiedy sieci się zaplą-czą leniwi rybacy po prostu odcinają je, skazując uwię-zione zwierzęta na śmierć.

Najwyraźniej to nieszczęsne stworzenie włączyło się po dnie zatoki Long Island i zaplątało się w sieć zatopione-go kutra. Widocznie usiłowało się wydostać, ale utknęło przez to jeszcze mocniej, przechylając jednocześnie łódkę. Teraz wrak kadłuba, który opierał się o wielką skałę chwiał się i groził w każdej chwili przygnieceniu zaplątanego zwierzęcia.

Hipokampy pływały wokół jak szalone, chętne do po-mocy, ale nie bardzo wiedziały, jak się zabrać do rzeczy. Jeden z nich usiłował przegryźć sieć, ale zęby hipokam-pów nie są stworzone do gryzienia lin. Hipokampy są bardzo silne, ale nie mają rąk, a

na dodatek nie są(sza!) szczególnie bystre.

Uwolnij go, panie! - odezwał się jeden z nich na mój widok. Pozostałe dołączyły, prosząc o to samo.

Podpłynąłem bliżej, aby przyjrzec się zaplątanej w sieć istocie. Z początku myślałem, że to młody hipokamp. Zdarzało mi się już takie ratować. Ale w tej samej chwili usłyszałem dziwaczny dźwięk, którego nie spodziewałem-bym się pod wodą.

- Muuuuu!

Przyjrzałem się stworzeniu i przekonałem się, że to chyba krowa. Oczywiście... słyszałem o "morskich kro-wach" i tym podobnych, ale to naprawdę była krowa, tyle że tylną część ciała miała węzową. Przód należał do cielęcia - bardzo młodego, o czarnej sierści i wielkich, smutnych brązowych oczach oraz białym pysku - ale tył był czarno-brązowym węzowym ogonem z płetwami i od dołu i od góry, zupełnie jak u ogromnego węgorza.

- Hej, malutki - powiedziałem. - Skądżeś ty się wziął? Stworzenie popatrzyło na mnie ze smutkiem.

- Muuu!

Niestety nie rozumiałem jego myśli. Mówię tylko po końsku.

Nie wiemy czym on jest - powiedział jeden z hipokam-pów.

-Teraz pojawia się wiele dziwacznych stworzeń.

- Tia - mruknąłem. - Też tak słyszałem.

Odetkałem Orkan i miecz wyrósł na pełną długość w mojej ręce, jego spizowa głownia lśniła w ciemności.

Węzowe ciele przestraszyło się i zaczęło szarpać się w sieci. W jego oczach czaiło się przerażenie.

- Spokojnie! - zawołałem. - Nie zrobię ci krzywdy! Muszę tylko rozciąć sieć.

Ale węzowa krówka rzucała się jak szalona i przez to coraz

bardziej plątała się w sieć. Łódź przechyliła się, podnosząc muł z dna morskiego i grożąc przewróceniem się na stworzenie. Hipokampy rżały w panice, wzburzając wodę, co również nie pomagało.

- Okej, okej! - krzyknąłem. Odłożyłem miecz i zacząłem przemawiać najłagodniej, jak mogłem, do hipokampów i cielęcia, żeby uspokoić ich panikę. Nie miałem pojęcia, czy morskim koniom zdarza się wpadać w stadny popłoch, ale wolałem się o tym nie przekonywać na własne oczy. - Wszystko w porządku. Żadnych mieczy. Widzisz? Nie ma miecza. Uspokój myśli. Morska trawa. Mama krowa. Wegetarianizm.

Wątpię czy węzowe ciele zrozumiało, co mówiłem, ale zareagowało na ton głosu. Hipokampy były wciąż spłoszone, ale przynajmniej przestały się rzucać aż tak gwałtownie wokół mnie.

Uwolnij go, panie! - błagały.

- No - powiedziałem. - Dotarło. Myślę.

Ale jak miałem uwolnić tę istotę, skoro ona (uznałem, że to jednak musi być samiczka) wpadała w panikę na widok ostrza? Tak jakby kiedyś wcześniej widziała miecze i wiedziała, jak bardzo są niebezpieczne.

- Dobra - zwróciłem się do hipokampów. - Musicie wszystkie naraz popchnąć wrak dokładnie tak, jak wam pokażę.

Zaczęliśmy od łodzi. Nie było łatwo, ale za pomocą trzech koni udało nam się przesunąć wrak na tyle, żeby nie groził zawaleniem na węzową jałówkę. Następnie zabrałem się za sieć, rozplątując ją kawałek po kawałku, zdejmując ołowiane ciężarki, rozprostowując haczyki, rozplątując węzły, które zapętlily się wokół kopyt cielaczka. Trwało to całą wieczność - znaczy się było gorszą mordęgą niż rozplątanie wszystkich kabelków mojej konsoli gier wideo. Przez cały czas mówiłem do

tej rybiej krowy, powtarzając jej, że wszystko w porządku, a ona bez przerwy muczała i jęczała.

- Spokojnie, Nessie - mówiłem. Nie pytajcie mnie dlaczego nadałem jej takie imię. Po prostu wydało mi się odpowiednie. - Dobra krówka. Miła krówka.

W końcu sieć się rozpadła, a węzowe ciele popędziło przez wodę i wykonało radosne salto.

- Muuu! - Morska krówka trąciła mnie nosem, spoglądając na mnie tymi swoimi wielkimi brązowymi oczami.

- Taa - powiedziałem. - Spoko. Miła krówka. No... Nie narób sobie znowu kłopotów.

Te słowa mi coś uświadomiły: jak długo przebywałem pod wodą? Co najmniej godzinę. Muszę wrócić do domku zanim Argus albo harpie sprzątające odkryją, że się wymknąłem.

Wyskoczyłem na powierzchnię. Natychmiast nade mną pojawił się Mroczny i pozwolił chwycić się swojej szyi. Uniósł mnie w powietrze i skierował się w stronę lądu.

Udało się, szefie?

- Ta. Uwolniłszy młode... jakieś młode stworzenie. Trwało to w nieskończoność. Omal nie zostałem strato-wany.

Dobre uczynki są zawsze niebezpieczne, szefie. Urato-wałeś moją marną grzywę, nieprawdaż?

Nie byłem w stanie myśleć o moim śnie: o Annabeth skulonej i ledwie żywej w ramionach Luke'a. Ja tu sobie ratuję młodociane potwory, podczas gdy powinienem śpieszyć z pomocą przyjaciółce.

Kiedy Mroczny zbliżał się już do mojego domku, przypadkiem rzuciłem okiem w kierunku pawilonu jadalnego. Zobaczyłem tam niewielką postać - chłopca przycupniętego za grecką kolumną, jakby się przed kimś krył.

To był Nico. Jeszcze nawet nie zbliżał się świt. Do śniadania było daleko. Co on tam robił?

Zawahałem się. Ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, były opowieści Nica o jego grze w Magię i Mit. Ale coś było nie w porządku. On był jakoś dziwacznie skulony.

- Mroczny - powiedziałem - wyląduj tam, dobrze? Za tą kolumną.

Omówiłem wszystkiego nie skopałem.

Podchodziłem do Nica od tyłu, po schodach. Wcale mnie nie widział. Siedział za kolumną, wyglądając za róg, wpatrując się z całych sił w salę jadalną. Znajdowałem się metr od niego i właśnie miałem zapytać głośno, co tam robi, kiedy uświadomiłem sobie, że robi to samo co Grover: śledzi Łowczynię.

Słyszałem głosy - dwie dziewczyny mówiły coś jedno-cześnie przy stole. O tej nieboskiej porannej godzinie? No, chyba że jest się boginią poranka.

Wyjąłem z kieszeni bejsbolówkę niewidkę Annabeth i założyłem ją.

Nie poczułem nic szczególnego, ale kiedy uniosłem ręce, nie zobaczyłem ich. Byłem niewidzialny.

Podpełzłem do Nica i okrążyłem go. W ciemności nie widziałem zbyt dobrze rozmawiających dziewczyn ale rozpoznałem ich głosy.

- Tego nie da się wyleczyć - mówiła Zoe. - W każdym razie nie szybko.

- Ale jak to się stało? - spytała Bianca.

- Głupi żart - parsknęła gniewnie Zoe. - To ci bracia Hood z domku Hermesa. Krew centaurów działa jak kwas. Wszyscy o

tym wiedzą. A oni spryskali nią koszu-lkę z Trasy Łowieckiej Artemidy.

- To okropne!

- Phoebe przeżyje - odpowiedziała Zoe. - Ale przez kilka tygodni będzie musiała leżeć w łóżku z okropnymi pęcherzami. Nie ma mowy żeby wzięła udział w wyprawie. Teraz wszystko na mych barkach... i twych.

- A co z przepowiednią? - zapytała Bianca. - Skoro Phoebe nie może iść, mamy tylko czwórkę. Musimy kogoś dobrać.

- Nie ma czasu - odparła Zoe. - Wyruszamy o świcie. To znaczy zaraz. A poza tym przepowiednia mówi, że jedną osobę stracimy.

- W krainie bez deszczu - zauważyła Bianca - czyli na pewno nie tutaj.

- Dlaczego? - odparowała Zoe, ale bez przekonania. - Obóz posiada magiczne granice. Nic, nawet pogoda, nie może się dostać bez pozwolenia. To może być kraina bez deszczu.

- Ale...

- Posłuchaj mnie, Bianco. - W głosie Zoe słychać było napięcie. - Ja... nie potrafię tego wyjaśnić, ale czuję, że nie powinniśmy wybierać nikogo innego. To zbyt nie-bezpieczne. Tego kogoś może spotkać gorszy los, niż Phoebe. Nie chcę, żeby Chejron dał nam kogoś z obozu za piątego towarzysza. I... nie chcę ryzykować życia kolejnej Łowczyni.

Bianca milczała.

- Powinnaś powiedzieć Thalii o drugiej części swojego snu.

- Nie. To nic nie pomoże.

- Ale jeśli twoje podejrzenia co do Generała są prawdziwe...

- Przyrzekłaś mi, że nie będziesz o tym mówić - przerwała jej Zoe. Sprawiała wrażenie naprawdę udręczonej. - Wkrótce się przekonamy. Chodź. Zaraz będzie świt.

Nico uskoczył im z drogi. Był szybszy ode mnie.

Kiedy dziewczyny zbiegały po schodach, Zoe omal na mnie nie wpadła. Zamarła, mrózając oczy. Jej ręka powę-drowała do luku, ale w tej samej chwili odezwała się Bianca.

- W Wielkim Domu palą się już światła. Pośpieszmy się.

I Zoe wybiegła za nią z pawilonu.

Domyśliłem się, co chciał zrobić Nico. Zrobił głęboki wdech i już miał biec za siostrą, kiedy zdjąłem bejsbo-lówkę i powiedziałem:

- Zaczekaj.

Omala nie zjechał po oblodzonych stopniach, obracając się na dźwięk mojego głosu.

- Skąd się tu wzięłeś?

- Byłem tu przez cały czas. Niewidzialny.

Jego usta bezdźwięcznie powtórzyły słowo "niewidzia-lyny".

- Rany. Ale super.

- Skąd wiedziałeś, że Zoe i twoja siostra tu przyjdą?

Zarumienił się.

- Słyszałem jak przechodziły obok domku Hermesa. Ja... nie mogę spać na obozie. Usłyszałem kroki i szepty. No więc tak jakby poszedłem za nimi.

- A teraz chciałbyś iść za nimi na misję - domyśliłem się.

- Skąd wiesz?

- Bo gdyby to była moja siostra, zapewne chciałbym postąpić tak samo. Ale nie możesz.

Rzucił mi wyzywające spojrzenie.

- Bo co? Jestem za mały?

- Bo ci nie pozwolą. Złapią cię i odeślą tutaj i... No tak, bo jesteś za mały. Pamiętasz mantikorę? Takich potwo-rów będzie więcej. Bardziej niebezpiecznych. Ktoś zginie.

Opuścił ramiona i przestępował z nogi na nogę.

- Może masz rację. Ale... Ale ty mógłbyś pójść za mnie?
- Niby jak?
- Możesz stać się niewidzialny. Możesz iść!
- Łowczynie nie znoszą chłopaków - przypomniałem mu. -
Jeśli się zorientują...
- Nie pozwól, żeby się zorientowały. Idź za nimi niewidzialny.
Pilnuj mojej siostry! Musisz to zrobić. Proszę...
- Nico...
- Ty i tak zamierzasz iść, no nie?
Miałem ochotę powiedzieć, że nie. Ale on spojrzał mi prosto w
oczy i jakoś tak nie byłem w stanie skłamać.
- No tak - powiedziałem. - Muszę odnaleźć Annabeth. Muszę
pomóc, nawet jeśli one nie chcą mojej pomocy.
- Nie wydam cię - oznajmił. - Ale ty musisz obiecać, że mojej
siostrze się nic nie stanie.
- Eee... To bardzo poważna obietnica, Nico, na takiej
wyprawie. Poza tym ona ma Zoe, Grovera, Thalię...
- Obiecuję.
- Postaram się. Tyle mogę obiecać.
- No to idź! - powiedział. - Powodzenia!
To było szaleństwo. Nawet się nie spakowałem. Miałem tylko
bejsbolówkę, miecz i ubrania, które akurat tego dnia założyłem.
Rano zamierzałem wrócić do domu na Manhattanie.
- Powiedz Chejronowi...
- Coś wymyślę. - Nico uśmiechnął się łobuzersko. - Jestem w
tym niezły. Idź już!
Pobiegłem nakładając na głowę czapkę Annabeth. O
wschodzie słońca stałem się niewidzialny. Wbiegłem na szczyt
Wzgórza Herosów w chwili, w chwili gdy obozowa furgonetka
zniknęła za zakrętem wiejskiej drogi - to za-pewne Argus

odwoził uczestników misji do miasta. Dalej będą zdani na siebie.

Nagle zrobiło mi się wstyd i trochę głupio. Jak ja mam do nich dołączyć? Biegiem?

W tej samej chwili usłyszałem łopot ogromnych skrzydeł. Koło mnie wylądował Mroczny i zaczął beztrąsko obgryzać przebijające się przez śnieg nieliczne źbła trawy.

Pomyślałem sobie, szefie, że może ci się przydać wierzchowiec do ucieczki. Co ty na to?

Wdzięczność ścisnęła mi gardło, ale wydusiłem z siebie:

- Tak. Lećmy.

ROZDZIAŁ IX UCZE

SIĘ HODOWLI ZOMBI

Jeśli się lata na pegazie za dnia i nie jest się dość ostrożnym, łatwo można spowodować poważny wypadek drogowy na autostradzie wiodącej na Long Island. Musiałem utrzymywać Mrocznego na wysokości chmur, które na szczęście, jak to zimą, wisiały nisko. Lecieliśmy zyg-zakiem, starając się nie stracić z oczu białej furgonetki Obozu Herosów. Na ziemi było zimno, a w powietrzu wręcz lodowato: marznący deszcz kłuł w skórę.

Żałowałem, że nie mam przy sobie tej trzymającej ciepło pomarańczowej bielizny, którą można było kupić w obozowym sklepiku. Choc po całej tej historii z Phoebe i zatrutym krwią centaury podkoszulkiem nie byłem pewny, czy kiedykolwiek jeszcze zaufam tej marce.

Dwa razy furgonetka zniknęła nam z pola widzenia, ale byłem

przekonany, że jechała na Manhattan, więc odnalezienie jej tropu nie stanowiło trudności.

W związku ze zbliżającymi się świętami ruch był spory. Był już późny ranek, kiedy wreszcie dojechali do miasta.

Wylądowałem na szczycie Chrysler Building i obserwo-wałem białą furgonetkę. Myślałem, że zatrzyma się na dworcu autobusowym, ale ona jechała dalej.

- Dokąd ten Argus ich wiezie? - mruknąłem pod nosem.

Och, to nie Argus prowadzi, szefie - powiedział Mro-czny. - To ta dziewczyna.

- Która dziewczyna?

Łowczyni. Ta ze srebrną przepaską we włosach.

-Zoe?

Właśnie. Ej, patrz! Tam jest cukiernia. Kupimy sobie coś na wynos!

Usiłowałem mu wytłumaczyć, że wprowadzenie latającego konia do cukierni może przyprawić miejscowych policjantów o atak serca, ale najwyraźniej nie rozumiał, o co mi chodzi.

Tymczasem furgonetka zakręciła po zakrę-cie zmierzała ku tunelowi Lincolna. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Zoe umie prowadzić samochód. W tym sensie, że ona nie wygląda na szesnaście lat. Inna sprawa, że jest nieśmiertelna. Zastanawiałem się, czy ma prawo jazdy, a jeśli tak, to co ma wpisane w rubryce data urodzenia.

- Dobra - powiedziałem - Ruszamy za nimi.

Mieliśmy właśnie skoczyć z wieżowca, kiedy Mroczny zarżał ze strachu i omal mnie nie zrzucił. Wokół mojej nogi coś wiło się jak wąż. Sięgnąłem po miecz, ale kiedy spojrzałem w dół, nie zobaczyłem węża. To były wici winorpośli wyrastające ze szczelin budynku. Owijały się wokół nóg Mrocznego i smagały mnie po kostkach tak, że nie byliśmy w stanie się poruszyć.

- Dokądś się wybieracie? - spytał Pan D.

Opierał się o ścianę budynku, unosząc się w powietrzu. Wiatr łopotał jego dressem w lamparce cętki i rozwiewał czarne włosy.

Ogłaszam boski alarm! - wrzasnął Mroczny. - *To kolo od wina!*

Pan D. westchnął poirytowany.

- Następny człowiek, czy też koń, który nazwie mnie "kolo od wina", skończy w butelce burgunda!

- Panie D. - usiłowałem mówić spokojnie, czując, że winorośl oplata mi nogi coraz wyżej. - O co właściwie panu chodzi?

- Och, o co mi właściwie chodzi? Myślałeś zapewne, że nieśmiertelny i wszechpotężny dyrektor obozu nie zauważy, że opuszczasz jego teren bez pozwolenia?

- No... może.

- Powiniennem właściwie zrzucić cię z tego dachu, poz-bawiając uprzednio latającego konia, żeby przekonać się, jak bardzo będziesz chojrakować po drodze w dół.

Zacisnąłem pięści. Wiedziałem, że powiniennem trzymać buzię na kłódkę, ale Pan D. zamierzał albo mnie zabić, albo zawlec do obozu na pośmiewisko, a nie mogłem po-godzić się z żadną z tych perspektyw.

- Dlaczego pan mnie tak nienawidzi? Co ja panu zrobiłem?

W jego oczach zapłonęły fioletowe ogniki.

- Jesteś herosem, chłopcze. To mi wystarcza.

- Muszę udać się na tę misję! Muszę pomóc moim przyjaciółom. To coś, czego pan chyba nigdy nie zrozumie!

Yyy, szefie - odezwał się nerwowo Mroczny. - *Zważywszy, że jesteśmy uwięzieni w winorośli trzydzieści metrów nad ziemią więcej uprzejmości mogłoby się opłacić.*

Wici zacisnęły się mocniej wokół moich nóg. Pod nami biała

furgonetka oddalała się coraz bardziej. Wkrótce zniknie nam z oczu.

- Opowiadałem ci kiedykolwiek o Adriadnie? - zapytał Pan D.

- Pięknej, młodej księżniczce Krety? Ona też lubiła pomagać przyjaciółom. Prawdę mówiąc, pomogła młodemu herosowi imieniem Tezeusz, skądinąd też potomkowi Posejdona. Dała mu kłębek magicznej wełny, dzięki któremu odnalazł wyjście z Labiryntu. A wiesz, jak Tezeusz się jej odwdzieczył?

Miałem ochotę odpowiedzieć: nic mnie to nie obchodzi. Nie sądziłem jednak, żeby to miało przyspieszyć zakończenie tej opowieści.

- Pobrali się - odrzekłem. - Żyli długo i szczęśliwie. Koniec. Pan D. parsknął.

- Niezupełnie. Tezeusz obiecał jej, że się z nią ożeni. Zabrał ją na pokład statku i pożeglował do Aten. A w połowie drogi na małej wysepce o nazwie Naksos... Jak to wy, śmiertelnicy, teraz mówicie?... Olał pannę. A ja ją tam znalazłem, wiesz? Samotną. Ze złamanym sercem. Wypłakującą oczy. Porzuciła wszystko, wszystko została, żeby pomóc przystojnemu młodemu herosowi, który wyrzucił ją następnie jak podarty sandał.

- To nieładnie z jego strony - powiedziałem. - Ale to zdarzyło się tysiące lat temu. Co to ma do rzeczy?

Pan D. rzucił mi lodowate spojrzenie.

- Ja zakochałem się w Adriadnie, chłopcze. Uleczyłem jej złamane serce. A kiedy zmarła, uczyniłem ją moją nieśmiertelną żoną na Olimpie. Ona teraz czeka tam na mnie. I wrócę do niej, kiedy wreszcie skończę z tym piekielnym stuleciem kary na waszym idiotycznym obozie.

Gapiałem się na niego szeroko otworzonymi oczami.

- Pan... Pan jest żonaty? Wydawało mi się, że te kłopoty to z

powodu leśnej nimfy...

- Bo wy, herosi, jesteście zawsze tacy sami. Oskarżacie nas, bogów, o próżność. Powinniście przyjrzeć się samym sobie. Bierzecie wszystko, na co macie ochotę, wykorzystujecie każdego, kto się nawinie, a potem zdradzacie wszystkich wokół siebie. Wybacz mi więc, że nie kocham herosów. To samolubny, niewdzięczny naród. Zapytaj Adriadnę. Albo Medeę. Prawdę mówiąc, możesz równie dobrze zapytać Zoe Nightshade.

- Jak to: zapytać Zoe?

Machnął lekceważąco ręką.

- Jedź. Goń swoich głupich przyjaciół.

Winorośl odwinęła się z moich kostek.

Zamrugalem oczami z niedowierzaniem.

- Pozwala mi pan... odejść? Tak po prostu?

- Przepowiednia mówi, że conajmniej dwójka z was zginie.

Może będę miał szczęście i ty będziesz jednym z nich. Ale pomnij moje słowa, synu Posejdona: żywy czy umarły, okażesz się nie lepszy od innych herosów.

Mówiąc to Dionizos pstryknął palcami i jego obraz zwinął się jak kartka papieru.

Rozległo się ciche pyknięcie i znikł całkowicie, pozostawiając tylko lekki zapach winogron, który szybko rozwiął wiatr.

Było blisko - powiedział Mroczny.

Przytaknąłem, chociaż czułem, że chyba mniej bym się martwił, gdyby Pan D. zawlókł mnie z powrotem do obozu. Skoro pozwolił mi odejść, to naprawdę wierzył, że mamy duże szanse rozbić się albo spłonąć podczas tej wyprawy.

- W drogę, Mroczny - powiedziałem, starając się brzmieć optymistycznie. - Kupię ci pączki w New Jersey.

Ale w końcu nie kupiłem mu pączków w New Jersey. Zoe pędziła na południe jak szalona i zatrzymała się dopiero za granicą Maryland. Pegaz omal nie spadł z nieba, taki był zmęczony.

Wszystko w porządku, szefie - wy dyszał. - Muszę tylko złapać oddech.

- Zaczekaj tutaj - powiedziałem mu. - Rozejrzę się.

Zaczekać dam radę. Nie ma sprawy.

Założyłem niewidkę i podszedłem do sklepu spożywczego. Odruchowo przemykałem się skulony. Musiałem cały czas przypominać sobie, że nikt mnie nie widzi. Jeszcze trudniej było ciągle uważać, żeby nie wchodzić ludziom pod nogi i ich nie potrącać.

Zamierzałem po prostu wejść do środka i się ogrzać, może kupić sobie kubek gorącej czekolady albo coś takiego. Miałem w kieszeni trochę drobnych. Mógłbym zostawić je na ladzie. Zastanawiałem się właśnie, czy kubek zrobi się niewidzialny, kiedy wezmę go do ręki, czy też będę miał problem z szybującą w powietrzu gorącą czekoladą, ale wtedy cały mój misterny plan zepsuli Zoe, Thalia, Bianca i Grover wychodzący ze sklepu.

- Jesteś pewny, Grover? - pytała Thalia.

- No... Właściwie tak. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. No dobra, osiemdziesiąt pięć.

- Tak powiedziały ci żółędzie? - spytała Bianca z niedowierzaniem.

Grover zrobił urażoną minę.

- To prastare zaklęcie tropiące. To znaczy jestem prawie pewny, że nic nie pomyliłem.

- Waszyngton jest jakieś sto kilometrów stąd - powiedziała Bianca. - Nico i ja... - Zmarszczyła brwi. - Myśmy tam kiedyś

mieszkali. To... To dziwne. Zapomniałam o tym.

- Nie podoba mi się to - oznajmiła Zoe. - Powinniśmy jechać prosto na zachód. Przepowiednia mówi o zachodzie.

- Ach, to znaczy, że jesteś lepszą tropicielką? - warknęła Thalia.

Zoe zrobiła krok w jej kierunku.

- Śmiesz powątpiewać w moje umiejętności, kuchto? Nie masz pojęcia o byciu Łowczynią.

- Och, kuchto? Ty nazywasz mnie kuchtą? Co to do cholery jest kuchta?

- Ej, wy dwie - wtrącił się nerwowo Grover. - Przestańcie. Mam tego dość.

- Grover ma rację - powiedziała Bianca. - Powinniśmy jechać do Waszyngtonu.

Zoe nie wyglądała na przekonaną, ale pokiwała niechętnie głową.

- Wspaniale. Jedźmy więc.

- Aresztują nas za tę twoją jazdę - mruknęła Thalia. - Ja bardziej wyglądam na szesnaście lat niż ty.

- Może - odparowała Zoe. - Ale ja mam prawo jazdy, odkąd wynaleziono samochód.

Lecąc z Mrocznym dalej na południe, za furgonetką, zastanawiałem się, czy Zoe żartowała. Nie znałem dokładnej daty wynalezienia samochodu, ale wyobrażałem sobie, że to musiało być w jakiś prehistorycznych czasach, kiedy ludzie oglądali czarno-białą telewizję i polowali na dinozaury.

Ile ona naprawdę miała lat? I o czym mówił Pan D.? Co to za złe doświadczenia z herosami?

Kiedy zbliżyliśmy się do Waszyngtonu, Mroczny zaczął tracić wysokość i zwalniać. Na dodatek dyszał ciężko.

Doskonale, szefie. Mógłbym... Mógłbym unieść pułk.

- Chyba wcale nie tak dobrze - Nagle poczułem wyrzu-ty sumienia, ponieważ zmuszałem pegaza do lotu przez pół dnia bez przerwy, goniąc samochody na autostra-dzie. To musiało być ciężkie nawet dla latającego konia.

Nie martw się o mnie, szefie. Jestem twardy!

Domyślałem się, że mówił prawdę, ale też że prędzej spadnie na ziemię, niż się poskarży, a tego bardzo nie chciałem.

Na szczęście furgonetka zwolniła i przejechała przez Potomak do centrum Waszyngtonu. Zacząłem się mart-wic o patrole powietrzne, pociski i różne takie. Nie wie-działem jak właściwie działają tego rodzaju zabezpiecze-nia, ani nawet tego czy wojskowe radary są w stanie wy-chwycić pegaza, ale nie miałem ochoty zostać zestrzelo-ny z nieba.

- Zsadź mnie tutaj - powiedziałem do Mrocznego. - Tu będzie wystarczająco blisko.

Pegaz był tak zmęczony, że nie protestował. Opadł obok obelisku i posadził mnie na trawie.

Furgonetka znajdowała się zaledwie kilka domów od nas. Zoe zaparkowała na krawężniku.

Spojrzałem na Mrocznego.

- Chcę, żebyś wrócił do obozu. Musisz odpocząć. Najeść się. Ja sobie poradzę.

Jesteś pewny, szefie?

- Zrobiłeś już dla mnie bardzo dużo - powiedziałem. - Dam sobie radę i stokrotne dzięki.

Stokrotkowe siano - rozmarzył się Mroczny. - Brzmi nieźle. Niech będzie, ale uważaj na siebie, szefie. Mam wrażenie, że oni nie przyjechali na spotkanie z czymś równie miłym i pięknym jak ja.

Obiecałem, że będę na siebie uważał. Chwilę później Mroczny wzniósł się w powietrze i okrążył obelisk dwu-krotnie, zanim

znikł w chmurach.

Spojrzałem w kierunku białej furgonetki. Wszyscy wysiadali. Grover wskazał na jeden z wielkich budynków przy parku National Mall. Thalia skinęła głową i cała czwórka ruszyła pod wiatr - lodowaty wiatr.

Poszedłem za nimi i zamarłem.

Przecznicę dalej otwarły się drzwiczki czarnej limuzy-ny. Wysiadł z niej szpakowaty mężczyzna ostrzyżony na rekruta. Nosił ciemne okulary i czarny płaszcz. Jasne, w Waszyngtonie mija się takich codziennie. Ale ja uświadomiłem sobie, że widziałem ten samochód kilka-krotnie na autostradzie, jak jechał na południe. Śladem furgonetki.

Facet wyciągnął komórkę i coś do niej powiedział. Następnie rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzając, czy wszystko w porządku, i ruszył przez park w kierunku moich przyjaciół.

A oto najgorsza wiadomość: kiedy się odwrócił ku mnie, rozpoznałem jego twarz. To był pan Cierniak, mantikora z Westover Hall.

Nie zdejmując bejsbolówki niewidki, śledziłem go z pewnej odległości. Serce waliło mi jak młotem. Skoro on przeżył upadek z klifu, to Annabeth zapewne też. Moje sny okazały się prawdą. Annabeth żyje i jest w niewoli.

Cierniak trzymał się z dala od moich przyjaciół, stara-jąc się pozostać niezauważonym.

W końcu Grover przystanął przed budynkiem na którym widniał napis: NARODOWE MUZEUM LOTNICTWA I PRZESTRZENI KOSMICZNEJ. Oddział Instytutu Smithsona! Byłem tam milion lat temu z mamą i wszystko wtedy wydawało mi się takie ogromne.

Thalia sprawdziła drzwi. Były otwarte, choć niewiele osób wchodziło do środka. Było zimno a w szkole ferie. Moi kumple wśliznęli się do wnętrza.

Pan Cierniak się zawahał. Nie byłem pewny, dlaczego, ale nie wszedł do muzeum. Obrócił się i ruszył przed siebie trawnikiem. W ułamku sekundy podjąłem decyzję i poszedłem za nim.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i wspiał się na schody Muzeum Historii Naturalnej. Na jego drzwiach wisiała wielka kartka. Z początku myślałem, że jest na niej napisane ZAMKNIĘTE - IMPREZA PIRACKA, ale po chwili dotarło do mnie, że nie PIRACKA, tylko jednak PRYWATNA.

Wszedłem z nim do środka, do wielkiej sali pełnej szkieletów mastodontów i dinozaurów. Przed nami słyszałem jakieś głosy dochodzące spoza zamkniętych drzwi. Na zewnątrz stało dwóch strażników. Otworzyli drzwi przed Cierniakiem, a ja musiałem popędzić do środka, zanim zamknęli z powrotem.

To, co zobaczyłem wewnątrz, było okropne, że omal nie krzyknąłem, co zapewne kosztowałoby mnie życie.

Znalazłem się w ogromnym okrągłym pomieszczeniu, którego drugi poziom obiegała galeryjka. Na tym balko-niku stało conajmniej dziesięciu śmiertelnych strażni-ków oraz dwa potwory: przypominające gady kobiety z podwójnymi wężowymi ogonami zamiast nóg. Widzia-łem takie już wcześniej. Annabeth nazywała je draka-inami scytyjskimi.

Ale nie to było najgorsze. Między wężowymi kobietami stał - i mógłbym się założyć, że patrzył wprost na mnie - mój stary nieprzyjaciel Luke. Wyglądał okropnie. Jego skóra była blada, a jasne włosy niemal szare, jakby postarzał się o dziesięć lat przez zaledwie kilka miesi-ecy. W jego oczach wciąż płonął ten gniewny ogień, na policzku nadal widniała blizna po zadrapaniu

przez smoka. Tylko teraz była paskudnie czerwona, jakby ostatnio została na nowo otwarta.

Tuż obok niego siedział ukryty w mroku inny mężczyzna. Widziałem tylko jego dłonie oparte o złoczone podłokietniki fotela - jak na tronie.

- Słucham? - odezwał się mężczyzna na fotelu. Jego głos brzmiał jak ten, który słyszałem we śnie: nie tak przerażający jak Kronosa, ale głębszy i mocniejszy, jakby mówiła sama ziemia. Ten głos wypełnił całą salę, mimo że mężczyzna nie krzyczał.

Pan Cierniak zdjął ciemne okulary. Jego dwukolorowe oczy, brązowe i niebieskie, błyszczały z podniecenia. Ukłonił się sztywno i powiedział tym swoim dziwacznym francuskim akcentem:

- Sşamiejscuuu, Generrrhale.

- Wiem o tym, głupcze - zadudnił tamten. - Gdzie dokładnie?

- W muzeum rhakiet.

- W Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej - poprawił z irytacją Luke.

Cierniak zerknął na niego z ukosa.

- Oczywiście, panie.

Odniosłem wrażenie, że wolałby sto razy przebić Luke'a jednym ze swoich kolców niż nazywać go panem.

- Ilu? - spytał Luke.

Cierniak udawał, że nie słyszy.

- Ilu? - powtórzył Generał.

- Czworho Generhale - odrzekł Cierniak. - Satyrh Grhoverh Underhwood. Dziewczyna z nastrhoszonymi czarhnymi włosami i... jak to się mówi? Punkowymi ciuchami. I z tą okrhopną tarhczą.

- Thalia - podpowiedział Luke.

- I jeszcze dwie dziewczyny - Łowczynie. Jedna nosi srebrną przepaskę.

- Tę znam - warknął Generał.

Wszyscy obecni poruszyli się z niepokojem.

- Pozwól mi ich przejąć - powiedział Luke do mężczyzny na fotelu. - Mamy wystarczająco...

- Cierpliwości - przerwał mu Generał. - Oni mają pełne ręce roboty. Wysłałem im zabawkę, żeby mieli co robić.

- Ale...

- Nie możemy ryzykować ciebie, chłopcze.

- Właśnie, chłopcze - wtrącił się pan Cierniak ze złowrogim uśmiechem. - Jesteś zbyt delikatny na to, żeby ryzykować.

Pozwól mi ich wykączyć.

- Nie. - Generał wstał z fotela i po raz pierwszy zobaczyłem go w całej okazałości.

Był wysoki i potężnie zbudowany, miał brązową skórę i zaczesane do tyłu ciemne włosy. Nosił drogi brązowy garnitur jak faceci z Wall Street, ale nikt nie wziąłby tego gościa za maklera. Miał kwadratową twarz, szerokie bary i dłonie, które mogłyby połamać maszt na pół. Zupełnie jakbym patrzył na ożywiony posąg. Zdziwiałem się, że w ogóle był w stanie się poruszać.

- Ty już mnie raz zawiodłeś, Cierniak - powiedział.

- Ależ, Generhale...

- Żadnych wymówek!

Cierniak się skulił. Wydawał mi się przerażający, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go w czarnym mundurze szkoły wojskowej. Ale teraz, stojąc przed Generałem, wyglądał jak chuderlawy rekrut. Generał to był ktoś. Nie potrzebował munduru. Był urodzonym przywódcą.

- Powiniennem cię wrzucić w otchłań Tartaru za twoją

nieudolność - oznajmił Generał. - Wysyłam cię po dziecko jednego ze starszych bogów, a ty przynosisz mi chudą córkę Ateny.

- Obiecałeś mi odwet - zaprotestował Cierniak. - Moje własne dowództwo!

- Jestem najwyższym dowódcą Pana Kronosa - odparł Generał. - I będę wybierał adiutantów, którzy odnoszą sukcesy! Tylko dzięki Luke'owi udało się w ogóle uratować nasz plan. A teraz zejdź mi z oczu, dopóki nie znajdę odpowiedniego zajęcia dla ciebie.

Twarz Cierniaka poczerwieniała z wściekłości. Już myślałem, że zacznie toczyć pianę z ust albo strzelać kolcami, ale on tylko uklonił się niezgrabnie i wyszedł z sali.

- A teraz, chłopcze - Generał zwrócił się do Luke'a. - Przede wszystkim musimy oddzielić od nich heroskę Thalię. Potwór ruszy wtedy za nią.

- Niełatwo będzie się pozbyć Łowczyń - odpowiedział Luke. - ZoeNightshade...

- Nie wymawiaj jej imienia!

Luke przełknął ślinę.

- Prze-przepraszam, Generale. Ja tylko...

Generał uciszył go ruchem ręki.

- Pozwól, że ci pokażę, chłopcze, jak poradzimy sobie z Łowczyniami.

Wskazał palcem na jednego ze strażników stojących na parterze.

- Masz zęby?

Mężczyzna podszedł do nich, niosąc gliniany dzban.

- Tak jest, Generale!

- Zasadź je - rozkazał Generał.

Na samym środku sali znajdował się wielki okrąg wy-sypany

ziemią, gdzie, jak przypuszczałem, miał stanąć jakiś dinozaurzy eksponat. Przyglądałem się zdenerwo-wany, jak strażnik wyciąga ostre białe zęby z garnka i wbija je w ziemię. Przysypał je gładko, podczas gdy Generał chłodno się uśmiechał. Strażnik cofnął się i wytarł ręce.

- Gotowe, Generale!

- Doskonale! Podlej je, a potem pozwólmy im wyczuć zwierzynę.

Strażnik wziął niewielką cynową konewkę z wymalo-wanymi stokrotkami, a ze środka, co było dość dziwa-czne, nie wylała się woda. Płyn był ciemnoczerwony, ale miałem wrażenie, że nie jest to wino.

Ziemia zaczęła bulgotac.

- Wkrótce - oznajmił Generał - pokażę ci, Luke, żołnie-rzy, przy których twoja armia z tego stateczku będzie niczym.

Chłopak zacisnął pięści.

- Poświęciłem rok na musztrę moich oddziałów! Kiedy "Księżniczka Andromeda" będzie już u stóp góry, będą najlepszymi...

- Ha - przerwał mu Generał. - Nie przeczę, że twoi żołnierze nadadzą się doskonale na gwardię honorową Pana Kronosa. Ty, też, oczywiście, będziesz miał rolę do odegrania...

Wydawało mi się, że Luke pobladł słysząc te słowa.

-... ale pod moją wodzą siły Pana Kronosa wzrosną stu-krotnie. Będziemy niepowstrzymani. Oto moje maszyny śmierci.

Ziemia eksplodowała. Cofnąłem się, zaniepokojony.

W każdym miejscu, w którym posadzono ząb, z ziemi gramoliło się jakieś stworzenie. Pierwsze z nich odezwa-ło się:

- Miau?

Było to kocię. Małe rude kociątko, pręgo wate jak tyg-rys. Chwilę później pojawiło się kolejne, aż wreszcie było ich z tuzin

- tarzały się i bawiły na ziemi. Wszyscy wpatrywali się w nie z niedowierzaniem.

- Co to jest? - ryknął Generał. - Słodkie kociaczki? Skądżeś ty wziął te zęby?

Strażnik który je przyniósł, skulił się ze strachu.

- Z wystawy, Generale! Tak jak powiedziałeś. Tygrys szablozębny...

- Nie, ty kretynie! Powiedziałem tyranozaur! Zabierz te... te piekielne puchate stworzenia i wynieś je stąd. I niech nigdy więcej nie oglądam twojej twarzy.

Przerażony strażnik upuścił konewkę, zebrał kocięta i umknął z sali.

- Ty - Generał wskazał na innego strażnika. - Przynieś mi właściwe zęby! JUŻ!

Kolejny strażnik pobiegł, by wypełnić rozkazy.

- Kretyni - mruknął Generał.

- Dlatego właśnie nie posługuję się śmiertelnikami - powiedział Luke. - Są nieodpowiedzialni.

- Są łatwowierni i kochają przemoc, a poza tym łatwo ich kupić - odparł Generał. - Kocham ich.

Chwilę później strażnik wpadł do sali z rękami pełnymi wielkich ostrych zębów.

- Doskonale - powiedział Generał, po czym wspiął się na barierkę na galerijce i zeskoczył siedem metrów w dół.

- Ależ mi kark ścierpł.

- Może okład, Generale? - zapytał jeden ze strażników. - Albo tabletkę paracetamolu?

Uniósł ząb w górę i się uśmiechnął.

- Ząb dinozaura - ha! Ci głupi śmiertelnicy nie potrafią rozpoznać smoczyczych zębów. I to nie byle jakich smoczyczych zębów. Te pochodzą z samej starożytnej Sybaris! Dosko-nale się

nadadzą.

Zasadził je w ziemi, w sumie dwanaście. Następnie podniósł konewkę. Pokropił ziemię czerwonym płynem, odrzucił konewkę i rozłożył szeroko ramiona.

- Rosnąć!

Ziemia zadrżała. Z gleby wysunęła się koścista ręka, chwytając powietrze. Generał spojrział ku galeryjce.

- Szybko, macie trop?

- Jassne, panie - syknęła jedna z węzowych kobiet, wyciągając chustkę ze srebrzystej tkaniny, podobnej do tego, w co ubierały się Łowczynie.

- Doskonale - powiedział Generał. - Jak moi wojownicy złapią trop, będą za nim iść bez wytchnienia. Nic ich nie powstrzyma, żadna broń znana herosom czy Łowczy-niom. Rozedrą Łowczynie i ich sprzymierzeńców na strzępy. Rzuć to tutaj!

W chwili gdy wymawiał te słowa, z ziemi wyskoczyły szkielety. Było ich dwanaście, po jednym na każdego zęba zasianego przez Generała. Nie wyglądały wcale jak halloweenowe kościotrupy, które ogląda się w tanich horrorach. Na moich oczach obrastały skórą, zamieniając się w ludzi. Mieli matową, szarą skórę i żółte oczy, a ubrani byli w nowoczesne ciuchy, obcisłe szare koszulki, panierkowe spodnie i wojskowe buty. Jeśli nie przyglądało się im zbyt dokładnie, można było nawet wziąć ich za zwykłych ludzi, ale ich ciała były przezroczyste, a pod spodem było widać lśniące kości jak na prześwietleniu.

Jeden z nich spojrział prosto na mnie, wpatrując się zimnym wzrokiem, a ja wiedziałem, że nie oszuka ich żadna czapka niewidka.

Wężowa kobieta rzuciła chustkę, która spłynęła ku dłoni Generała. Kiedy tylko dostanie się w ręce wojowników, będą polować na Zoe i pozostałych, aż ich dopadną i zabiją.

Nie miałem czasu na myślenie. Podbiegłem i skoczyłem, z całej siły wdzierając się między wojowników i porywając chustkę z powietrza.

- A co to? - ryknął Generał.

Wylądowałem tuż obok szkieletowego wojownika, który zasyczał.

- Intruz - warknął Generał - Intruz w przebraniu mroku. Zamknąć drzwi!

- To Percy Jackson! - wrzasnął Luke. - To musi być on.

Popędziłem do wyjścia ale usłyszałem odgłos drącego się materiału to jeden ze szkieletów wyrwał kawałek mojego rękawa. Kiedy się obejrzałem przyłożył skrawek do nosa, wdychając zapach, a następnie podał go swoim towarzyszom. Miałem ochotę krzyknąć, ale nie mogłem. Przycisnąłem się przez drzwi dokładnie w chwili, gdy strażnicy je zatrzaskiwali. I popędziłem dalej.

ROZDZIAŁ X

ROZWALAM KILKA RAKIET

Pędząc przez trawnik, nie śmiałem się obejrzeć. Wpadłem do Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej i zdjąłem bejsbolówkę niewidkę, kiedy tylko przedostałem się przez kasę i

szatnię.

Główna część muzeum to ogromna sala z raketami i samolotami zawieszonymi pod sufitem. Wokół biegną trzy galeryjki, żeby można było oglądać eksponaty z różnej wysokości. Nie było tu wielu ludzi, zaledwie kilka rodzin i jakieś nieliczne grupki dzieci, zapewne na świątecznych wycieczkach. Chciałem wrzasnąć do nich wszy-stkich, żeby szybko stąd uciekali, ale uznałem, że za- zapewne zostałem za to aresztowany. Musiałem naj-pierw znaleźć Thalię, Grovera i Łowczynię. Szkielety mogły w każdej chwili dostać się do muzeum, a nie przypuszczałem, że zadowolą się słuchawkami z nagrany-m przewodnikiem.

Wpadłem na Thalię - dosłownie. Gnałem po rampie wiodącej na najwyższy balkonik i zderzyłem się z nią, wpychając ją do kapsuły kosmicznej z programu Apollo.

Grover krzyknął zaskoczony.

Zanim zdołałem odzyskać równowagę, Zoe i Bianca napięły łuki, mierząc w moją klatkę piersiową. Łuki pojawiły się znikąd.

Kiedy Zoe zorientowała się, kim jestem, nadal nie zamierzała opuścić broni.

- Ty! Jak śmiesz się tu pokazywać!

- Percy! - zawołał Grover. - Dzięki bogom!

Zoe rzuciła mu wściekłe spojrzenie, aż się zaczerwienił.

- To znaczy: ojej. Nie powinno cię tu być!

- Luke - powiedziałem, z trudnym łapiąc oddech. - On tu jest.

Gniew w oczach Thalii natychmiast wyparował. Poło-żyła dłoń na swojej srebrnej bransoletce.

- Gdzie?

Opowiedziałem im o tym, co widziałem w Muzeum Historii Naturalnej, o panu Cierniaku, Luke'u i Genera-le.

- Generał tu jest? - Zoe wyglądała na totalnie zaskoczona. - To niemożliwe! Łżesz.

- Dlaczego miałbym kłamać? Słuchaj, nie mamy czasu.

Szkieletowi wojownicy...

- Że co? - zapytała Thalia. - Ilu?

- Dwunastu - odpowiedziałem. - Ale to nie wszystko. Ten facet, znaczy się Generał, mówił, że wysłał tu coś, żeby was zająć. Potwora.

Thalia i Grover wymienili spojrzenia.

- Szliśmy po tropie Artemidy - powiedział satyr. - Byłem całkiem pewny, że prowadzi tutaj. Jakiś mocny zapach potwora... Pewnie zatrzymała się tutaj, żeby go tu szukać. Ale na razie nic nie znaleźliśmy.

- Zoe - odezwała się nerwowo Bianca - jeśli Generał...

- To niemożliwe! - warknęła Zoe. - Percy musiał widzieć coś w iryfonie albo jakowąś iluzję.

- Iluzje nie uszkadzają marmurowych posadzek - zauważyłem.

Zoe wzięła głęboki wdech, najwyraźniej usiłując się uspokoić. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak bardzo się tym przejmuje ani skąd zna tego Generała, ale uznałem, że nie jest to najlepszy moment, żeby pytać.

- Jeśli Percy mówi prawdę w kwestii tych szkieletowych wojowników - powiedziała - nie mamy czasu na spory. To najgorsi, najstraszliwsi... Musimy natychmiast uciekać.

- Dobry pomysł - potaknąłem.

- Ciebie nie brałam pod uwagę, chłopcze - oznajmiła Zoe. - Nie należysz do tej wyprawy.

- Ej, właśnie usiłuję uratować wam życie!

- Nie powinieneś przyjeżdżać, Percy - powiedziała ponuro Thalia. - Ale skoro już tu jesteś. Chodźmy. Do furgonetki.

- Nie do ciebie należy decyzja! - prychnęła Zoe.

Thalia rzuciła jej spojrzenie spode łba.

- Nie jesteś tu szefem, Zoe. I nie obchodzi mnie, ile masz lat! Jesteś wiecznym zarozumiałym bachorem!

- Nigdy nie wykazywałaś się rozwagą, jeśli chodzi o chłopaków - warknęła wściekle Łowczyni. - Nigdy nie potrafiłaś się bez nich obejść!

Wydawało się, że Thalia zaraz jej przywali. W tej samej chwili jednak wszyscy zamarliśmy, słysząc ryk tak głośny, jakby któraś z rakiet właśnie wystartowała.

Z dołu dobiegły nas krzyki dorosłych. Któreś z dzieci pisnęło radośnie:

- Kicia!

Po rampie pędziło coś ogromnego. Miało gabaryty małej ciężarówki, srebrne pazury i połyskujące złotem futro. Już kiedyś widziałem tego potwora. Dwa lata temu przemknął mi za oknem pociągu. Teraz, z tak bliska i w osobistym starciu, wyglądał na jeszcze większego.

- Lew nemejski - powiedziała Thalia. - Nie ruszać się.

Lew ryknął tak głośno, że włosy stanęły mi dęba: Jego kły lśniły niczym stal nierdzewna.

- Na mój znak rozdzielamy się - szepnęła Zoe. - Musi-my rozproszyć jego uwagę.

- Na jak długo? - zapytał Grover.

- Dopóki nie wymyślę, jak go zabić. Już!

Odetkałem Orkan i odtoczyłem się na lewo. Obok mnie śmignęły strzały, a Grover zagrał jakąś ostrą świergotliwą melodyjkę na swoich trzciniowych piszczałkach. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Zoe i Bianca wspinają się do kapsuły kosmicznej. Miotaly gradem strzał, ale wszystkie pociski odbijały się od metalicznego futra zwierzęcia, nie robiąc mu najmniejszej szkody. Lew z rozmachem uderzył w kapsułę i

przerwócił ją na bok, wytrząsając z niej Łowczynię. Grover grał jakąś okropną oszalałą melodię i Lew zwrócił się ku niemu, ale na jego drodze stanęła Thalia, unosząc Egidę, aż potwór się cofnął.

- WRRRRRRRR!

- Ha-jaaa! - krzyknęła Thalia. - Do tyłu!

Lew zaryczał i uderzył pazurami w powietrze, ale cofnął się, jakby tarcza zionęła ogniem.

Przez moment myślałem, że Thalia kontroluje sytuację. Potem jednak zobaczyłem, że Lew przysiada, a mięśnie jego nóg napinają się, że Lew szykuje się do ataku.

- Ej! - wrzasnąłem. Nie wiem, co sobie wyobrażałem, ale rzuciłem się na bestię. Chciałem tylko odciągnąć ją od moich przyjaciół. Uderzyłem Orkanem - był to dobry cios w bark, który powinien zrobić z potwora kocią karmę, ale ostrze tylko odbiło się z brzękiem i deszczem iskier od futra.

Lew machnął w moim kierunku pazurzastą łapą, odrywając kawałek kurtki. Oparłem się o barierkę. Wążący tonę potwór runął na mnie, więc nie miałem wyboru - odwróciłem się i skoczyłem.

Thalia uderzyła potwora włócznią i się cofnęła. Lew nacierał na nią.

- Percy - zawołała - cokolwiek zamierzasz zrobić...

Potwór ryknął i pacnął jajak kot zabawkę, aż pofrunęła wysoko w górę na raketę "Tytan". Uderzyła głową w metalowe poszycie i ześlizgnęła się na podłogę.

- Hej! - ryknąłem do lwa.

Byłem za daleko, żeby uderzyć, więc postanowiłem za ryzykować: rzuciłem Orkanem jak nożem. Odbił się od skóry lwa, ale to wystarczyło, żeby odwrócić jego uwagę. Odwrócił się ku mnie, warcząc.

Istniał tylko jeden sposób, żeby się zbliżyć do niego dostatecznie. Zaszarżowałem, a kiedy lew skoczył, żeby mnie chwycić, wepchnąłem w jego paszczę pakiecik kosmicznego jedzenia - kawałek owiniętego w celofan mrożonego deseru truskawkowego.

Potwór wybałuszył oczy i zakrztusił się jak kot kłaczkiem sierści.

Nie dziwiłem mu się. Kiedy jako dziecko spróbowałem kosmicznego jedzenia, czułem się dokładnie tak samo. To wyjątkowe paskudztwo.

- Zoe, uwaga! - wrzasnąłem.

Za sobą słyszałem krzyki ludzi. Grover grał kolejną okropną melodię na piszczałkach.

Odpełzłem od lwa. Potwór zdołał przełknąć paczuszkę kosmicznego jedzenia i spoglądał na mnie z nieskrywaną nienawiścią.

- Czas na przekoskę! - krzyknąłem.

Popełniłem ten błąd, że na mnie ryknął, a ja wrzuciłem mu do gardła, kanapkę z lodami. Na szczęście zawsze nieźle rzuciłem piłką, choć bejsbol nie jest moją ulubioną grą.

Zanim przestał się krztusić, wrzuciłem w niego jeszcze dwa rodzaje lodów oraz zamrożone spaghetti.

Oczy omal nie wyszły mu z orbit. Otworzył szeroko pysk i uniósł się na tylnych łapach, usiłując odsunąć się ode mnie.

- Teraz! - krzyknąłem.

Natychmiast w paszczę lwa wbiły się strzely - dwie, cztery, sześć. Potwór rzucał się wściekle, a w końcu obrócił się i spadł na grzbiet. Leżał bez ruchu.

W całym muzeum rozległy się alarmy. Ludzie pchali się do wyjścia. Ochrona w panice biegała w kółko, nie mając pojęcia, co się dzieje.

Grover ukląkł przy boku Thalii i pomógł jej się podnieść. Wyglądała w porządku, była tylko lekko zamroczona. Zoe i Bianca zeskoczyły z galeryjki, lądując tuż koło mnie.

Zoe obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- To była... interesująca strategia.

- Odczep się, zadziało.

Nie napierała dalej.

Lew jakby się roztopiał, jak to się zdarza martwym potworom, aż wreszcie nie zostało nic oprócz lśniącego futra, które zresztą skurczyło się do zwyczajnych lwich rozmiarów.

- Weź je - zwróciła się do mnie Zoe.

Wlepiłem w nią wzrok.

- Co? Skórę lwa? Czy to nie łamie jakiś tam praw zwierząt?

- To łup wojenny - powiedziała. - Tobie się należy.

- To ty go zabiłaś - odrzekłem.

Pokręciła głową, niemal się uśmiechając.

- Obawiam się, że to robota kanapki lodowej. Sprawie dliwości musi stac się zadość, Percy Jacksonie. Weź skórę.

Podniosłem ją- była zaskakująco lekka. Futro było gładkie i miękkie. Nie sprawiało wrażenia czegoś, co może odeprzec ostrze. Wpatrywałem się w nie, a ono zamigotało i zmieniło się w płaszcz - długi, złotobrązowy prochowiec.

- Niezupełnie w moim stylu - mruknąłem.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział Grover. - Ochrona nie pozostanie skołowana na wieki.

Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że ochroniarze o dziwo nie ruszyli, by nas aresztować. Biegali po wszystkich kątach z wyjątkiem tego, gdzie staliśmy, jakby rozpaczliwie czegoś szukali. Niektórzy wpadali na ściany lub na siebie wzajemnie.

- Ty to zrobiłeś? - spytałem Grovera.

Przytaknął z trochę niewyraźną miną.

- Pomniejsza piosenka na otumanienie. Zagrałem kawałek Demisa Roussosa. Zawsze działa. Ale potrwa to tylko chwilę.

- Ochroniarze to najmniejszy z naszych problemów - odezwała się Zoe. - Spójrzcie.

Przez szklaną ścianę muzeum dostrzegłem grupkę ludzi przechadzającą się po trawniku. Szarych mężczyzn w szarych wojskowych ubraniach. Nie widziałem ich oczu, bo byli za daleko, ale czułem, że ich wzrok jest utkwiony we mnie.

- Idźcie - powiedziałem. - Oni będą polować na mnie. Odciągnę ich.

- Nie - odrzekła Zoe. - Idziemy razem.

Zrobiłem wielkie oczy.

- Przecież mówiłaś...

- Teraz należysz do tej wyprawy - odpowiedziała niechętnie. - Nie podoba mi się to, ale przeznaczenia nie oszukasz. Jesteś piątym członkiem wyprawy. A my nie zostawiamy nikogo na pastwę losu.

ROZDZIAŁ XI

GROYER DOSTAJE LAMBORGHINI

Przejeżdżaliśmy właśnie przez Potomak, kiedy dostrze-gliśmy helikopter. Była to smukła, czarna wojskowa ma-szyna, taka sama, jaką widzieliśmy nad Westover Hall. I leciała prosto na nas. - Znają furgonetkę - powiedziałem. - Musimy ją porzu-cić.

Zoe wjechała na najszybszy pas. Helikopter był coraz bliżej.

- Może wojsko go zestrzeli? - powiedział z nadzieją w głosie Grover.

- Wojsko pewnie uważa go za jeden ze swoich - odrzekłem. - A tak w ogóle: jakim cudem Generał posługuje się śmiertelnikami?

- Najemnicy - odrzekła Zoe gorzko. - To obrzydliwe, ale wielu śmiertelników będzie walczyć za dowolną sprawę, jeśli się im zapłaci.

- Czy oni nie wiedzą, dla kogo pracują? - zapytałem. - Nie widzą wszystkich tych potworów?

Zoe pokręciła przecząco głową.

- Nie wiem, w jakim stopniu są w stanie przejrzeć Mgłę. I wątpię, czy gdyby nawet wiedzieli, to robiłoby im to różnicę. Śmiertelnicy bywają straszniejsi od potworów.

Helikopter nadal się zbliżał, osiągając znacznie lepszą prędkość niż my w waszyngtońskich korkach. Thalia zamknęła oczy i wyszeptała modlitwę.

- Hej, tato. Błyskawica w tej chwili byłaby całkiem niezła. Co ty na to?

Ale niebo pozostawało szare i śnieżne. Ani śladu pomocnej burzy.

- Tam! - zawołała Bianca. - Parking!

- Będziemy w pułapce - odpowiedziała Zoe.

- Wiem, co mówię - powiedziała Bianca.

Zoe przecięła dwa pasy i wjechała na niewielki parking na południowym brzegu rzeki. Porzuciliśmy furgonetkę i pobiegliśmy za Bianką po krótkich schodach.

- Metro - wyjaśniła Bianca. - Jedziemy na południe. Do Aleksandrii.

- Okej - przytaknęła Zoe.

Kupiliśmy bilety i przeszliśmy przez bramkę, oglądając się za siebie, czy nie jesteśmy śledzeni. Kilka minut później jechaliśmy bezpiecznie na południe w wagoniku metra, oddalając się od Waszyngtonu. Kiedy pociąg wyjechał na powierzchnię, dostrzeżliśmy helikopter krążący nad parkingiem. Nie poleciał za nami.

Grover odetchnął.

- Dobry pomysł z tym metrem, Bianca.

Łowczyni wyglądała na zadowoloną z siebie.

- No tak. Pamiętałam tą stację z zeszłego lata, kiedy byliśmy tu z Nico. Jej widok mnie zaskoczył, bo nie było jej tutaj, kiedy mieszkaliśmy w Waszyngtonie.

Grover zmarszczył brwi.

- Nowa? Przecież ta stacja wyglądała na bardzo starą.

- Też mi się tak wydaje - powiedziała Bianca. - Ale wierz mi, kiedy mieszkaliśmy tu jako małe dzieci, nie było tu metra.

Thalia pochyliła się ku niej.

- Zaczekaj. W ogóle nie było metra?

Bianca przytaknęła.

Nie wiem zbyt wiele o Dystrykcie Centralnym, ale nie wydawało mi się, że tutejsze metro mogło mieć mniej niż dwanaście lat. Obawiam się, że wszyscy myśleli sobie to samo, bo wyglądali na niezłe skołowanych.

- Bianca - odezwała się Zoe. - Jak dawno... - głos jej się załamał.

Warkot helikoptera znów się przybliżył.

- Musimy się przesiać - powiedziałem. - Jak najbliższej stacji.

Przez następne pół godziny myśleliśmy wyłącznie o tym, jak się bezpiecznie wymknąć. Dwa razy zmienialiśmy pociągi. Nie miałem pojęcia, dokąd jedziemy, ale po jakimś czasie udało nam się zgubić helikopter.

Niestety, kiedy w końcu wysiedliśmy z metra, znaleźliśmy się na bocznym torze w przemysłowej dzielnicy, gdzie nie było nic prócz magazynów i torów kolejowych. I śniegu. Mnóstwa śniegu. Miałem wrażenie, że jest tu znacznie zimniej. Zacząłem doceniać mój nowy płaszcz z lwiej skóry.

Włóczyliśmy się po stacji, zastanawiając się, czy odjedzie stąd jeszcze jakikolwiek pociąg pasażerski, ale widzieliśmy jedynie niekończące się rzędy ciężarówek, w większości przysypanych śniegiem, jakby stały tu od lat.

Przy ognisku płonącym w kontenerze na śmieci stał bezdomny. Musieliśmy wyglądać naprawdę żałośnie, ponieważ uśmiechnął się do nas bezzębnie.

- Chcecie się ogrzać? Podejdźcie.

Skupiliśmy się wokół ognia. Thalia szczekała zębami.

- No, bosko - powiedziała.

- Kopyta mi zamarzają - poskarżył się Grover.

- Stopy - poprawiłem go ze względu na bezdomnego.

- Może powinniśmy skontaktować się z obozem - zaproponowała Bianca - Chejron...

- Nie - powiedziała Zoe. - Nie mogą nam już pomóc. Musimy sami dokończyć misję.

Rozejrzałem się z rozpaczą po stacji. Gdzieś tam na zachodzie Annabeth potrzebuje pomocy. Artemida jest w łańcuchach. Jakiś potwór masowej zagłady szaleje po świecie. A my ugrzęźliśmy na obrzeżu Waszyngtonu, grzejąc się przy ognisku bezdomnego.

- Wiecie co - odezwał się bezdomny - nigdy nie jest się całkiem bez przyjaciół. - Jego twarz była brudna, a broda potargana, ale sprawiał sympatyczne wrażenie. - Czekać na pociąg jadący na zachód, dzieci?

- Tak, proszę pana - odpowiedziałem. - Zna pan jakiś?

Podniósł zathuszczoną rękę.

Nagle zobaczyłem pociąg towarowy, błyszczący i nie-zaśnieżony. Był to jeden z tych składów którym przewozi się samochody, ze ścianami ze stalowej siatki i potrójnymi pokładami na auta w środku. Na boku pociągu znajdował się napis KOLEJE ZACHODZĄCEGO SŁOŃCA.

- To... cudownie się składa - powiedziała Thalia. - Dziękujemy, yyy.

Odwróciła się do bezdomnego, ale jego już tam nie było. Kontener stojący przed nami był zimny i pusty, jakby ten człowiek zabrał z sobą ogień.

Godzinę później nasz pociąg toczył się na zachód. Teraz nie było sporów o to, kto będzie prowadził, ponieważ każdy miał po luksusowym samochodzie. Zoe i Bianca rozłożyły się w lexusie na górnym pokładzie. Grover odgrywał wyścigi samochodowe za kierownicą lamborg-hini. Thalia uruchomiła radio w czarnym sportowym mercedesie i łapała stacje nadające rock alternatywny z Waszyngtonu.

- Mogę się dosiąść? - zapytałem.

Wzruszyła ramionami, więc wspiołem się na siedzenie pasażera.

W radio grali White Stripes. Znałem tę piosenkę, była jedną z nielicznych, które mama lubiła, ze wszystkich moich płyt. Mówiła, że przypomina jej Led Zappelin. Zrobiło mi się smutno na myśl o mamie, ponieważ wyglądało na to, że nie przyjadę do domu na święta. Mogę nie dożyć świąt.

- Fajny płaszcz - powiedziała Thalia.

Owinałem się brązowym prochowcem, czując wdzięczność za jego ciepło.

- Tak, ale lew nemejski nie był potworem, którego szukamy.
- Gdzie tam. Tamten to zupełnie inna bajka.
- Czymkolwiek jest ten tajemniczy potwór, Generał powiedział, że pójdzie za tobą. Chcą cię odłączyć od grupy, żeby ten potwór pojawił się i walczył z tobą sam na sam.

- Tak powiedział?

- Coś w tym rodzaju, tak.

- Super. Uwielbiam być przynętą.

- Nie masz pojęcia, czym może być ten potwór?

Potrząsnęła ponuro głową.

- Ale wiesz, dokąd jedziemy, tak? Do San Francisco. To tam zmierzała Artemida.

Przypomniało mi się coś, co powiedziała mi Annabeth w tańcu: że jej ojciec przenosi się do San Francisco, a ona nie może tam pojechać. Herosi nie są w stanie tam mieszkać.

- Dlaczego? - zapytałem. - Co jest nie tak z tym miejscem?

- Mgła jest tam bardzo gęsta, ponieważ w pobliżu znajduje się Góra Rozpaczy. Ciągłe trwa tam magia tyta-nów... Cokolwiek z niej pozostało. Nie uwierzysz, jak to miejsce przyciąga potwory.

- Co to jest Góra Rozpaczy?

Thalia uniosła brwi.

- Naprawdę nie wiesz? Zapytaj głupiej Zoe. To ona jest specjalistką.

Wlepiła wzrok w przednią szybę. Miałem ochotę zapytać, o co jej chodzi, ale nie chciałem wyjść na głupka. Strasznie nie lubię tego, że Thalia wie o wiele więcej niż ja, więc trzymałem gębę na kłódkę.

Popołudniowe słońce świeciło przez stalową siatkę wagonu, rzucając cienie na jej twarz. Pomyślałem sobie, jak bardzo różnią się te dwie dziewczyny: Zoe oficjalna i wyniosła jak

księżniczka i Thalia w tych swoich irytuj ą-cych ciuchach i z buntowniczą pozą. Ale w jakiś sposób są również do siebie podobne. Tak samo twarde. W tej chwili, siedząc w cieniu z ponurym wyrazem twarzy, Thalia wyglądała zupełnie jak Łowczyni. I nagle olśniło mnie.

- Dlatego tak się nie znosicie z Zoe.

Thalia zmarszczyła czoło.

- Że co?

- Łowczynie próbowały cię zwerbować - powiedziałem.

Jej oczy rozbłysły niebezpiecznie. Pomyślałem, że zaraz wyrzuci mnie z mercedesa, ale ona tylko westchnęła.

- Omal do nich nie dołączyłam - przyznała. - Luke, Annabeth i ja wpadliśmy na nie pewnego razu i Zoe usiłowała mnie przekonać. Prawie jej się udało, ale...

- Ale?

Thalia zacisnęła palce na kierownicy.

- Musiałabym porzucić Luke'a.

- Ach.

- Pokłóciłyśmy się z Zoe. Powiedziała mi, że jestem głupia. I że pożałuję swojego wyboru. Że Luke kiedyś mnie zawiedzie.

Patrzyłem na słońce przez metalową zasłonę. Miałem wrażenie, że z każdą chwilą nabieramy prędkości - cie-nie migały jak na starej taśmie filmowej.

- To musi być trudne - powiedziałem. - Przyznać, że Zoe miała rację.

- Nie miała racji! Luke nigdy mnie nie zawiódł! Nigdy.

- Będziemy musieli z nim walczyć - zauważyłem. - Nie mamy wyjścia.

Thalia nie odpowiedziała.

- Nie widziałś go ostatnio - ostrzegłem ją. - Wiem, że ciężko

w to uwierzyć, ale...

- Zrobię wszystko, co będzie trzeba.

- Nawet jeśli to oznacza zabicie go?

- Bądź tak miły - powiedziała - i wysiądź z mojego samochodu.

Czułem się tak fatalnie, że nie protestowałem.

Ale kiedy już wysiadałem, odezwała się znowu.

- Percy.

Obróciłem się i zobaczyłem, że ma zaczerwienione oczy, choć nie byłem w stanie ocenić, czy to z gniewu czy ze smutku.

- Annabeth też rozważała dołączenie do Łowczyń. Może powinieneś się zastanowić, dlaczego.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, podniosła szybę, odcinając się ode mnie.

Usiadłem na miejscu kierowcy w lamborghini Grovera, który spał na tylnych siedzeniach. Nie próbował już robić wrażenia na Zoe i Bianca grana piszczalkach po tym, jak zagrał *Poison Ivy* i tytułowy trujący bluszcz wyrósł z kratki klimatyzacji w ich lexusie.

Przyglądałem się zachodzącemu słońcu i myślałem o Annabeth. Bałem się zasnąć. Nie chciałem myśleć o tym, co mogłoby mi się przyśnić.

- Och, nie bój się snów - odezwał się głos koło mnie.

Obejrzałem się. Jakoś nie zdziwiła mnie obecność bezdomnego ze stacji kolejowej na siedzeniu pasażera. Jego dzinsy były tak sprane, że niemal białe. Płaszcz miał potargany, z wystającym przez dziury ociepleniem. Wyglądał trochę jak pluszowy miś rozjechany przez ciężarówkę.

- Gdyby nie sny - oznajmił - nie wiedziałbym połowy tego wszystkiego, co wiem o przyszłości. Są o niebo lepsze od

olimpijskich tabloidów.

Odchrząknął, po czym uniósł ręce w dramatycznym geście.

Transfery snów w moich uszach Download prawdy

Źródło dobrych newsów

- Apollo? - domyśliłem się, bo uznałem, że nikt inny nie byłby w stanie ułożyć równie złego haiku.

Położył palec na ustach.

- Jestem tu incognito. Mów mi Fred.

- Bóg o imieniu Fred?

- No, wiesz... Zeus opiera się przy pewnych zasadach. Ręce precz od ludzkich misji. Nawet kiedy dzieje się coś naprawdę niedobrego. Ale nikt nie będzie krzywdził mojej małej siostrzyczki. Nikt.

- To ty możesz nam pomóc?

- Ciii. Już pomogłem. Nie wyglądałeś na zewnątrz?

- Ten pociąg. Jak szybko jedziemy?

Apollo się zaśmiał.

- Wystarczająco szybko. Niestety mamy mało czasu. Już prawie noc, ale myślę, że pokonaliście do tej pory spory kawałek Ameryki.

- A gdzie jest Artemida?

Jego twarz sposepniała.

- Wiem dużo i dużo widzę. Niestety, tego nie wiem nawet ja. Ona... Jest przede mną ukryta. Nie podoba mi się to.

- A Annabeth?

Zmarszczył brwi.

- Ach, masz na myśli tę, którą straciliście? Hmm. Nie wiem.

Usiłowałem się nie denerwować. Wiedziałem, że poważne traktowanie śmiertelników sprawia bogom spore kłopoty, nawet

jeśli chodzi o herosów. Żyjemy tak krótko w porównaniu z nimi.

- A co z tym potworem, którego szuka Artemida? - zapytałem.

- Wiesz co to jest?

- Nie - odpowiedział Apollo. - Ale jest ktoś, kto może wiedzieć. Jeśli nie znajdziecie potwora po przyjeździe do San Francisco, poszukajcie Nereusa, Starca Morskiego. On ma długą pamięć i bystre oczy. No i posiada dar widzenia rzeczy, które są ukryte przed moją Wyrocznią.

- Ale to twoja Wyrocznia - zaprotestowałem. - Nie możesz nam powiedzieć, co znaczy przepowiednia?

Apollo westchnął.

- Równie dobrze możesz prosić artystę, żeby ci wyjaśnił swój obraz, albo poetę o wytłumaczenie znaczenia wiersza. To zaprzecza wszelkiemu sensowi tych rzeczy. Znaczenie staje się jasne dopiero dzięki poszukiwaniom.

- Innymi słowy nie masz pojęcia.

Apollo zerknął na zegarek.

- Och, spójrz, która godzina! Muszę bieć. Nie sądzę, żebym mógł ryzykować pomaganie ci jeszcze raz, Percy, ale pamiętaj, co ci powiedziałem! Wyśpij się! A kiedy wrócisz, spodziewam się dobrego haiku na temat tej podróży!

Chciałem powiedzieć, że nie jestem zmęczony i że nigdy w życiu nie układałem haiku, ale Apollo pstryknął palcami i widziałem tylko tyle, że oczy same mi się zamykają. We śnie byłem kimś innym. Nosilem starożytną grecką tunikę, dziwnie przewiewną w dolnej części, oraz sznurowane skórzane sandały. Przez plecy miałem prze-rzuconą skórę lwa nemejskiego niczym pelerynę i bieg-łem dokądś, ciągnięty przez dziewczynę, która ścisnęła mnie mocno za rękę.

- Pospiesz się! - powiedziała. Było zbyt zimno, żebym mógł dostrzec wyraźnie jej twarz, ale w jej głosie słysza-łem strach. -

On nas znajdzie!

Była noc. Nad nami błyszczały miliony gwiazd. Biegli-śmy przez wysoką trawę, a zapach tysięcy najróżniej-szych kwiatów sprawiał, że kręciło mi się w głowie. To był przepiękny ogród, ale ta dziewczyna ciągnęła mnie dalej, jakby groziła nam śmierć.

- Nie boję się - usiłowałem jej powiedzieć.

- A powinienes! - odkrzyknęła, ciągnąc mnie dalej. Mia-ła długie, ciemne włosy splecione na karku. Jej jedwab-na szata lśniła lekko w świetle gwiazd.

Biegliśmy po zboczu wzgórza. Dziewczyna pociągnęła mnie na kolczasty krzak i upadliśmy na ziemię, dysząc ciężko. Nie miałem pojęcia, czego ona się tak boi. Ogród wydawał się bardzo spokojny.

A ja czułem siłę. Większą niż kiedykolwiek w życiu.

- Nie musimy uciekać - powiedziałem jej. Mój głos brzmiał głębiej i bardziej zdecydowanie. - Pokonałem tysiące potworów gołymi rękami.

- Ale nie tego - odrzekła. - Ladon jest zbyt potężny. Musisz pójść dookoła, na wzgórze, do mojego ojca. To jedyna droga.

Zaskoczyła mnie troska w jej głosie. Ona była napraw-dę zaniepokojona, jakby zależało jej na mnie.

- Nie ufam twojemu ojcu - powiedziałem.

- I słusznie - przytaknęła dziewczyna. - Będziesz mu-siał go oszukać. Ale nie możesz po prostu wziąć nagrody. Umrzesz.

Zaśmiałem się.

- Dlaczego więc mi nie pomożesz, ślicznotko?

- Ja... Ja się boję. Ladon mnie zatrzyma. Moje siostry, jeśli się dowiedzą... wydziedziczą mnie.

- No to nie mam innego wyjścia - wstałem, zacierając ręce.

- Zaczekaj - powiedziała dziewczyna.

Sprawiała wrażenie, jakby biła się z myślami. A potem

drżącymi palcami sięgnęła ku włosom i wyjęła długą białą szpilkę.

- Jeśli musiałbyś walczyć, to ci się przyda. Dała mi to moja matka, Plej one. Była córką oceanu i w tym przed-miocie zawarta jest jego moc. Moja nieśmiertelna moc.

Dziewczyna dmuchnęła na szpilkę, która zajaśniała słabo. Migotała jak światło gwiazd w polerowanej masie perłowej.

- Weź to - powiedziała do mnie. - Uczyń z tego broń.

Roześmiałem się.

- Ze szpilki do włosów? Jak mam tym zabić Ladona, ślicznotko?

- Nie zabijesz - przyznała. - Ale to wszystko, co mogę ci dać, skoro jesteś taki uparty.

Głos dziewczyny zmiękczył moje serce. Wziąłem od niej szpilkę, a kiedy to uczyniłem, metal rozciągnął się, sta-jąc się dłuższy i cięższy w mojej ręce, aż wreszcie dzie-rzyłem spiżowy miecz.

- Nieźle wyważony - zauważyłem. - Ale zazwyczaj wolę walczyć gołymi rękami. Jak mam nazwać ten miecz?

- *Anaklysmos* - odpowiedziała ze smutkiem dziewczyna. - Prąd, który porywa wszystko z zaskoczenia. I zanim się zorientujesz, pochłania cię morze.

Zanim zdążyłem jej podziękować, usłyszałem dudnienie kroków wśród trawy i syk, jak powietrze uchodzące z opony, a dziewczyna powiedziała:

- Za późno! On tu jest!

Omaliem nie podskoczyłem na siedzeniu kierownicy w lam-borghini. Grover potrząsał mnie za ramię. - Percy - mówił. - Już rano. Pociąg się zatrzymał. Chodź!

Usiłowałem otrząsnąć się ze snu. Thalia, Zoe i Bianca odsunęły już metalowe okiennice. Przed nami wznosiły się ośnieżone szczyty usiane sosnami, a czerwone słońce wschodziło pomiędzy dwóch z nich.

Wyciągnąłem z kieszeni mój długopis i wpatrywałem się w niego, Anaklysmos, starożytne greckie imię Orkana. Inny kształt, ale byłem przekonany, że to jest to samo ostrze, które widziałem we śnie.

Byłem pewny jeszcze jednej rzeczy. Dziewczyną, która mi się przyśniła, była Zoe Nightshade.

ROZDZIAŁ XII

SNOWBOARD Z WIEPRZEM

Wylądowaliśmy na obrzeżach niewielkiego kurortu narciarskiego w górach. Na tablicy przy wjeździe widniał napis WITAJCIE W CLOUDCROFT, STAN NOWY MEKSYK. Powietrze było zimne i rozrzedzone. Na dachach domków leżały czapy śnieżne, a przy krawężnikach ulic wznosiły się brudne zasy. Dolinę porastały wysokie sosny rzucające czarne cienie, chociaż poranek był słoneczny.

Mimo płaszcza z lwiej skóry zamarzałem, kiedy docieraliśmy do głównej ulicy, która biegła prawie kilometr od torów kolejowych. Po drodze opowiedziałem Groverowi o mojej rozmowie z Apollinem poprzedniego wieczoru - o tym, że kazał mi szukać Nereusa w San Francisco.

Grover był niespokojny.

- Wszystko pięknie, ale najpierw musimy się tam dostać.

Staralem się nie dołować kwestią naszych szans. Nie chciałem też przerazić Grovera, ale wiedziałem, że mamy jeszcze jeden nieprzekraczalny termin oprócz uwolnienia Artemidy przed radą bogów. Generał powie-dział, że będzie trzymał Annabeth przy życiu tylko do przesilenia zimowego. Czyli do piątku - raptem za cztery

dni. Wspomniał też o jakiejś ofierze. Nie podobało mi się to wszystko.

Zatrzymaliśmy się w centrum miasteczka. W zasięgu ręki mieliśmy wszystkie lokalne atrakcje: szkołę, kilka kiosków z pamiątkami i kawiarni, hoteliki dla narciarzy i sklepik.

- Super - powiedziała Thalia, rozglądając się dookoła. - Nie ma dworca autobusowego. Nie ma taksówek. Ani wynajmu samochodów. Czyli nie mając się stąd wydos-tać.

- Za to jest kawiarnia! - oznajmił Grover.

- Tak - powiedziała Zoe. - Kawa będzie dobra.

- I ciastka - dodał satyr rozmarzonym tonem. - I pa-pierki po ciastkach.

Thalia westchnęła.

- Świetnie. Wy dwoje idźcie po coś do jedzenia. A ja z Percym i Bianką pójdę do sklepu. Może tam nam coś poradzą.

Umówiliśmy się za kwadrans przed sklepem. Bianca wyglądała na nieco zakłopotaną, idąc z nami, ale nie protestowała.

W sklepie dowiedzieliśmy się kilku ważnych rzeczy na temat Cloudcroft: że nie ma wystarczająco dużo śniegu, żeby jeździć na nartach, że można kupić gumowe szczy-ry po dolarze za sztukę i że nie jest łatwo wydostać się z miasta bez własnego samochodu.

- Moglibyście wezwać taksówkę z Alamogordo - powie-dział sprzedawca z powątpiewaniem. - To miasto w doli-nie, ale

zejdzie conajmniej godzina, zanim taksówka tu przyjedzie. No i kosztuje kilkaset dolarów. Biedak wydawał się tak samotny, że kupiłem gumowe-go szczura. Wyszliśmy z powrotem na zewnątrz i stanęliśmy na werandzie.

- Ekstra - mruknęła Thalia. - Przejdę się dalej ulicą, może w innym sklepie ktoś będzie miał lepsze rady.

- Ale ten sprzedawca powiedział...

- Wiem - odpowiedziała. - Ale i tak sprawdzę.

Pozwoliłem jej odejść. Wiedziałem, jak to jest, kiedy nie potrafi się usiedzieć w miejscu. Wszyscy herosi mają problemy z nadpobudliwością ze względu na nasz wrodzony instynkt bitewny. Po prostu nie jesteśmy w stanie beczynie czekać.

A poza tym miałem wrażenie, że Thalia wciąż jest zła z powodu naszej niedawnej rozmowy o Luke'u.

Staliśmy razem z Bianką, czując się niezręcznie. To znaczy... Ja nigdy nie czuję się dobrze sam na sam z dziewczynami, a z Bianką nigdy wcześniej nie byłem w takiej sytuacji. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, zwłaszcza że ona była Łowczynią i w ogóle.

- Fajny szczur - odezwała się w końcu pierwsza.

Położyłem szczura na barierce. Może przyciągnie więcej klientów do sklepu.

- No to... Jak się czujesz jako Łowczyni? - zapytałem.

Zacisnęła usta.

- Dalej jesteś na mnie wściekły, że się zaciągnęłam, co?

- Nie. Jeśli tylko, no wiesz... Jest ci z tym dobrze.

- Nie wiem, czy "dobrze" jest właściwym słowem, kiedy Pani Artemida zniknęła. Ale bycie Łowczynią jest zdecydowanie fajne. Czuję się jakoś tak spokojniej. Wszystko wokół mnie jakby zwolniło. To pewnie kwestia tej nieśmiertelności.

Przyglądałem się jej, usiłując dostrzec zmiany. Wyglądała na bardziej pewną siebie niż wcześniej. Nie kryła już twarzy pod zieloną czapką. Włosy miała związane z tyłu głowy i patrzyła mi prosto w oczy. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy uświadomiłem sobie, że za pięćset lat Bianca di Angelo będzie wyglądać dokładnie tak samo jak teraz. I może będzie rozmawiać z jakimś innym herosem długo po mojej śmierci, nadal wyglądając na dwanaście lat.

- Nico nie zrozumiał mojej decyzji - mruknęła pod nosem. Patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby czekała na potwierdzenie, że wszystko w porządku.

- Pogodzi się z tym - powiedziałem. - Obóz Herosów często przyjmuje dzieci na stałe. Tak było z Annabeth.

Bianca przytaknęła.

- Mam nadzieję, że ją odnajdziemy. Mam na myśli Annabeth. Ona ma szczęście, że ma takiego przyjaciela jak ty.

- Pomogło jej to niesłuchanie.

- Nie obwiniaj się, Percy. Zaryzykowałeś życie, żeby ratować mojego brata i mnie. Wiesz, naprawdę byłeś bardzo odważny. Gdybym cię nie znała, źle bym się czuła, zostawiając Nica w obozie. Ale pomyślałam, że skoro są tam tacy ludzie jak ty, to on sobie poradzi. Dobry z ciebie chłopak.

Zaskoczyła mnie tym komplementem.

- Mimo że cię przewróciłem podczas bitwy o sztandar?

Roześmiała się.

- Dobra. Jeśli nie liczyć tego epizodu, jesteś dobrym chłopakiem.

Kilkaset metrów od nas Grover i Zoe wychodzili właśnie z kawiarni, obładowani torbami z ciastkami i napojami. Właściwie już nie chciałem, żeby do nas dołączyli. Może to dziwne, ale uświadomiłem sobie, że dobrze mi się rozmawia z

Bianką. Wcale nie była taka zła. W każdym razie była znacznie miłsza od Zoe Nightshade.

- Jak to z wami było, z tobą i Nico? - zapytałem. - Gdzie chodziliście do szkoły przed Westover Hall?

Zmarszczyła brwi.

- To była chyba jakaś szkoła z internatem w Waszyng-tonie. Wydaje mi się to tak bardzo dawno.

- Nigdy nie mieszkaliście z rodzicami? Mam na myśli waszego śmiertelnego rodzica.

- Powiedziano nam, że nasi rodzice nie żyją. W banku jest fundusz powierniczy dla nas. Mnóstwo pieniędzy, z tego co się domyślam. Co jakiś czas odwiedzał nas praw-nik i sprawdzał, czy wszystko w porządku. A potem Nico i ja musieliśmy opuścić tamtą szkołę.

- Dlaczego?

Widac było, że wysiła pamięć.

- Musieliśmy dokądś pojechać. Pamiętam, że to było bardzo ważne. Podróżowaliśmy bardzo daleko. I przez kilka tygodni mieszkaliśmy w hotelu. A potem... Nie wiem. Pewnego dnia przyszedł po nas inny prawnik. Powiedział, że już czas, żebyśmy wyjechali. Zawiózł nas

z powrotem na wschód, przez Waszyngton. A potem na północ do Maine. Wtedy zaczęliśmy chodzić do Westover Hall.

Była to dziwna opowieść. Ale z drugiej strony Bianca i Nico byli dziećmi półkrwi. Nic normalnego nie miało prawa ich spotkać.

- Opiekowałaś się bratem przez cały ten czas? - zapyta-łem. - Byliście sami?

Potwierdziła.

- Dlatego tak bardzo chciałam przyłączyć się do Łow-czyń. Wiem, że to samolubne, ale chciałam mieć własne życie i

przyjaciół. Kocham Nica, nie zrozum mnie źle, ale chciałam się przekonać, jak to jest nie być starszą siostrą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pomyślałem o zeszłym lecie i o tym, jak się czułem, kiedy odkryłem, że mam małego braciszka cyklopa. Mógłbym podpisać się pod każdym słowem Bianki.

- Zoe chyba ci ufa - powiedziałem. - A w ogóle, to o czym wy wtedy mówiliście... Że coś zagraża wyprawie?

- Kiedy?

- Wczoraj rano w pawilonie - wypaliłem bez zastanowienia. - Mówiliście o Generale.

Jej twarz spochmurniała.

- Skąd ty... No tak, czapka niewidka. Czyżbyś podsłuchiwał?

- Nie! To znaczy nie do końca. Ja tylko...

Zoe i Grover z napojami i ciastkami wybawili mnie od tłumaczenia się. Gorąca czekolada dla Bianki i dla mnie. Kawa dla nich dwojga. Poza tym dostałem babeczkę z jagodami, która była tak dobra, że prawie udało mi się zignorować wściekłe spojrzenia Bianki.

- Powinniśmy rzucić zaklęcie tropiące - powiedziała Zoe. - Zostały ci jeszcze jakieś żółędzie, Grover?

- Yyy - wymamrotałem, przeżuując babeczkę z otrębami z papierkiem i całą resztą. - Tak mi się wydaje. Muszę tylko...

Zamarł.

Miałem zapytać, co się stało, kiedy poczułem powiew ciepłego wiatru, jakby przeleciał obok nas zaplątany w sam środek zimy podmuch wiosny. Świeże powietrze nasyczone zapachem dzikich kwiatów i światłem słońca. I czymś jeszcze, jakby głosem, który usiłował nam coś powiedzieć. Jak gdyby ostrzeżenie.

Zoe krzyknęła.

- Grover, kubek!

Grover upuścił pomalowany w ptaki kubek z kawą. Nagle ptaki oderwały się od naczynia i odleciały - stado małych gołębi. Mój gumowy szczur pisnął, zsunął się z barierki i uciekł między drzewa - miał prawdziwą sierść i prawdziwe wąsiki.

Grover upadł na ziemię obok swojej kawy, która paro-wała w zetknięciu ze śniegiem. Zebraliśmy się wokół niego, usiłując go obudzić. Jęknął, ale jego oczy biegały nieprzytomnie.

- Hej! - zawołała Thalia, nadbiegając od strony ulicy. - Ja tylko... Co się stało Groverowi?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałem. - Zemdlał.

- Uuuch -jęknął satyr.

- Podnieście go! - zakomenderowała Thalia. Z włócznią w rękę oglądała się za siebie, jakby ktoś ją gonił. - Musi-my stąd uciekać.

Dobiegliśmy do granicy miasta, zanim pojawili się dwaj pierwsi szkieletowi wojownicy. Wynurzyli się spomiędzy drzew, rosnących po obu stronach ulicy. Zamiast szarych panterek mieli teraz na sobie granatowe mundury policji stanowej Nowego Meksyku, ale ich skóra pozosta-wała przezroczyście szara, a oczy żółtawe.

Wyciągnęli pistolety. Przyznaję, myślałem, że strzelanie z broni palnej jest fajne, ale zmieniłem zdanie, kiedy szkielety wymierzyły swoje pistolety we mnie.

Thalia uderzyła swoją bransoletkę. Egida rozwinęła się na jej ramieniu, ale wojownicy nawet nie drgnęli. Ich błyszczące żółte oczy wwiercały się we mnie.

Dobylem Orkan, choć nie bardzo wiedziałem, co może poradzić przeciwko kulom.

Zoe i Bianca trzymały już łuki, ale Bianca miała z tym kłopoty, ponieważ omdlewający Grover słał się na nią.

- Cofnąc się - zakomenderowała Thalia.

Zaczelismy się cofać, ale w tej samej chwili usłyszałem szelest gałęzi. Na drodze za nami ukazały się dwa nas-tępne szkielety. Zostalismy otoczeni.

Zastanawiałem się, gdzie są pozostałe. W muzeum wi-działem dwunastkę. Nagle jeden z wojowników uniósł komórkę do ust i powiedział coś do niej.

Tyle tylko, że nie mówił. Wydawał brzęcząco-grzecho-czące dźwięki, jakby szczękając zębami. Nagle zrozu-miałem, co było grane. Szkielety rozdzieliły się, szukając nas. I teraz te tutaj dzwoniły po swoich braci. Lada moment będziemy mieć całą grupę na karku.

- Blisko -jęknął Grover.

- Tutaj - odpowiedziałem.

- Nie - upierał się. - Dar. Dar dziczy.

Nie miałem pojęcia, o czym mówił, ale martwił mnie jego stan. Nie mógł chodzić, a co dopiero walczyć.

- Musimy ich wziąć jeden na jednego - powiedziała Thalia. - Czwo-ro z nas na ich czwór-kę. Może wtedy zostawią Grovera.

- Zgoda - przytaknęła Zoe.

- Dzicz! - zajęczał Grover.

Przez dolinę przeleciał ciepły wiatr, poruszając gałęzia-mi drzew, ale ja nie spuszczałem oczu ze szkieletów.

Przypomniałem sobie przechwałki Generała o losie Annabeth.

Przypomniałem sobie, jak Luke zdradził ją.

I zaszarżowałem.

Pierwszy ze szkieletów wypalił. Czas zwolnił. Nie po-wiem, że widziałem kulę, ale wyczułem jej tor, tak samo jak czuję prądy w morzu. Odbiłem pocisk ostrzem mie-cza i biegłem dalej.

Szkielet wyciągnął pałkę, a ja odciąłem mu rękę na wysokości łokci. Następnie zamachnąłem się Orkanem i przeciąłem go na pół.

Kości rozsypały się ze stukotem po asfalcie i niemal natychmiast zaczęły się poruszać i zbierać na powrót. Drugi szkielet zaklekotał na mnie i usiłował wystrzelić, ale wybiłem mu z ręki pistolet.

Myślę, że nieźle sobie radziłem, dopóki dwa pozostałe szkielety nie trafiły mnie w plecy.

- Percy! - wrzasnęła Thalia.

Wylądowałem twarzą na asfalcie. I wtedy coś sobie uświadomiłem... Nie byłem martwy. Uderzenia kul były osłabione, jak pchnięcie od tyłu, i nie zrobiły mi żadnej krzywdy.

Skóra lwa nemejskiego! Mój płaszcz okazał się kulo-odporny.

Thalia runęła na drugi ze szkieletów, a Zoe i Bianca z łuków ostrzeliwały trzeci i czwarty. Grover stał w miej-scu z rękami wyciągniętymi ku drzewom, jakby chciał objąć w uścisku.

W lesie po naszej prawej rozległ się trzask, jakby ktoś jechał buldożerem. Może to nadchodziły szkieletowe posiłki. Podniosłem się na nogi i uchyliłem przed policyj-ną pałką. Szkielet, który rozciąłem na pół, był już w pełni odtworzony i właśnie na mnie nacierał.

Nie dało się ich zatrzymać. Łowczynie mierzyły prosto w ich głowy, ale strzały przesywały tylko puste czaszki na wylot. Jeden z wojowników skoczył na Biankę i myślałem, że już po niej, ale ona wyciągnęła swój myśliwski nóż i wbiła go szkieletowi w zębra.

Wojownik eksplodował ogniem, pozostawiając po sobie niewielką kupkę popiołu i policyjną odznakę.

- Jak to zrobiłaś? - spytała Zoe.

- Nie wiem - odpowiedziała zdenerwowana Bianca. -
Szczęśliwy cios?

- Rób tak dalej!

Bianca robiła co mogła, ale pozostałe szkielety uważały teraz na nią. Nacierają, trzymając nas na wyciągnięcie pałki.

- Mamy plan? - spytałem, kiedy się cofaliśmy.

Nikt mi nie odpowiedział. Drzewa za plecami szkieletów trzęsły się. Gałęzie trzeszczały.

- Dar - mruknął Grover.

I w tym momencie na drogę wypadła z potężnym rykiem największa świnia, jaką w życiu widziałem.

Był to dzik wysoki na dziesięć metrów, o zadartym różowym ryju i szablach wielkości kajaków. Szczecina na jego grzbiecie lśniła brązowo, a oczka były dzikie i wściekłe.

- CHRUUUUUUUM! - ryknął dzik i szablami odrzucił na bok trzy szkielety. Siła uderzenia była tak wielka, że wojownicy poszybowali nad lasem i rąbnęli w skałę, rozsypując się na kawałki. Kości udowe i ramieniowe latały po całej okolicy.

Wtedy dzik zwrócił się ku nam.

Zwierzę chrząkało i biło nogą w ziemię, gotowe w każdej chwili zaszarżować.

- To dzik erymantejski - powiedziała Zoe, próbując zachować spokój. - Nie sądzę, żebyśmy mieli szanse go zabić.

- To dar - powtórzył Grover. - Błogosławieństwo dziczy!

Dzik powtórzył swoje "CHRUUUUUM!" i zakołysał szablami. Zoe i Bianca uskoczyły mu z drogi. Musiałem popchnąć Grovera, żeby uchronić go przed lądowaniem na górskim szczycie za pośrednictwem Kolejki Linowej Dzikie Kły.

- Jasne, czuję się pobłogosławiony! - powiedziałem. -
Rozsypka!

Rozbiegliśmy się we wszystkich kierunkach i przez chwilę dzik

był skonfundowany.

- On chce nas zabic! - krzyknęła Thalia.
- Oczywiście - odparł Grover. - Przecież jest dziki!
- No to na czym polega to błogosławieństwo? - spytała Bianca.

Wydało mi się to słusznym pytaniem, ale dzik najwyraźniej poczuł się obrażony i ruszył na nią. Była szybsza niż się spodziewałem. Uskoczyła spod jego kopyt i znalazła się za bestią.

Dzik zamachnął się szablami i rozwalił w drzazgi znak
WITAJCIE W CLOUDCROFT.

Wysilałem mózg, usiłując przypomnieć sobie mit o tym zwierzęciu. Byłem prawie pewny, że walczył z nim kiedyś Herakles, ale nie pamiętałem jak go pokonał. Przemknęło mi przez myśl, że dzik przeorał kilka greckich miast, zanim Heraklesowi udało się przywołać go do porządku. Miałem nadzieję, że Cloudcroft jest ubezpieczone na wypadek potwornych dzików.

- Ruszajcie się! - krzyknęła Zoe.

Pobiegła w jednym kierunku, a Bianca w drugim. Grover tańczył wokół dzika, grając na piszczałkach, podczas gdy potwór sapał i usiłował go przyszpilić. Ale to my z Thalią wygraliśmy w kategorii największego pecha. Kiedy zwierzę zwróciło się ku nam, Thalia popełniła błąd, że uniosła w obronnym geście Egidę. Na widok głowy Meduzy dzik kwiknął z wściekłością.

Może przypominała mu kogoś z rodziny. W każdym razie zaatakował.

Udało nam się uciec przed nim tylko dzięki temu, że biegliśmy pod górę i mogliśmy kryć się za drzewami, podczas gdy on musiał się przez nie przedzierać.

Po drugiej stronie wzgórza znalazłem tory kolejowe, na pół

przysypane śniegiem.

- Tędy. - Chwyciłem Thalię za rękę i pobiegliśmy torami. Dzik ryczał za nami, ślizgając się i zjeżdżając, kiedy usiłował się wspiąć na strome zbocze. Jego racice się po prostu do tego nie nadawały. Bogom niech będą dzięki.

Przed nami zobaczyłem tunel, a za nim stary drewniany most przerzucony nad wąwozem. Przyszedł mi do głowy wariacki pomysł.

- Za mną!

Thalia zwolniła - nie miałem czasu, żeby zapytać dlaczego - ale pociągnąłem ją za sobą i niechętnie pobiegła dalej. Za nami dziesięcotonowy dziki czołg przewracał sosny i kruszył kopytami głązy.

Wbiegliśmy do tunelu i wypadliśmy po przeciwnej stronie.

- Nie - krzyknęła Thalia.

Była biała jak kreda. Staliśmy na skraju mostu. Pod nami góra opadała w wypełniony śniegiem wąwóz, głęboki na jakieś dwadzieścia pięć metrów.

Dzik był tuż za nami.

- Chodź! - powiedziałem. - Powinien utrzymać nasz ciężar.

- Nie dam rady! - wrzasnęła. W jej szeroko otwartych oczach dostrzegłem przerażenie.

Rozjuszony zwierzę wpadło do tunelu i przedzierało się przez niego na pełnym gazie.

- Szybko! - krzyknąłem na Thalię.

Spojrzała w dół i przełknęła ślinę. Mógłbym przysiąc, że pozieleniała.

Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym. Dzik szarżował przez tunel wprost na nas. Czeka nas plan B. Chwyciłem Thalię i rzuciłem się razem z nią w bok od mostu, na zbocze góry. Jechaliśmy na Egidzie jak na desce snowboardowej, przez

kamienie, błoto i śnieg, pędząc w dół. Dzik miał mniej szczęścia: nie był w stanie tak szybko się odwrócić, toteż całe dziesięć ton potwora wpadło na wąski most, który załamał się pod tym ciężarem. Poleciał na łeb na szyję w głąb wąwozu, kwicząc przeraźliwie, i wylądował w zaspie śnieżnej z głośnym PUUUUF!

Zatrzymaliśmy Egidę. Oboje dyszeliśmy ciężko. Ja byłem pokaleczony, a Thalia miała we włosach sosnowe szpilki. Tuż koło nas dzik kwiczał i wierzgał. Widziałem tylko porośnięty szczyt grzbiet. Reszta była zakopana w śniegu niczym w styropianowych kulkach. Nie wyglądał, jakby coś mu się stało, ale przynajmniej na razie nigdzie dalej nie pobiegnie.

Spojrzałem na Thalię.

- Ty masz lęk wysokości.

Teraz kiedy byliśmy bezpieczni na dole, w jej oczach zapaliły się zwykłe iskierki gniewu.

- Nie gadaj głupstw.

- To wyjaśnia twoje zachowanie w busie Apollina. I dlaczego nie chciałaś o tym rozmawiać.

Wzięła głęboki wdech, po czym wytrzepała sosnowe igielki z włosów.

- Jeśli powiesz komukolwiek, to przysięgam...

- Nie, nie - odpowiedziałem. - Wszystko w porządku. Tylko... córka Zeusa, pana Niebios... i boi się wysokości?

Miała właśnie wrzucić mnie w zaspę, kiedy nad nami rozległ się głos Grovera.

- Halo??

- Tu jesteśmy! - zawołałem.

Chwilę później dołączyli do nas Zoe, Bianca i Grover. Staliśmy przez chwilę przyglądając się wierzgającemu w śniegu dzikowi.

- Błogosławieństwo Dzikoty - oznajmił Grover, który teraz był już całkiem żywy.

- Zgadza się - powiedziała Zoe. - Musimy to wykorzystać.

- Zaczekaj - przerwała jej gniewnie Thalia, która wciąż wyglądała, jakby właśnie przegrała pojedynek z choinką. - Czy możecie mi wytłumaczyć, skąd wasza pewność, że ten wieprz jest błogosławieństwem?

Grover spojrzał na nią z roztargnieniem.

- Zawiezie nas na zachód. Masz pojęcie, jak szybko biega ten dzik?

- Super - powiedziałem. - Świńskie rodeo.

Grover przytaknął.

- Musimy wsiadac. Szkoda... Szkoda, że nie miałem czasu się lepiej rozejrzeć. Ale to już minęło.

- Co minęło?

Grover jakby mnie nie słyszał. Podeszedł do zwierzęcia i wskoczył mu na grzbiet. Potwór powoli wykopywał się już ze śniegu. Kiedy się całkiem wydobędzie, nie zdołamy go zatrzymać. Mój przyjaciel wyciągnął swoje piszczałki. Zaczął grać żwawą melodyjkę i rzucił dzikowi przed ryj jabłko, które zawisło w powietrzu, obracając się, dokładnie nad jego nosem. Zwierz oszalał, usiłując dosięgnąć owocu.

- Automatyczne sterowanie - mruknęła Thalia. - Super.

Podeszła i wskoczyła na grzbiet potwora za Groverem - dla nas trojga było jeszcze mnóstwo miejsca. Zoe

i Bianca podeszły do dzika.

- Chwileczkę - powiedziałem - Czy wy dwie wiecie, o czym wciąż gada Grover... co to jest dzikie błogosławieństwo?

- Oczywiście - odrzekła Zoe. - Nie czułeś tego w powietrzu? Było tak mocne... Nie sądziłam, że będzie mi dane znów poczuć tę obecność.

- Jaką obecność?
- Patrzyła na mnie jak na idiotę.
- Władcy Dzikiej Natury, oczywiście. Przez chwilę, kiedy pojawił się dzik, wyczułam obecność Pana.

ROZDZIAŁ XIII

WIZYTA NA BOSKIM ŚMIETNIKU

Jechaliśmy na dziku do zachodu słońca i to było mniej więcej tyle, ile był zdolny wytrzymać mój tyłek. Wyobraźcie sobie całodzienną jazdę na ogromnej metalowej szczotce po bitej drodze. Jazda na dziku jest równie wygodna.

Nie miałem pojęcia dokąd zajechaliśmy, ale góry pozostały daleko w tyle, zastąpione przez niekończącą się suchą równinę. Trawa i krzaki stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie galopowaliśmy (o ile dziki galopują) przez pustynię.

Kiedy zapadła noc, zwierzę zatrzymał się przy korycie rzeki i węszył. Zaczął pić mulistą wodę, po czym wyrwał z ziemi kaktusa olbrzymia i pożarł go razem z kolcami.

- Dalej nie pojedzie - powiedział Grover. - Musimy zsiąść, póki się pożywia.

Nikogo nie trzeba było namawiać. Zsunęliśmy się z jego grzbiety, wykorzystując to, że potwór był wciąż zajęty wyrywaniem kaktusów. Następnie odeszliśmy jak najdalej, masując poobijane siedzenia.

Po trzecim kaktusie i kolejnym łyku mulistej wody dzik

kwiknął i beknął, po czym odwrócił się i pogalopował z powrotem na wschód.

- On woli góry - domyśliłem się.

- Nie dziwię mu się - powiedziała Thalia. - Patrzcie.

Przed nami wiała się dwupasmowa szosa pokryta piaskiem. Za nią stała grupka budynków zbyt mała, żeby być miastem: zabity deskami dom, meksykański bar, który wyglądał na nieczynny od czasów, kiedy urodziła się Zoe Nightshade, oraz otynkowana na biało poczta z szyldem GILA CLAW, ARIZONA zwieszającym się krzywo nad drzwiami. Dalej ciągnęły się pagórki... Ale to nie były zwyczajne wzgórza. Ta kraina była na to zbyt płaska.

Wzniesieniami okazały się ogromne sterty starych samochodów, sprzętu domowego i innego złomu. To było złomowisko, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność.

- Rany - powiedziałem.

- Coś mi mówi, że nie ma tu wypożyczalni samochodów - oznajmiła Thalia, spoglądając na Grovera. - Nie sądzę, żebyś miał kolejnego dzika w rękawie?

Grover wachał wiatr i wyglądał na podenerwowanego.

Wyciągnął żołędzie, rzucił je na piasek i zagrał coś na piszczałkach. Żołędzie ułożyły się we wzór, który jak dla mnie nie miał sensu, ale na twarzy Grovera pojawił się niepokój.

- To my - powiedział. - Te pięć orzeszków.

- Który jest mną? - zapytałem.

- Ten mały i bezkształtny - zaproponowała Zoe.

- Spadaj.

- A ta grupka o tu - dodał Grover, wskazując na lewo - oznacza kłopoty.

- Potwór? - spytała Thalia.

Grover miał niepewną minę.

- Niczego nie wyczuwam, a to nie ma sensu. Ale żołędzie nie

kłamią. Nasze kolejne wyzwanie...

Wskazał dokładnie w kierunku złomowiska. W zachodzącym słońcu hałdy metalu wyglądały jak obca plane-ta.

Postanowiliśmy rozbić obóz na noc i rano przeszukać złomowisko. Żadne z nas nie miało ochoty przeszukiwać skarbów na śmietniku w środku nocy.

Zoe i Bianca wyciągnęły ze swoich plecaków pięć śpiworów i pięć karimat. Nie mam pojęcia, jak to zrobi-ły, ponieważ plecaczki były maleńkie - najwyraźniej było na nich zaklęcie pozwalające na noszenie takiej ilości sprzętu. Zauważyłem, że również ich łuki i kołczany były magiczne. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, ale kiedy Łowczynie ich potrzebowały, broń po prostu poja-wiała się na ich plecach. A jak już nie były potrzebne, znikwały.

Noc szybko się oziębiała, więc Grover i ja zebraliśmy stare deski z rozwalonego domu, a Thalia zapaliła je elektrycznym impulsem. W ten sposób mieliśmy ogni-sko. Wkrótce było nam tak wygodnie, jak to tylko możli-we w zrujowanym, opuszczonym miasteczku w samym środku głuszy.

- Widac gwiazdy - powiedziała Zoe.

Miała rację. Były ich miliony i żadne światła miast nie zmieniały koloru nieba na pomarańczowy.

- Niesamowite - powiedziała Bianca. - Nigdy tak na-prawdę nie widziałam Drogi Mlecznej.

- To jeszcze nic - odparła Zoe. - W dawnych czasach było ich więcej. Całe gwiazdozbiory znikły z powodu za-nieczyszczeń przyniesionych przez ludzi.

- Mówisz tak, jakbyś nie była człowiekiem - odparłem.

Zoe uniosła brwi.

- Jestem Łowczynią. Nieobojętny jest mi los dzikich miejsc na świecie. Możesz to samo powiedzieć o tobie?

- O sobie - poprawiła ją Thalia.

- Przecież mówię do niego, nie do siebie.

- Nie szkodzi - odpowiedziała Thalia. - Zawsze mówisz: sobie. Poirytowana Zoe wyrzuciła ręce w górę.

- Nienawidzę tego języka. On nie ma sensu!

Grover westchnął. Spoglądał wciąż na gwiazdy, jakby rozmyślał o zanieczyszczeniu.

- Gdyby tylko Pan wrócił, wszystko byłoby w porządku.

Zoe pokiwała ponuro głową.

- Może to kwestia kawy - mówił dalej. - Piłem ją i wtedy zawiął ten wiatr. Może gdybym pił więcej kawy...

Byłem przekonany, że kawa nie wywołała tego, co wydarzyło się w Cloudfcroft, ale nie miałem serca go rozczarować.

Pomyślałem o gumowym szczurze i maleńkich ptaszkach, które nagle ożyły, kiedy powiał ten wiatr.

- Grover, naprawdę myślisz, że to był Pan? Bo wiem, że bardzo chciałbyś, żeby tak było.

- To on przesłał nam pomoc - upierał się satyr. - Nie wiem jak ani dlaczego. Ale to była jego obecność. Kiedy zakończymy tę misję, wracam do Nowego Meksyku i piję mnóstwo kawy. To najlepszy trop, jaki mieliśmy od dwóch tysięcy lat. Byłem tak blisko.

Nie odpowiedziałem. Nie chciałem rujnować jego nadziei.

- Chciałabym wiedzieć - odezwała się Thalia, patrząc na Biankę - jak zniszczyłaś tego zombiaka. Ich jest więcej. Musimy wymyślić jak z nimi walczyć.

Bianca potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Po prostu uderzyłam go i zajął się ogniem.

- Może ten twój szkielet jest jakiś specjalny? - podrzuciłem.

- Jest taki sam jak mój - odparła Zoe. - Niebiański spiż, to prawda, ale mój nie szkodził tym wojownikom.

- Może trzeba trafić szkielet w jakieś konkretne miejsce? - podsunąłem pomysł.

Bianca najwyraźniej czuła się nieswojo, będąc ośrodkiem uwagi.

- Nie przejmuj się - powiedział do niej Zoe. - Znajdźmy odpowiedź. Na razie trzeba zaplanować kolejne ruchy. Kiedy wydobędziemy się z tego złomowiska, musimy ruszyć na zachód. Jak znajdziemy szosę, może-my dojechać autostopem do najbliższego miasta. To pewnie będzie Las Vegas.

Chciałem już protestować, że Grover i ja mamy fatalne doświadczenia z tym miastem, ale Bianca mnie ubiegła.

- Nie! - krzyknęła. - Tylko nie tam!

Miała przerażoną minę, jakby właśnie znalazła się w wagoniku wyjątkowo wysokiej kolejki górskiej. Zoe zmarszczyła czoło.

- Dlaczego?

Bianca zadrżała.

- My... My chyba przez jakiś czas tam mieszkaliśmy. Nico i ja. W czasie naszej podróży. A potem... Nie pamiętam...

Nagle przyszło mi do głowy coś naprawdę nieprzyjemnego. Przypomniało mi się, co Bianca mówiła o tym, że razem z Nico mieszkali przez pewien czas w hotelu. Poszukałem wzroku Grovera i odniosłem wrażenie, że myśli o tym samym.

- Bianca - powiedziałem. - Ten hotel w którym mieszkaliście. Czy on przypadkiem nie nazywał się Lotos i nie było w nim też kasyna?

Otworzyła szeroko oczy.

- Skąd wiesz?

- No to super - powiedziałem.

- Czekaj - wtrąciła się Thalia. - Co to jest kasyno Lotos?

- Dwa lata temu - wyjaśniłem - Grover, Annabeth i ja utknęliśmy tam. To jest tak zaplanowane, żebyś nigdy nie chciała stamtąd wyjść. Myśmy się tam zatrzymali na około godzinę. Ale kiedy wyszliśmy, minęło pięć dni. Czas tam przyspiesza.

- Nie - powiedziała Bianca. - Nie, to jest niemożliwe.

- Powiedziałaś, że ktoś przyszedł i zabrał was stamtąd - przypomniałem sobie.

- Owszem.

- Jak on wyglądał? Co powiedział?

- Nie... Nie pamiętam. Proszę, ja naprawdę nie mam ochoty o tym rozmawiać.

Zoe usiadła wyprostowana, na jej czole malowało się zamyślenie.

- Mówiłaś, że Waszyngton się zmienił, kiedy tam przyjechałaś w zeszłym roku. Nie pamiętałaś, że było tam metro.

- Tak, ale...

- Bianca - powiedziała Zoe. - Kto jest obecnie prezydentem Stanów Zjednoczonych?

- Nie wygłupiaj się - odparła dziewczyna i podała właściwą odpowiedź.

- A kto był prezydentem przed nim? - dopytywała się Zoe.

Bianca pomyślała przez chwilę.

- Roosevelt.

Zoe przełknęła ślinę.

- Theodore czy Franklin?

- Franklin - odpowiedziała Bianca. - "Nowy Ład"...

- Nowy ładny prezydent? - zapytałem. Serio, tylko to mi się kojarzyło.

- Bianca - powiedziała Zoe. - Franklin Delano nie był poprzednim prezydentem. To było grubo ponad pół wieku temu.

- To niemożliwe - odparła Bianca. - Ja... Ja nie jestem taka stara.

Spojrzała na swoje ręce, jakby chciała się upewnić, że nie są pomarszczone.

Thalia posmutniała. Podejrzewam, że wiedziała dosko-nale, jak to jest być wyrwanym z normalnego biegu czasu.

- Wszystko w porządku Bianca. Ważne, że ty i Nico jesteście bezpieczni. Wydostaliście się.

- Ale jak? - spytałem. - Myśmy tam byli raptem godzinę i ledwie udało nam się zwiać. Jak można uciec po tak długim czasie?

- Mówiłam wam przecież. - Bianca wyglądała tak, jak-by miała się rozplakać. - Przyszedł jakiś człowiek i po-wiedział, że czas wyjeżdżać. I...

- Ale kto to był? I dlaczego to zrobił?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, oślepiły nas jaskrawe światła, które rozbłysły na drodze. Zupełnie znikąd po-jawiły się reflektory samochodu. Miałem cień nadziei, że to znów Apollo postanowił wziąć nas na przejażdżkę, ale silnik chodził zdecydowanie zbyt cicho jak na rydwan słoneczny, a poza tym był środek nocy. Złapaliśmy nasze śpiwory i uskoczyliśmy z drogi białej jak trup limuzynie, która zatrzymała się tuż obok.

Tylne drzwiczki limuzyny otworzyły się tuż przed moim nosem. Zanim zdążyłem zrobić krok do tyłu, poczułem ostrze miecze na gardle.

Usłyszałem, że Zoe i Bianca napinają łuki. Kiedy właś-ciciel miecza wysiadł z limuzyny, zacząłem się bardzo powoli cofać.

Musiałem, ponieważ ostrze napierało na mój podbródek.

Mężczyzna uśmiechnął się złowrogo.

- Nie jesteś teraz taki szybki, co, leszczu?

Był to potężnie zbudowany facet, ostrzyżony na rekruta, w kurtce z czarnej skóry, czarnych dżinsach, w białym podkoszulku i glanach. Jego oczy zasłaniały ciemne okulary, ale ja wiedziałem, co czai się za tymi szklami: puste oczodoły wypełnione ogniem.

- Ares - warknąłem.

Bóg wojny rozejrzał się po naszej gromadce.

- Bez nerwów ludkowie.

Pstryknął palcami i cała broń upadła na ziemię.

- To przyjacielskie spotkanie. - Wbił ostrze noża nieco głębiej w mój podbródek. - Oczywiście chętnie zabrał-bym twoją głowę jako trofeum, ale jest ktoś, kto chce się z tobą widzieć. A ja nigdy nie ścinam głów moich nie-przyjaciół na oczach dam.

- Jakich dam? - zapytała Thalia.

Ares obrzucił ją spojrzeniem.

- No, no. Słyszałem, że wróciłaś.

Opuścił miecz i popchnął mnie w tył.

- Thalia, córeczka Zeusa - powiedział w zamyśleniu. - Nie obracasz się w najlepszym towarzystwie.

- Czego chcesz, Aresie? - zapytała w odpowiedzi. - Kto jest w tym samochodzie?

Ares uśmiechnął się zadowolony z okazywanego mu zainteresowania.

- Och, wątpię, czy ona chce się spotkać z całą waszą grupą. A zwłaszcza z nimi. - Wskazał głową Zoe i Biankę. - Najlepiej idźcie coś zjeść. Percy'emu to spotkanie zajmie najwyżej kilka minut.

- Nie zostawimy go samego w twojej kompanii, Panie Aresie -

oznajmiła Zoe.

- A poza tym - wydusił z siebie Grover. - Bar jest zam-knięty.

Ares ponownie pstryknął palcami. W meksykańskiej knajpie nagle rozbłysły światła. Deski opadły z drzwi, a napis ZAMKNIĘTE zmienił się w OTWARTE.

- Mówiłeś coś, kozłonogu?

- Idźcie - powiedziałem do przyjaciół. - Poradzę sobie.

Starłem się okazać więcej pewności siebie, niż jej miałem.

Nie sądzę jednak, bym oszukał Aresa.

- Słyszeliście go - powiedział bóg wojny. - Jest wielki i silny.

Ma wszystko pod kontrolą.

Moi kumple niechętnie ruszyli w stronę meksykańskie-go baru. Ares przyglądał mi się z nienawiścią, w końcu otworzył drzwiczki limuzyny jak szofer.

- Wsiadaj, leszczu - powiedział. - I zachowuj się. Ona nie przebacza złych manier równie łatwo jak ja.

Kiedy ją zobaczyłem, szczękami opadła.

Zapomniałem, jak się nazywam. Zapomniałem, gdzie jestem. Zapomniałem, jak mówić pełnymi zdaniami.

Miała na sobie suknię z czerwonej satyny, a jej włosy opadały na ramiona kaskadą loków. Miała najpiękniej-szą twarz jaką kiedykolwiek widziałem: idealny maki-jaż, cudowne oczy, uśmiech zdolny rozjaśnić ciemną stronę księżyca.

Jak o tym myślę, nie jestem w stanie powiedzieć, do kogo była podobna.

Nie wiem, jaki kolor miały jej włosy i oczy. Wyobraźcie sobie najpiękniejszą aktorkę, jaką znacie. Bogini była od niej sto razy piękniejsza. Pomyślcie, jaki jest was ulu-biony kolor włosów i oczu, i tak dalej. Bogini właśnie tak wyglądała.

Kiedy się do mnie uśmiechnęła, przez moment wyglądała jak Annabeth. A potem jak aktorka telewizyjna, w której kochałem się w piątej klasie. A potem... Zresztą chyba już załapaliście.

- Och, jesteś, Percy - odezwała się bogini. - Jestem Afrodytą.

Usiadłem koło niej i powiedziałem coś w rodzaju:

- Yyy... a... eee.

Uśmiechnęła się.

- Słodki jesteś. Potrzyмай to, proszę.

Podawała mi polerowane lustro wielkości talerza i ka-zała przytrzymać przed nią. Odchyliła się i poprawiła szminkę, mimo że na moje oko wszystko z nią było w porządku.

- Wiesz, dlaczego się tu znalazłeś? - spytała.

Chciałem odpowiedzieć. Dlaczego nie byłem w stanie wymówić całego zdania? To przecież tylko kobieta. Nie-zwykle piękna kobieta. O oczach jak górskie jeziora... Oj.

Uszczypnąłem się mocno w rękę.

- Nie... Nie wiem - wydusiłem z siebie.

- Och, mój drogi - powiedziała Afrodyta. - Nadal negujemy rzeczywistość?

Zza drzwiczek samochodu dobiegł mnie chichot Aresa.

Miałem wrażenie, że słyszał każde nasze słowo. Byłem zły, że on w ogóle tam jest, co pomogło mi nieco otrzeźwieć.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziałem.

- W takim razie, po co pojechałeś na tę wyprawę?

- Artemida została porwana!

Afrodyta przewróciła oczami.

- Ach, Artemida. Proszę cię. To sprawa beznadziejna. Wiesz, jak już mieli porywać boginię, to powinna być ona niewiarygodnie piękna, nie sądzisz? Współczuję tym biedakom, którzy muszą pilnować Artemidy. Co za nuuda.

- Ale ona ściga potwora - zaprotestowałem. - Naprawdę,

naprawdę złego potwora. Musimy go znaleźć.

Bogini dała mi do zrozumienia, żebym odrobinę podniósł lusterko. Chyba znalazła jakieś mikroskopijne nie-dociągnięcie w kąciuku oka - ponownie musnęła rzęsy tuszem.

- Ciągłe potwory i potwory. Ale, mój drogi Percy, to jest powód, dla którego inni są na tej wyprawie. Mnie bardziej interesujesz ty.

Serce waliło mi jak młotem. Nie miałem ochoty odpowiadać, ale jej oczy wydierały odpowiedź prosto z moich ust.

- Annabeth ma kłopoty.

Afrodyta się rozpromieniła.

- Właśnie!

- Muszę jej pomóc - powiedziałem. - Miałem te sny.

- Och, nawet śnisz o niej! To cudnie!

- Nie! To znaczy... Nie to miałem na myśli.

Afrodyta cmoknęła.

- Percy, ja jestem po twojej stronie. Przecież jesteś tu dzięki mnie.

Wlepiłem w nią wzrok.

- Że co?

- Ten zatruty podkoszulek, który bracia Hood dali Pho-ebe - powiedziała. - Myślałeś, że to przypadek? A kto posłał do ciebie Mrocznego? Kto pomógł ci się wymknąć z obozu?

- To wszystko twoja robota?

- Oczywiście! Te Łowczynie są takie okropnie nudne!

Tropienie jakiegoś potwora, ble, ble, ble. Poszukiwanie Artemidy. A niechże się nie znajdzie, jeśli o mnie chodzi. Ale misja z powodu prawdziwej miłości...

- Zaczekaj, nigdy nie mówiłem...

- Och, mój drogi. Nie musisz nic mówić. Wiesz, że Annabeth była o krok od przyłączenia się do Łowczyń, nieprawdaż?

Zaczerwieniłem się.

- Nie byłem pewny...

- Zamierza zmarnować sobie życie! A ty mój drogi możesz ją przed tym uratować! Jakie to romantyczne!

- Ekhem...

- Och, możesz już odłożyć to lusterko - oznajmiła Afro-dyta. - Teraz wyglądam jak należy.

Nawet nie wiedziałem, że wciąż je trzymam, ale jak tylko je odłożyłem, poczułem, że ścierpły mi ręce.

- Słuchaj, Percy - powiedziała Afrodyta. - Łowczyńie są twoimi wrogami. Zapomnij o nich, o Artemidzie i potwo-rze. To nie jest ważne. Skoncentruj się na odnalezieniu Annabeth.

- Wiesz, gdzie ona jest?

Bogini machnęła ręką, poirytowana.

- Nie, nie. To ty musisz dowiedzieć się szczegółów. Ale od tak dawna nie mieliśmy dobrego, tragicznego romansu.

- No nie, przede wszystkim ja nic nie mówiłem o miłości. A poza tym, co tu ma być tragiczne?

- Miłość wszystko zwycięża - obiecała mi Afrodyta. - Spójrz na Helenę i Parysa. Czy oni pozwolili, żeby cokolwiek stało między nimi?

- Czy nie rozpętali przypadkiem wojny trojańskiej, w której zginęło mnóstwo ludzi?

- Och. Nie o to chodzi. Idź za głosem serca.

- Ale... Kiedy ja nie wiem, dokąd prowadzi. To znaczy moje serce.

Uśmiechnęła się współczująco. Naprawdę była bardzo piękna. I nie tylko dlatego, że miała ładną buzię, czy coś takiego.

Wierzyła w miłość tak mocno, że nie sposób było nie czuć oszołomienia, kiedy o niej mówiła.

- Niewiedza to połowa zabawy - oznajmiła. - Rozkoszne

cierpienie, nieprawdaż? Niepewność, kogo się kocha i przez kogo jest się kochanym. Och, dzieciaki! To takie słodkie, że chyba zaraz się rozpłaczę.

- Nie, nie - zaprotestowałem. - Nie rób tego.

- I nie martw się - dodała. - Nie uczynię tego zadania łatwym i nudnym. Nie, czekają cię cudowne niespodzianki. Udręka. Niezdecydowanie. Zaczekaj tylko.

- Wszystko w porządku - zapewniłem ją. - Nie rób sobie kłopotów.

- Ależ słodziak z ciebie. Chciałabym, żeby wszystkie moje córki łamały serca takim miłym chłopakom jak ty.

W oczach bogini wzbierały łzy.

- Lepiej już idź. I uważaj, gdy znajdziesz się na terenie mojego męża, Percy. Nic nie zabieraj. On jest strasznie czepialski, w kwestii swoich błyskotek i śmieci.

- Że co? - zapytałem. - Masz na myśli Hefajstosa?

Ale w tej chwili otworzyły się drzwiczki samochodu i poczułem na ramieniu uchwyt ręki Aresa, wyciągającej mnie na zewnątrz w pustynną noc.

Moja audiencja u bogini miłości była zakończona.

- Szczęściarz z ciebie, leszczu. - Ares odepchnął mnie od limuzyny. - Powinieneś czuć wdzięczność.

- Za co?

- Za to, że rozmowa była taka miła. Gdyby to ode mnie zależało...

- To czemu mnie nie zabiłeś? - odparowałem. Nie była to najmądrzejsza rzecz, jaką można powiedzieć bogu wojny, ale jego obecność zawsze sprawia, że czuję złość i robię się nieodpowiedzialny.

Ares przytaknął, jakbym wreszcie powiedział coś mądrego.

- Bardzo chętnie bym cię zabił, wierz mi - powiedział. - Ale widzisz, jest problem. Po Olimpie krąży plotka, że możesz wywołać największą wojnę w historii. Nie mogę tego popsuc. A poza tym Afrodyta uważa, że jesteś kimś w rodzaju gwiazdy telenoweli. Jeśli cię zabiję, to nie zyskam w jej oczach. Ale nie martw się. Nie zapomniałem o mojej obietnicy. Pewnego dnia, niedługo, naprawdę niedługo, podniesiesz swój miecz do walki i wtedy popamiętasz gniew Aresa.

Zacisnąłem pięści.

- Po co czekać? Raz już cię pokonałem. Jak tam kostka?

Uśmiechnął się krzywo.

- Nieźle, leszczu. Ale nie sprowokujesz mnie. Rozpocznę walkę, kiedy będę gotowy. Póki co... spadaj.

Pstryknął palcami i świat zawirował, podnosząc chmurę czerwonego pyłu. Upadłem na ziemię.

Kiedy się znowu podniosłem, limuzyny już nie było. Droga, bar meksykański i całe miasteczko Gila Claw znikło. Moi przyjaciele i ja staliśmy w samym środku złomowiska. Wokół nas we wszystkich kierunkach rozciągały się góry rdzewiejącego żelastwa.

- Czego ona chciała od ciebie? - spytała Bianca, kiedy już opowiedziałem im o Afrodycie.

- W sumie nie jestem pewny - skłamałem. - Powiedziała, abyśmy byli ostrożni na złomowisku jej męża. Żebyśmy nic nie zabrali.

Zoe zmrużyła oczy.

- Bogini miłości nie facygowałyby się po to tylko, żeby powiedzieć ci o tym. Uważaj, Percy. Ona zwiodła wielu

herosów.

- Wyjątkowo muszę się z tobą zgodzić - powiedziała Thalia. - Nie możesz ufać Afrodycie.

Grover przyglądał mi się dziwnie. Jego niezwykła empatia pozwalała mu odczytać moje emocje, miałem więc wrażenie, że doskonale wiedział, o czym rozmawiała ze mną bogini.

- Okej - powiedziałem, rozpaczliwie pragnąc zmienić temat. - Jak się stąd wydostaniemy?

- Tędy - wskazała Zoe. - Tam jest zachód.

- Skąd wiesz?

Byłem zaskoczony, że w świetle księżyca zobaczyłem bardzo dokładnie, jak przewraca oczami.

- Mała niedźwiedzica jest na północy - wyjaśniła - czyli zachód jest tam.

Wskazała na zachód, następnie na północy gwiazdo-zbiór, który ciężko było wypatrzyć, gdyż tak dużo było innych gwiazd.

- No tak - powiedziałem. - Te niedźwiedzie.

Zoe wyglądała na urażoną.

- Miej nieco szacunku. To był wspaniały niedźwiedź.

- Mówisz, jakby żył naprawdę.

- Ludzie - wtrącił się Grover. - Patrzcie!

Dotarliśmy na grań góry złomu. W świetle księżyca jaśniały metalowe przedmioty, urwane głowy spizowych koni, nogi posągów z brązu, zgniecione rydwany, tony tarcz, mieczy i innej broni, a obok tego nowoczesne przedmioty: samochody lśniące złotem i srebrem, lodówki, pralki i monitory komputerowe.

- Rany... - powiedziała Bianca. - Te rzeczy... Niektóre wyglądają jakby były ze złota.

- Bo są - oznajmiła Thalia ponuro. - Jak powiedział Percy, nie dotykamy niczego. To jest złomowisko bogów.

- To ma być złom? - Grover podniósł piękny diadem ze złota, srebra i drogich kamieni. Z jednej strony był pęknięty, jakby ktoś uderzył go toporem. - Nazywasz to zło-mem?

Odgryzł kawałek i zaczął przeżuwać.

- Pyszne!

Thalia wytrąciła mu diadem z rąk.

- Mówię poważnie!

- Patrzcie! - zawołała Bianca. Pobiegła w dół hałdy, potykając się na spiżowych zwojach i złotych blachach. Uniosła łuk który lśnił w świetle księżyca. - Łuk Łowczyni! - Pisnęła zaskoczona, kiedy łuk zaczął się kurczyć i zmienić się w spinkę do włosów w kształcie sierpa księżyca. - Zupełnie jak miecz Percy'ego!

Zoe miała poważną minę.

- Zostaw to Bianco.

- Ale...

- Nie znalazł się tu bez powodu. Wszystko, co zostało wyrzucone na złomowisko, powinno tu pozostać. Jest zepsute. Albo przekłete.

Bianca niechętnie odłożyła spinkę.

- Nie podoba mi się to miejsce - oznajmiła Thalia, zaciskając palce na drzewcu włóczni.

- Myślisz, że grozi nam atak morderczych lodówek? - zapytałem.

Spojrzała na mnie z pogardą.

- Zoe ma rację, Percy. Tu nie wyrzuca się niczego bez powodu. Chodźmy, wydostaniemy się wreszcie z tego miejsca.

- Już po raz drugi zgadzasz się z Zoe - mruknąłem, ale Thalia zignorowała tę uwagę.

Zaczęliśmy przedzierać się przez pagórki i wąwozy wśród metalowych gruchotów. Złomowisko zdawało się ciągnąć w nieskończoność i gdyby nie Mała Niedźwiedzi-ca, z pewnością

byśmy się zgubili. Wszystkie te hałdy wyglądało w zasadzie tak samo.

Chciałbym móc powiedzieć, że nie ruszaliśmy niczego, ale było tam zbyt wiele fajnych rzeczy, żeby nie zerknąć na jedną czy dwie. Znalazłem na przykład elektryczną gitarę w kształcie liry Apollina, która była tak cudna, że musiałem ją podnieść choć na chwilę. Grover odkrył połamane drzewo z metalu. Zostało porąbane na kawałki, ale na niektórych gałęziach wciąż siedziały złote ptaki, które zaczęły fruwać, kiedy Grover wziął je do ręki i poruszył i poruszył ich skrzydłami.

W końcu dostrześliśmy skraj złomowiska około pół kilometra przed nami, a dalej widac było światła auto-strady biegnącej przez pustynię. A między nami a szosą...

- Co to jest? - krzyknęła Bianca.

Przed nami wznosiła się hałda znacznie większa i dłuższa niż pozostałe. Jakby betonowy płaskowyż o wymiarach boiska do piłki nożnej i równie wysoki jak bramki. Na samym końcu widniał rząd dziesięciu krępych metalowych kolumn ustawionych blisko siebie.

Bianca zmarszczyła brwi.

- Wygląda jak...

- Palce stóp - odpowiedział Grover.

Potaknęła.

- Owszem, ogromne paluchy.

Zoe i Thalia wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

- Obejdźmy to - powiedziała Thalia - jak najszerszym łukiem.

- Droga wiedzie dokładnie tędy - zaprotestowałem. - Szybciej będzie wspiąć się na tę wyżynę.

Brzęk.

Thalia potrząsnęła włócznią, a Zoe napięła łuk, ale okazało się, że to tylko Grover. Rzucił kawałkiem metalu w te palce i trafił,

a uderzenie odbiło się głuchym echem, jakby kolumny były wydrążone.

- Czmuś to zrobił? - zapytała Zoe ze złością.

Grover się skulił.

- Nie wiem. Może dlatego, że nie lubię sztucznych stóp?

- Chodźmy. - Thalia spojrzała na mnie. - Dookoła.

Nie klóciłem się. Te palce zaczęły działać przerażająco również na i mnie. No wiecie, kto rzeźbi trzymetrowe metalowe palce i wyrzuca je na złom?

Po kilkunastu minutach marszu znaleźliśmy się wreszcie na autostradzie, a konkretnie na pustym, ale dobrze oświetlonym pasie czarnego asfaltu.

- Udało się - powiedziała Zoe. - Bogom niech będą dzięki.

Najwyraźniej bogowie nie chcieli naszych podziękowań. W tej właśnie chwili usłyszałem odgłos, jakby tysiąc zgniatarek zaczęło przeżuwać metal.

Obróciłem się szybko. Za nami żelazna góra drżała, powstając. Dziesięć kolumn przechyliło się i nagle uświadomiłem sobie, dlaczego wyglądały jak palce. To były palce. To coś, co podniosło się ze sterty metalu, okazało się spiżowym olbrzymem w pełnej greckiej zbroi. Był on niewiarygodnie wysoki - wieżowiec z rękami i nogami. Lśnił złowrogo w świetle księżyca. Przechylił ku nam zdeformowaną twarz, której lewa strona częściowo się stopiła. Stawy trzeszczały od rdzy, a w poprzek na-pierśnika biegł napis BRUDAS wytarty w grubej warstwie kurzu.

- Talos! - jęknęła Zoe.

- Kto... Kto to jest Talos? - wyjąkałem.

- Jeden z potworów Hefajstosa - odpowiedziała Thalia. - Ale to nie może być ten właściwy. Jest za mały. To pewnie prototyp.

Nieudany model.

Metalowemu olbrzymowi najwyraźniej nie spodobało się słowo *nieudany*.

Sięgnął ręką do pasa i dobył miecza. Dźwięk jaki wydało ostrze wydostające się z pochwy, był straszliwy; zgrzyt metalu o metal. Głownia miała jak nic trzydzieści metrów długości. Wyglądała na zardzewiałą i tępą, ale to zapewne nie miałyby znaczenia. Uderzenie tą bronią byłoby jak oberwanie krążownikiem.

- Ktoś z nas coś zabrał - oznajmiła Zoe. - Kto to był?

Oczy wszystkich zwróciły się oskarżycielsko na mnie.

Pokręciłem głową.

- Można różnie mnie nazwać, ale nie złodziejem.

Bianca nic nie mówiła. Mógłbym przysiąc, że miała poczucie winy wymalowane na twarzy, ale nie było czasu, żeby to drażnić, ponieważ olbrzym Talos Nieudany uczynił krok w naszym kierunku, przemierzając tym samym połowę dzielącej nas odległości i wstrząsając ziemią.

- Biegiem! - wrzasnął Grover.

Świetna rada, tyle że bezużyteczna. To coś było w stanie nas przegonic bez trudu nawet spacerkiem.

Rozdzieliliśmy się, jak wtedy przy lwie nemejskim. Thalia rozłożyła tarczę i trzymała ją w górze, pędząc autostradą. Olbrzym zamachnął się mieczem i przeciął linię wysokiego napięcia, której kable eksplodowały iskrami i upadły pod nogi Thalii.

Strzały Zoe świstały, uderzając w twarz potwora, ale odbiły się od metalu, nie czyniąc żadnej szkody. Grover zabeczał jak młode koźle i zaczął wspinać się na górę że-lastwa.

Bianca i ja schowaliśmy się pod roztrzaskanym rydwaniem.

- To ty coś zabrałaś - powiedziałem. - Ten łuk.

- Nie! - zaprotestowała, ale głos jej zadrzał.
- Oddaj to! - rozkazałem. - Wyrzuć!
- Nie... Nie wzięłam łuku. A poza tym i tak już za późno.
- Co zabrałaś?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszałem głośny zgrzyt, a niebo przesłonił cień.

- Uciekajmy! - Pognałem w dół hałdy, a Bianca biegła za mną, olbrzymia stopa zaś wyryła krater w miejscu, gdzie przed chwilą się chowaliśmy.

- Ej, Talos! - wrzasnął Grover, ale potwór uniósł miecz, spoglądając z góry na Biankę i na mnie.

Grover zagrał szybką melodię na piszczałkach. Przerwane kable wysokiego napięcia na autostradzie poderwały się do tańca. Zrozumiałem, co Grover zamierza zrobić, ułamek sekundy przed tym, jak się to zdarzyło. Jeden ze słupów linii wysokiego napięcia, do którego wciąż przyłączone były kable, poszybował ku Talosowi i owinał się wokół jego łydki. Kable zaiskrzyły, a po plecach olbrzymia przebiegł impuls elektryczny.

Potwór obrócił się, trzeszcząc i sypiąc iskrami. Dzięki Groverowi zyskaliśmy kilka sekund.

- Chodź - krzyknąłem do Bianki.

Ale ona stała nieruchomo. Wyciągnęła z kieszeni małą metalową figurkę, posążek jakiegoś bóstwa.

- To... To miało być dla Nica. To jest ta jedyna figurka, której jeszcze nie ma.

- Jak możesz myśleć o Magii i Micie w takiej sytuacji? - zapytałem.

Miała łzy w oczach.

- Wyrzuć - powiedziałem. - Może olbrzym da nam spokój.

Talos nacierał na Grovera. Wbił miecz w hałdę złomu, omal go nie trafiając, ale pordzewiałe kawałki metalu runęły na niego

lawiną i tyle go widzieliśmy.

- Nie! - krzyknęła Thalia.

Uniosła włócznię. Wystrzelił z niej błękitny łuk błyskawicy, uderzając potwora w przerdzewiałe kolano, które załamało się pod nim. Olbrzym przewrócił się. ale na-tychmiast zaczął się podnosić. Trudno powiedzieć, czy w ogóle cokolwiek poczuł. Jego na wpół stopiona twarz nie ujawniała żadnych emocji, ale miałem wrażenie, że jest tak rozwścieczony, jak tylko może być dwudziestopięcioletni wojownik z żelaza.

Uniósł jedną stopę, żeby zrobić krok, a ja zobaczyłem, że jego podeszwę pokrywają wzory zupełnie jak na trampkach. W pięcie miał dziurę przypominającą ogromny właz, a wokół niej były wymalowane słowa które odcyfrowałem dopiero kiedy stopa zaczęła się obniżać: OBSŁUGA TECHNICZNA.

- Czas na szalone pomysły - powiedziałem.

Bianca spojrzała na mnie nerwowo.

- Cokolwiek byleby zadziałało.

Powiedziałem jej o włazie technicznym.

- Może tym czymś da się jakoś kierować. Jakieś przy-ciski czy dźwignie. Wchodzę do środka.

- Jak? Musiałbyś stanąć dokładnie pod jego stopą! Zgniótłby cię!

- Odwróc jego uwagę - powiedziałem. - Musimy tylko dokładnie zgrać się w czasie.

Bianca zacisnęła usta.

- Nie. Ja pójdę.

- Nie możesz. Jesteś nowa! Zginiesz.

- To moja wina, że potwór się przebudził - odparła. - I moja odpowiedzialność. Masz. - Podniosła statuetkę bóstwa i wcisnęła mi ją do ręki. - Gdyby coś się stało, daj to mojemu bratu. Opowiedz mu... Powiedz mu, że bardzo go przepraszam.

- Bianca, nie!

Ale ona nie czekała. Pobiegnęła ku lewej stopie olbrzyma.

Talos był w tej chwili skupiony na Thalii, która przeko-
nała się, że jest on wielki, ale powolny. Jeśli pozostawa-
ło się blisko i zdołało uniknąć zgniecenia, można było biegać wokół niego i
przeżyć. Przynajmniej na razie ta metoda działała.

Bianca była już obok stopy olbrzyma, usiłując utrzy-
mac równowagę na stercie złomu, która chwiała się i kołysała pod
jego ciężarem.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła Zoe.

- Zróbcie coś, żeby podniósł stopę! - odkrzyknęła Bianca.

Zoe wystrzeliła potworowi w twarz, trafiając prosto w jedno z
nozdrzy. Olbrzym wyprostował się i potrząsnął głową.

- Hej! Złomku! - wrzasnąłem. - Tutaj!

Podbiegłem do palucha i wbiłem Orkana. Magiczne ostrze
przebieło spiz.

Mój plan zadziałał. Niestety. Talos spojrzał w dół ku mnie i
podniósł stopę, żeby zgnieć mnie jak pluskwę. Nie widziałem,
co robi Bianca. Musiałem odwrócić się i zwiewać. Stopa opadła
w dół jakieś dziesięć centymet-rów za mną, wyrzucając mnie w
powietrze. Uderzyłem w coś mocno i usiadłem zamroczony.
Wylądowałem na lodówce firmy Śniegi Olimpu.

Potwór już miał mnie wykończyć, kiedy Groverowi udało się
jakoś wygrzebać z hałdy złomu. Grał szaleńczo na piszczałkach
i jego muzyka posłała kolejny słup wy-sokiego napięcia ku
udom Talosa. Potwór się obrócił. Grover powinien uciekać, ale
najwyraźniej był zbyt wy-czerpany wysiłkiem, jaki wkładał w
całą tę magię. Zrobił dwa ktoki, upadł i nie podniósł się więcej.

- Grover! - oboje z Thalią pognaliśmy ku niemu, ale
wiedziałem, że nie zdążymy.

Potwór zamachnął się na niego mieczem. Po czym zamarł. Przechylił głowę na bok jak ktoś, kto usłyszał nową muzykę. Zaczął poruszać rękami i nogami w dziwaczny sposób, jakby tańczył kaczuchy. Następnie zacisnął dłoń w pięść i przywalił sobie samemu w twarz.

- Dalej, Bianca! - krzyknąłem.

Zoe posłała mi przerażone spojrzenie.

- Ona jest w środku?

Potwór zataczał się, ale nadal byliśmy w niebezpieczeństwie. Wspólnie z Thalią chwyciliśmy Grovera i pobiegliśmy ku autostradzie. Zoe wyprzedziła nas, krzycząc.

- Jak Bianca ma się wydostać?

Olbrzym ponownie pacnął się w głowę, a potem upuścił miecz. Przez jego ciało przebiegł dreszcz i Talos zatoczył się na linię wysokiego napięcia.

- Uwważaj! - krzyknąłem, ale było już za późno.

Kostka potwora zawadziła o kable i po jego ciele przebiegły błękitne iskierki elektryczności. Miałem nadzieję, że jest izolowany. Nie miałem pojęcia, co się dzieje w jego wnętrzu. Olbrzym zawrócił na złomowisko, ale jego prawa ręka odpadła, lądując na hałdzie z okropnym TRZASK!

Potem oderwała się również lewa ręka. Talos rozpadał się w stawach.

Zaczął biec.

- Zaczekaj! - krzyknęła Zoe. Pobiegliśmy za nim, ale nie byliśmy w stanie dotrzymać mu kroku. Kawałki maszyny sypały się na wszystkie strony, blokując nam drogę.

Olbrzym rozpadł się od góry do dołu: kolejno runęły na ziemię głowa, tors i wreszcie nogi. Kiedy dobiegliśmy do wraku rozpoczęliśmy szalone poszukiwania, wołając Biankę po imieniu. Szukaliśmy, dopóki nie wzeszło słońce, ale bez

rezultatu.

Zoe usiadła na ziemi, płacząc. Zdumiał mnie ten widok.

Thalia wrzeszczała z wściekłości i wbiła swój miecz w roztrzaskaną twarz olbrzyma.

- Możemy dalej szukać - powiedziałem. - Teraz jest jasno. Znajdziemy ją.

- Nie, nie znajdziemy - odparł żałośnie Grover. - Wszystko poszło zgodnie z planem.

- O czym ty mówisz?

Spojrzał na mnie wielkimi, zapłakanymi oczami.

- Przepowiednia. *Jedno zaginie w bezdeszczowej głuszy.*

Jakim cudem nie przyszło mi to do głowy? Czemu poz-woliłem jej iść, zamiast pójść samemu? Oto znajdowaliśmy się na pustyni. I Bianca di Angelo zaginęła.

ROZDZIAŁ XIV

ZAPORA NA NASZEJ DRODZE

Na samym skraju złomowiska znaleźliśmy ciężarówkę holowniczą tak starą, że równie dobrze mogłaby tu leżeć wyrzucona. Ale silnik zapalił, a w baku było pełno benzyny, więc postanowiliśmy ją wypożyczyć. Tym razem prowadziła Thalia. Nie była aż tak oszołomiona jak Zoe, Grover i ja.

- Szkielety wciąż nas szukają- przypomniała nam. - Musimy się spieszyć.

Jechaliśmy przez pustynię pod czystym błękitnym niebem,

wśród piasków tak jasnych, aż bolały oczy. Zoe zajęła miejsce z przodu obok Thalii, a ja i Grover się- dzieliśmy w naczepie, opierając się o wyciągarkę. Powie-trze było chłodne i suche, ale ta piękna pogoda wydawa-ła się nie na miejscu, po tym jak straciliśmy Biankę.

Zacisnąłem rękę na maleńkim posążku, który kosztował ją życie. Nie byłem nawet w stanie stwierdzić, co to było za bóstwo. Nico będzie wiedział.

Bogowie... Co ja mu powiem?

Chciałem wierzyć, że Bianca wciąż jest gdzieś żywa. Miałem jednak paskudne przeczucie, że utraciliśmy ją na dobre.

- To powinienem być ja - powiedziałem. - To ja powinie-nem wejść do tego olbrzyma.

- Nie mów tak! - krzyknął przestraszony Grover. - Nie dość, że Annabeth zaginęła, to teraz jeszcze Bianca. Myślisz, że zniósłbym... - pociągnął nosem. - Myślisz, że znalazłbym kolejnego najlepszego kumpla?

- Och, Grover.

Przetarł oczy brudną od oleju szmatą, która zostawiła ciemne smugi na jego twarzy, co wyglądało nieco jak barwy wojenne.

- Wszys... Wszystko w porządku.

Wcale nie sprawiał takiego wrażenia. Od Nowego Meksyku -cokolwiek się zdarzyło, kiedy zawiął ten dziki wiatr - Grover był roztrzęsiony, reagował na otoczenie jeszcze bardziej emocjonalnie niż zwykle. Bałem się z nim o tym rozmawiać, żeby się nie rozryczał.

Posiadanie przyjaciela, który wariuje bardziej niż ty, ma także dobrą stronę. Uświadomiłem sobie, że nie stać mnie na depresję. Musiałem odłożyć na bok myśli o Bianca i skupić się na naszej daleszej misji tak samo jak Thalia. Zastanawiałem się, o czym rozmawiają z Zoe na przednim siedzeniu.

Ciężarówce skończyła się benzyna na samym skraju wąwozu, którym płynęła rzeka. W sumie dobrze się stało, bo kończyła się tu również droga.

Thalia wysiadła i trzasnęła drzwiczkami. Natychmiast siadła jedna z opon.

- Super. I co teraz?

Rozejrzałem się po okolicy. Niewiele było tu do oglądania. We wszystkich kierunkach ciągnęła się pustynia, na której tu i ówdzie wyrastały skupiska nagich skał. Kanion był jedynym interesującym miejscem. Rzeka nie była duża, miała niecałe pięćdziesiąt metrów szerokości, zielonkawą wodę i kilka bystrzy, ale wyrzeźbiła na pustyni potężną bliznę. Skalne urwisko zaczynało się u naszych stóp.

- Tam jest ścieżka - powiedział Grover. - Możemy zejść nad rzekę.

Usiłowałem wypatrzyć to miejsce i w końcu zobaczyłem wąziutką ścieżynkę wijącą się po klinie.

- To kozia ścieżka - powiedziałem.

- No to co? - zapytał.

- Nie wszyscy jesteśmy kozami.

- Damy radę - zapewnił mnie Grover. - Chyba.

Zamyśliłem się nad tym. Zdarzało mi się wspinać po stromych ścianach, ale nie przepadałem za tym. Następnie obejrzałem się na Thalię i zobaczyłem, że pobladła. Jej lęk wysokości... Ona sobie tu nie poradzi.

- Nie - powiedziałem. - Myślę, że powinniśmy iść pójść dalej w górę rzeki.

- Ale... - zaczął mój przyjaciel.

Ponownie zerknąłem na Thalię. Jej oczy rzuciły mi krótkie "dziękuję". Przeszliśmy ponad pół kilometra, zanim znaleźliśmy łatwiejsze

zejście nad wodę. Na brzegu znajdowała się wypożyczalnia kajaków, która była zamknięta na zimę, ale położyłem na ladzie kilka złotych drahm i karteczkę, na której napisałem: "Należność za dwa kajaki".

- Musimy popłynąć w górę rzeki - powiedziała Zoe. To były jej pierwsze słowa od złomowiska i zmartwiło mnie, że jej głos brzmiał fatalnie, jakby miała ciężką gripę. - Ale prąd jest tu za szybki.

- Zostaw to mnie - odparłem.

Przenieśliśmy kajaki nad wodę.

Thalia odciągnęła mnie na bok, kiedy wyjmowaliśmy wiosła.

- Dzięki za wsparcie.

- Nie ma sprawy.

- Ty na serio możesz... - wskazała na bystrza - no, wiesz...

- Tak myślę. Zwykle nieźle sobie radzę z wodą.

- Popłyniesz z Zoe? - zapytała. - Myślę, że powinieneś z nią porozmawiać.

- Nie spodoba jej się to.

- Proszę. Nie wiem, czy wytrzymam z nią w jednej łódce.

Ona... Zaczynam się o nią martwić.

Była to ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę, ale się zgodziłem. Thalia się rozluźniła.

- Masz u mnie przysługę.

- Dwie.

- Póltorej - odpowiedziała.

Uśmiechnąłem się i przez moment przypomniałem so-bie, że w sumie ją lubię, kiedy na mnie nie wrzeszczy. Odwróciła się i pomogła Groverowi zepchnąć ich kajak na wodę.

Okazało się, że nie muszę nawet kontrolować prądów. Gdy

tylko znaleźliśmy się na rzece, zobaczyłem przyglądającymi się grupkę najad. Wyglądały jak zwyczajne nastolatki, które można spotkać w każdym centrum handlowym, tyle że siedziały pod wodą.

Hej, powiedziałem.

Odpowiedziały bulgoczącym dźwiękiem, który wziąłem za śmiech. Ale nie byłem pewny. Z najadami trudno mi się rozmawia.

Płyniemy w górę rzeki, powiedziałem im. Myślicie, że mogłybyście...

Zanim zdążyłem dokończyć pytanie, najady zaczęły popychać nasze łódki pod prąd. Ruszyliśmy tak prędko, że Grover wywinął kozła i wierzgał kopytami w powietrzu.

- Nienawidzę najad - mruknęła ponuro Zoe.

Zza kajaka wystrzelił strumień wody i trafił ją prosto w twarz.

- Diablice! - sięgnęła po łuk.

- Daj spokój - powiedziałem. - One się tylko bawią.

- Przeklęte duchy wodne. Nigdy mi nie wybaczą.

- Nie wybaczą czego?

Zarzuciła łuk z powrotem na ramię.

- To było dawno temu. Nieważne.

Środkiem wysokiego kanionu pędziliśmy w górę rzeki.

- To, co się stało z Bianką, to nie twoja wina - powiedziałem jej - tylko moja. To ja jej pozwoliłem tam wleźć.

Uznałem, że w ten sposób dam Zoe okazję do wyrze-szczenia się na mnie. To mogłoby pomóc jej się otrzą-snąć. Ona jednak skuliła się w sobie jeszcze bardziej.

- Nie, Percy. To ja namówiłam ją na tę misję. Bardzo tego chciałam. Ona była potężnej krwi. Poza tym miała dobre serce. Pomyślałam... że mogłaby zostać następ-nym porucznikiem.

- Przecież ty jesteś porucznikiem.

Zacisnęła palce na rzemieniu podtrzymującym kołczan. Wyglądała na bardziej zmęczoną niż kiedykolwiek.

- Nic nie trwa wiecznie, Percy. Przez ponad dwa tysiące lat dowodziłam Łowami i nic od tego nie zmądrzałam. A teraz sama Artemida znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Przecież to nie twoja wina.

- Gdybym się uparła, żeby pójść z nią...

- Myślisz, że byłąbyś w stanie pokonać coś tak potężnego, że zdołało porwać Artemidę? Nic byś nie była w stanie zrobić.

Zoe nie odpowiedziała.

Urwiska nad rzeką stawały się coraz wyższe. Na wodzie kładły się długie cienie, więc zrobiła się znacznie zimniej, mimo że dzień był piękny.

Niewiele myśląc, wydobyłem z kieszeni Orkan. Zoe spojrzała na długopis, a na jej twarzy odmalowało się cierpienie.

- To twoje dzieło - powiedziałem.

- Kto ci powiedział?

- Miałem sen.

Przyglądała mi się uważnie. Byłem pewien, że powie mi, że zwariowałem, ale ona tylko westchnęła.

- To był dar. I błąd.

- Kim był ten heros? - zapytałem.

Zoe potrząsnęła głową.

- Nie każ mi wymawiać jego imienia. Przysięgam, że nigdy więcej nie przejdzie ono przez moje usta.

- Mówisz tak, jakbym miał je znać.

- Ależ znasz je z pewnością, herosie. Czyż wy wszyscy, młodzieńcy, nie chcecie być tacy jak on?

W jej głosie pobrzmiwała taka gorycz, że wolałem się nie dopytywać dalej. Spojrzałem na Orkan i po raz pierwszy zastanowiłem się, czy ten miecz nie jest przeklęty.

- Twoja matka była wodną boginką? - zapytałem.
- Tak, Plej one. Miała pięć córek. Moje siostry i mnie.

Hesperydę.

- To te dziewczyny, co mieszkały w ogrodzie na krańcu Zachodu. Drzewo ze złotymi jabłkami i smok stojący na straży.

- Tak - powiedziała Zoe melancholijnie. - Ladon.

- Czy tych sióstr nie było tylko cztery?

- Teraz tak. Ja zostałam wygnana. Zapomniana. Wy-kreślona, jakbym nie istniała.

- Dlaczego?

Łowczyni wskazała mój długopis.

- Ponieważ zdradziłam moją rodzinę i pomogłam hero-sowi. Nie znajdziesz tego w mitach. On nigdy o mnie nie wspominał. Po tym jak nie powiódł się otwarty atak na Ladona, podsunęłam mu pomysł, jak ukraść jabłka i oszukać mojego ojca, ale to on zebrał wszystkie laury.

- Ale...

Bul, bul. Jedna z najad zabalgotowała coś w moim umyśle. Kajak zwolnił.

Spojrzałem przed siebie i zrozumiałem dlaczego.

Dalej nie mogły nas zabrać. Na rzece piętrzyła się blokada. Tama wielkości stadionu piłkarskiego blokowała nam drogę.

- Zapora Hoovera - odezwała się Thalia. - Ależ ogromna.

Staliśmy na brzegu rzeki, spoglądając na metalową czaszę łączącą dwie ściany wąwozu. Na samej górze dostrzegliśmy przechadzających się ludzi. Z tej ogległości wyglądali jak pchły.

Najady opuściły nas, coś sobie mamrocząc. Nie zrozumiałem słów, ale z tonu można się było łatwo domyślić, że nienawidziły

tej zapory blokującej ich ukochaną rzekę. Nasze kajaki zawróciły z prądem, kręcąc się w wirach wytwarzanych przez jej dopływy.

- Ponad dwieście metrów wysokości - powiedziałem. - Zbudowana w latach trzydziestych ubiegłego wieku.

- Miliardy metrów sześciennych wody - dodała Thalia. Grover westchnął.

- Największe przedsięwzięcie budowlane w Stanach Zjednoczonych.

Zoe wybałuszyła oczy.

- Skąd wy to wszystko wiecie?

- Annabeth - odparłem. - Kochała architekturę.

- Miała bzika na punkcie ważnych budynków - powiedziała Thalia.

- Cały czas zasypywała nas faktami - Grover pociągnął nosem.

- Strasznie nudnymi.

- Chciałbym, żeby tu była - powiedziałem.

Pozostali przytaknęli. Zoe wciąż wpatrywała się w nas dziwnie, ale nie przejmowałem się tym. Wydawało mi się to skrajną ironią losu, że oto staliśmy u stóp Zapory Hoovera, jednej z ulubionych budowli Annabeth, a jej z nami nie było.

- Musimy się tam wspiąć - oznajmiłem. - Dla Anna-beth. Po to, żeby jej powiedzieć, że tam byliśmy.

- Jesteś szalony - uznała Łowczyni. - Ale tam jest droga - wskazała na wielki budynek parkingu, w pobliżu szczytu zapory.

- No to ruszamy na zwiedzanie.

Szliśmy prawie godzinę zanim znaleźliśmy ścieżkę prowadzącą do szosy. Wychodziła ona po wschodniej stronie rzeki. Stamtąd powlekliśmy się z powrotem w kierunku tamy. Na jej szczycie

było zimno i wietrznie. Po jednej stronie rozciągało się wielkie jezioro otoczone nagimi, pustynnymi górami. Po drugiej tama opadała w dół niczym najniebezpieczniejsza rampa dla deskorolek na świecie, kończąc się ponad dwieście metrów niżej w rzece, w kipiącej wodzie z odpływów.

Thalia szła środkiem drogi, z dala od krawędzi. Grover węszył, gdy tylko zawiął wiatr, i wyglądał na podenerwowanego. Nic nie mówił, ale wiedziałem, że wyczuwa potwory.

- Jak blisko są? - zapytałem go.

Potrząsnął głową.

- Może nie bardzo blisko. Wiatr na tej tamie, pustynia wokół nas... Zapach może się nieść z odległości wielu kilometrów. Ale nadchodzi z wielu kierunków i to mi się nie podoba.

Mnie też się nie podobało. Była już środa, zostały tylko dwa dni do zimowego przesilenia, a przed nami wciąż była długa droga. Nie potrzebowaliśmy więcej przeszkód w postaci potworów.

- W centrum turystycznym jest bar - powiedziała Thalia.

- Byłaś tu już kiedyś?

- Raz. Żeby zobaczyć Strażników - wskazała na odległy kraniec tamy. W skalnej ścianie była wykuta niewielka nisza z dwoma spiżowymi posągami. Wyglądały trochę jak skrzydlate siedzące statuetki Oscara.

- Poświęcono je Zeusowi, kiedy została zbudowana zaporą - oznajmiła. - To prezent od Ateny.

Wokół posągów tłoczyli się turyści, wpatrzeni najwyraźniej głównie w ich stopy.

- Co oni robią? - zapytałem.

- Dotykają palców - odparła Thalia. - Uważają, że to przynosi szczęście.

- Dlaczego?

Potrząsnęła głową.

- Śmiertelnicy miewają szalone pomysły. Nie wiedzą, że te posągi są poświęcone Zeusowi, ale czują, że są w jakiś sposób ważne.

- Kiedy tu byłaś poprzednio, one do ciebie przemówiły albo coś w tym rodzaju?

Thalia spochmurniała. Zgadywałem, że przyjechała tu wcześniej z nadzieją na właśnie coś takiego: znak od ojca. Jakiś rodzaj kontaktu.

- Nie. One nic nie robią. To tylko wielkie metalowe posągi.

Pomyślałem o ostatnim wielkim metalowym posągu, z którym mieliśmy do czynienia. Nie skończyło się to naj-lepiej.

Postanowiłem jednak nie podnosić tego tematu.

- Znajdźmy ten bar na zaporze. Widziałam strzałkę do czegoś, co się nazywa "Wielka Tama" - wtrąciła się Zoe. - Powinniśmy coś zjeść, póki możemy.

Grover się zaśmiał.

- Tutaj to pewnie mają zaporowe ceny - powiedział z udaną rozpaczą.

Zoe zamrugwała.

- Nie rozumiem. O co ci chodzi?

- O nic - odparł, usiłując zachować powagę. - Nie miał-bym nic przeciwko frytkom dla zatamowania ślinotoku.

Nawet Thalia się uśmiechnęła.

- A ja z chęcią skorzystam z niezatamowanej łazienki.

Może przez to, że byliśmy tacy zmęczeni, napięci i emocjonalnie wyczerpani, w każdym razie zwinąłem się ze śmiechu, a Thalia i Grover dołączyli do mnie. Tylko Zoe patrzyła na nas jak na wariatów.

- Nic nie rozumiem.

- Ja tam bym się napił wody, ale może nie zaporowej - powiedział Grover.

- A ja... - Thalia ledwie łapała oddech - kupię sobie trochę tandetnych souvenirów.

Wybuchnąłem śmiechem i pewnie śmiałbym się do końca dnia, gdybym nagle nie usłyszał takiego dźwięku:

- Muuu.

Uśmiech znikł z mojej twarzy. Zastanawiałem się, czy ten dźwięk był słyszalny tylko w mojej głowie, kiedy Grover też przestał się śmiać. Rozglądał się dookoła zde-zorientowany.

- Czy słyszycie to co ja? Czy to krowa?!

- Krowa zaporowa? - zaśmiewała się Thalia, nadal ogarnięta głupawką.

- Nie - odpowiedział Grover. - Mówię poważnie.

Zoe nasłuchiwała.

- Nic nie słyszę.

Thalia wpatrywała się we mnie.

- Wszystko w porządku, Percy?

- Taa - powiedziałem. - Idźcie do baru. Zaraz do was dołączę.

- Co się stało? - spytał mój przyjaciel.

- Nic - odrzekłem. - Po prostu... No, potrzebuję chwili spokoju. Chcę pomyśleć.

Wahali się, ale widać uznali, że na serio jestem zdołowany, bo w końcu poszli do centrum turystycznego beze mnie. Kiedy tylko się oddalili, podbiegłem do północnej części tamy i wyrząłem.

- Muuu.

Była jakieś dziesięć metrów niżej, w jeziorze, ale widziałem dokładnie: moja przyjaciółka z zatoki Long Island, wężowa krowa Nessie.

Rozejrzałem się. Po zaporze biegały grupki dzieciaków.

Poza tym było dużo starszych ludzi. Kilka godzin. Nikt z nich jak na razie nie zwracał na nią uwagi.

- Co ty tu robisz? - zapytałem.

- Muuu!

W jej głosie było coś naglącego, jakby chciała mnie ostrzec.

- Jak się tu dostałaś? - pytałem dalej.

Znajdowaliśmy się tysiące kilometrów od Long Island, daleko w głębi lądu. Nie było mowy, żeby aż tu dopły-nęła. A jednak była tutaj.

Nessie zataczała kółka pod wodą i bodła głową o brzeg tamy.

- Muuu!

Chciała, abym do niej dołączył. Dawała do zrozumienia, żebym się pospieszył.

- Nie mogę - odpowiedziałem. - Moi przyjaciele są w środku.

Rzuciła mi spojrzenie swoich smutnych brązowych oczu.

Następnie wydała z siebie jeszcze jedno ponagląją-ce "Muuu!", zrobiła salto pod wodą i znikła.

Wahałem się. co począć. Coś było zdecydowanie nie w porządku, a Nessie usiłowała mi to przekazać. Rozważa-łem skok przez barierkę i popłynięcie za nią, kiedy nagle zamarłem. Poczułem gęsią skórkę na ramionach. Spoj -rzałem na szosę ku wschodowi i zobaczyłem dwóch mężczyzn zbliżających się powoli w moim kierunku. Mieli na sobie szare panterki, przez które przebłyskiwały szkiele-towe ciała.

Przeszli przez środek grupy dzieci, odpychając je na boki.

- Ej! - krzyknęło któreś z nich.

Jeden z wojowników odwrócił się, a jego twarz zamieni-ła się na moment w czaszkę.

- Aaa! - wrzasnęło dziecko i cała grupa się cofnęła.

Popędziłem w stronę centrum turystycznego.

Byłem już prawie na schodach, kiedy usłyszałem pisk opon. Po

zachodniej stronie zapory czarna furgonetka zatrzymała się na środku drogi, omal nie tratując grupki staruszków. Jej drzwiczki otwały się i wysypali się z niej kolejni szkieletowi wojownicy. Byłem otoczony.

Popędziłem w dół schodów ku wejściu do muzeum. Strażnik z detektorem metalu krzyknął za mną, aleja się nie zatrzymałem.

Wbiegłem między eksponaty i skryłem się za grupką turystów. Szukałem przyjaciół, ale nigdzie ich nie widziałem. Gdzie może być ten bar?

- Stój! - krzyczał facet z wykrywaczem metalu.

Nie miałem wyjścia: musiałem wejść do windy z grupą wycieczkową. Wskoczyłem do środka w chwili, gdy drzwi się zamykały.

- Zjedziemy ponad dwieście metrów w dół - oznajmiła radośnie przewodniczka. Była strażniczką parku. Długie czarne włosy miała spięte w koński ogon i nosiła przyciemnione okulary. Najwyraźniej nie zauważyła, że ktoś mnie gonił. - Proszę się nie bać, winda rzadko się psuje.

- Czy dojedziemy do baru? - zapytałem.

Kilka osób stojących za mną się zaśmiało. Przewodniczka spojrzała na mnie. Coś w jej wzroku sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz.

- Jedziemy oglądać turbiny, młody człowieku - powiedziała. - Czyżbyś nie uważał podczas mojego fascynującego wykładu na górze.

- Ach, no tak. Czy jest jakieś inne wyjście z zapory?

- To jest ślepy zaułek - odezwał się turysta za moimi plecami. - Na litość boską. Jedyne wyjście to druga winda.

Drzwi się otwały.

- Proszę naprzód, drodzy państwo - poinstruowała nas kobieta.

- Na końcu korytarza czeka na państwa kolejny przewodnik.

Nie miałem wyboru, trzeba było udać się dalej z grupą.

- Ach, młodzieńcze - zawołała za mną przewodniczka.

Obejrzałem się. Zdjęła okulary, ukazując zaskakująco szare oczy w kolorze burzowych chmur. - Inteligentny człowiek, zawsze znajdzie inne wyjście.

Drzwi się zamknęły, odcinając mnie od niej. Zostałem sam.

Zanim zdążyłem zastanowić się nad tym, co powiedziała ta kobieta, za rogiem rozległ się dzwonek. To otwierała się druga winda, a ja słyszałem niedający się z niczym pomylić dźwięk: grzechot szkieletowych zębów.

Pobiegłem za grupą wycieczkową przez tunel wykuty w skale, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Ściany były wilgotne, a w powietrzu słychać było szum elektryczności oraz huk wody. Wyszędłem na balkonik w kształcie podkowy, zawieszony nad ogromną halą. Piętnaście metrów pode mną znajdowały się turbiny. Było to wielkie pomieszczenie, ale nie widziałem żadnego innego wyjścia, jeśli nie liczyć skoku między turbiny i zwęglenia się celem wyprodukowania dodatkowej elektryczności. Na to nie miałem szczególnej ochoty.

Inny przewodnik opowiadał turystom o zaopatrzeniu stanu Nevada w wodę. Modliłem się, żeby Thalia, Zoe i Grover byli bezpieczni. Mogli być już schwytani, ale mogli też pożywiać się w barze, kompletnie nieświadomi, że zostaliśmy otoczeni. A ja byłem skończonym głupcem: dałem się złapać w pułapkę w dziurze położonej kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi.

Przeciskałem się przez tłum, starając się jednak nie zwracać na siebie zbyt dużej uwagi. Po przeciwległej stronie balkoniku znajdowało się przejście - może uda mi się tam schować.

Trzymałem rękę na Orkanie, gotów do walki.

Dojście na drugą stronę galeryjki kosztowało mnie mnóstwo

nerwów. Wsunąłem się w wąski korytarz i obserwowałem tunel, z którego wcześniej wyszedłem.

W tej samej chwili usłyszałem za sobą ostre "Pszszsz!", przypominający szkieletowy głos.

Niewiele myśląc, odetkałem Orkana i ciałem.

Dziewczyna, której właśnie omal nie przepołowilem, krzyknęła i upuściła chusteczkę higieniczną.

- O rany! Czy ty zawsze zabijasz ludzi za to, że wycie rają nos?

Od razu uświadomiłem sobie, że miecz nie zrobił jej krzywdy. Przeszedł przez jej ciało, nie czyniąc żadnych szkód.

- Jesteś śmiertelniczką!

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Co to za gadanie? Oczywiście, że jestem śmiertelniczką! Jak udało ci się przejść przez bramkę z tym mie-czem?

- Ja nie... Czekaj, ty widzisz miecz?

Dziewczyna przewróciła oczami, które były równie zielone jak moje. Miała kręcone, rudobrązowe włosy. Jej nos też przybrał czerwony odcień, jak gdyby była prze-ziębiona. Nosiła za dużą brązową bluzę Harvardu oraz dżinsy pokryte plamami od markerów i pełne niewielkich dziurek, jakby spędzała wolne chwile na wbijanie w nie widelca.

- No, to albo jest miecz, albo największa wykałaczką świata - powiedziała. - A dlaczego mnie nie zranił? Nie żebym narzekała. Kim ty jesteś? I, rany, co ty masz na sobie? To lwie futro?

Zadawała tyle pytań na raz, że czułem się, jakby rzuca-ła we mnie kamieniami. Nie miałem czasu pomyśleć nad odpowiedzią. Zerknąłem na rękawy, żeby przekonać się, czy skóra lwa nemejskiego nie zmieniła się z powro-tem w swój oryginał, ale jak dla mnie wyglądała nadal jak brązowy zimowy płaszcz.

Wiedziałem, że szkieletowi wojownicy wciąż mnie scigają. Nie mogłem marnować czasu. A mimo to gapiłem się na tę rudowłosą dziewczynę. Wtedy przypomniałem sobie, co Thalia zrobiła w Westover Hall, aby zmylić nauczycieli. Może będę w stanie posłużyć się Mgłą.

Skupiłem się i pstryknąłem palcami.

- Nie widzisz miecza - powiedziałem do dziewczyny. - To długopis.

Zamrugła.

- Yyy... Nie. To jest miecz, świrze.

- Kim ty jesteś? - zapytałem tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Parsknęła urażona.

- Rachel Elizabeth Dare. A teraz: zamierzasz odpowiedzieć na moje pytania czy też mam wezwać ochronę?

- Nie! - powiedziałem. - To znaczy, mam mało czasu. Mam kłopoty.

- To co w końcu masz: mało czasu czy kłopoty?

- No, jedno i drugie.

Spojrzała nad moim ramieniem i otworzyła szeroko oczy.

- Toaleta!

- Co?

- Toaleta! Tam! Już!

Nie wiem czemu, ale posłuchałem jej. Wskoczyłem do męskiej toalety, zostawiając Rachel Elizabeth Dare na zewnątrz. Później uznałem to za akt tchórzostwa. Jestem jednak również przekonany, że uratowało mi to życie.

Słyszałem grzechoczące i syczące odgłosy zbliżających się szkieletów.

Zacisnąłem palce na Orkanie. Co ja sobie myślałem?

Zostawiłem śmiertelną dziewczynę na pewną zgubę. Gotowałem się do walki, kiedy usłyszałem Rachel Elizabeth Dare tokującą

w tempie karabinu maszynowego, jak wcześniej.

- O rany! Widzieliście tego chłopaka? Dobrze, że tu jesteście. Usiłował mnie zabić! Miał miecz, na litość boską. Jak wy z ochrony mogliście wpuścić uzbrojonego szaleńca do muzeum? No rany, niech mnie! Pobiegł tam, do tych turbin. Chyba tamtędy, jakoś tak. Może spadł na dół.

Szkielety grzechotały podniecone. Słyszałem, że się oddalają. Rachel otworzyła drzwi.

- Droga wolna. Ale lepiej, żebyś się pospieszył.

Wyglądała na roztrzęsioną. Miała szarą jak popiół twarz, po której płynęły strużki potu.

Wyjrzałem za róg. Trzej szkieletowi wojownicy biegli na drugi koniec balkonu. Droga do windy będzie jeszcze przez chwilę wolna.

- Jestem twoim dłużnikiem, Rachel Elizabeth Dare.

- Co to było? - zapytała. - Wyglądali jak...

- Szkielety?

Przytaknęła niepewnie.

- Wyświadczyć sobie przysługę - powiedziałem. - Zapomnij o tym. Zapomnij, że mnie kiedykolwiek widziałaś.

- Mam zapomnieć, że usiłowałaś mnie zabić?

- Aha. O tym też.

- Ale kim ty jesteś?

- Percy... - zacząłem. W tym samym momencie szkielety się obróciły. - Muszę biec!

- Co za dziwaczne nazwisko. Percy Muszebiec.

Skoczyłem do wyjścia.

Bar był pełen dzieci, które z radością witały najfajniej-szą część wycieczki - obiad po zaporowej cenie. Thalia, Grover i Zoe

siedzieli nad jedzeniem.

- Musimy uciekać - krzyknąłem. - Już!

- Dopiero dostaliśmy burritos! - zaprotestowała Thalia.

Zoe wstała mamrocząc pod nosem jakieś starogreckie przekleństwo.

- On ma rację! Patrz.

Całe piętro widokowe było przeszkłone, co dawało nam piękny panoramiczny widok na szkieletową armię, która przybyła, żeby nas zabić.

Na wschodnim krańcu szosy dostrzegłem dwóch blokujących wyjazd do Arizony. Trzech kolejni ustawili się na zachodzie, strzegąc przejazdu do Nevady. Wszyscy byli uzbrojeni w pałki i pistolety. Gdyby teraz zaczęli strze-lać, byłby to dosłownie zaporowy ogień.

Nasz najważniejszy problem był jednak znacznie bliżej. Trzej szkieletowi wojownicy, którzy wcześniej ścigali mnie w sali turbin, pojawili się właśnie na schodach. Dostrzegli mnie poprzez cały bar i zazgrzytali zębami.

- Winda! - krzyknął Grover. Popędziliśmy w tamtym kierunku, ale kiedy drzwi się otwały z przyjemnym dzwonkiem, ze środka wyszło trzech wojowników. Ze-brali się tu wszyscy, o których wiedzieliśmy, z wyjątkiem tego jednego, którego Bianca zwęgliła w Nowym Meksyku. Byliśmy całkowicie otoczeni.

W tej samej chwili mój przyjaciel wpadł na wspaniałą, iście Groverowy pomysł.

- Wojna na burrita! - krzyknął i rzucił swoje guacamo-le grande w najbliższy szkielet.

Jeśli nigdy nie oberwaliście burritem, możecie się uwa-żać za szczęściarzy. Jeżeli chodzi o śmiertcionośne poci-ski, może się ono równać z granatami i kulami armatni-mi. Obiad Grovera

trafił na jeden ze szkieletów, zbijając mu czaszkę z karku. Nie jestem pewny, co widziały inne dzieciaki w barze, ale dostały małego rozumu i zaczęły obrzucać się wzajemnie burritem, koszykami frytek i napojami gazowanymi, wrzeszcząc przy tym, ile wlezie.

Szkielety usiłowały wycelować broń, ale było to zadanie beznadziejne. Ludzie, razem z jedzeniem i piciem, latali po całym pomieszczeniu.

W tym zamieszaniu Thalia i ja zajęliśmy się szkieletami na schodach - posłaliśmy je na ladę z przyprawami. Następnie wszyscy popędziliśmy w dół, a meksykańskie naleśniki świstały nam wokół głów.

- Co teraz? - zapytał Grover, gdy wypadliśmy na zewnątrz.

Nie miałem na to odpowiedzi. Wojownicy na drodze nadciągali z obu stron. Przebiegliśmy szosę, kierując się do niszy ze skrzydlatymi spiżowymi posągami, ale wtedy znaleźliśmy się pod ścianą góry.

Szkielety nacierały, tworząc wokół nas półkrąg. Ich bracia z baru biegli, by do nich dołączyć. Jeden wciąż mocował czaszkę na karku. Inny był cały unurzany w keczupie i musztardzie. Dwóm kolejnym kanapki utkwiły między zębami. Nie wyglądali na zachwyconych. Wyciągnęli pałki i ruszyli do przodu.

- Czworo na jedenastu - mruknęła Zoe. - A oni nie mogą umrzeć.

- Miło było podróżować z wami - powiedział Grover drżącym głosem.

Kątem oka dojrzałem jakiś błysk. Zerknąłem za siebie na stopy posągów.

- Rany - powiedziałem. - Te palce naprawdę błyszczą.

- Percy! - upomniała mnie Thalia. - Nie czas na głupoty.

Ja jednak nie mogłem przestać się gapić na dwóch ol-brzymich brązowych facetów o smukłych wąskich skrzy-dłach przypominających noże do papieru. Cali byli po-kryci patyną z wyjątkiem palców u nóg, które błyszcząły jak nowiutkie monety dzięki temu, że ludzie pocierali je, by zyskać trochę szczęścia.

Szczęście. Błogosławieństwo Zeusa.

Rozmyślałem o tej przewodniczce z windy. O jej szarych oczach i uśmiechu. Co to ona powiedziała? *Inteligentny człowiek zawsze znajdzie inne wyjście.*

- Thalia - powiedziałem. - Módl się do ojca.

Rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

- On nigdy nie odpowiada.

- Spróbuj - błagałem. - Poproś o pomoc. Myślę... Myślę, że te posągi mogą nam przynieść odrobinę szczęścia.

Sześć szkieletów podniosło broń. Pięć pozostałych nacierało z uniesionymi pałkami. Dwadzieścia metrów. Piętnaście metrów.

- Zrób to! - wrzasnąłem.

- Nie! - odkrzyknęła. - On nie odpowie.

- Tym razem jest inaczej!

- Kto tak powiedział?

Zawahałem się.

- Myślę, że Atena.

Thalia spojrzała na mnie spode łba, jakby była pewna, że oszalałem.

- Spróbuj - zajęczał Grover.

Zamknęła oczy. Poruszała ustami w niemej modlitwie. Ja dołożyłem parę słów do mamy Annabeth w nadziei, że dobrze ją rozpoznałem w tej windzie - że usiłowała nam pomóc uratować jej córkę.

Nic się nie wydarzyło.

Wrogowie się zbliżali. Ująłem Orkana, żeby się bronić. Thalia uniosła tarczę. Zoe wepchnęła Grovera za swoje plecy i wycelowała strzałę w głowę jednego ze szkieletów.

Poczułem, że pada na mnie cień. Uznałem, że to musi być cień śmierci. Wtedy uzmysłowiłem sobie, że ma on kształt ogromnego skrzydła. Szkielety za późno podniosły wzrok. Błysnął spisz i tych pięciu z pałkami poleciało w bok.

Pozostali wojownicy otworzyli ogień. Zasłoniłem się lwim płaszczem, ale nie było to konieczne. Spiszowe anioły wystąpiły przed nas, okrywając nas swoimi skrzydłami niczym tarczą. Kule odbijały się od nich z dźwiękiem podobnym do kropli deszczu uderzających w zardzewiałe dach. Oba anioły uderzyły i szkielety poleciały na drugą stronę szosy.

- Ludzie, ależ dobrze znów wstać! - odezwał się pierwszy z nich. Jego głos brzmiał metalicznie i nieco zardzewiałe, jakby nie miał nic płynnego w ustach, odkąd go tu posadzono.

- Spójrz na moje stopy - powiedział drugi. - Na Zeusa, co ci turyści sobie myślą?

Gadające anioły to niespodzianka, ale bardziej martwiłem się kwestią szkieletów. Kilka z nich podniosło się znowu, łączyło kości i usiłowało wymacać broń kościo-trupimi rękami.

- Kłopoty! - powiedziałem.

- Zabierzcie nas stąd! - krzyknęła Thalia.

Obaj aniołowie spojrzeli na nią.

- Córka Zeusa?

- Tak!

- Możesz ładnie poprosić, panno Córko Zeusa? - zapytał jeden z nich.

- Proszę!

Aniołowie popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Nie zaszkodzi rozprostować skrzydła - uznał jeden.

Następne, co pamiętam, to jak jeden z nich chwyta Thalię i mnie, a drugi Zoe i Grovera i lecimy prosto w górę, nad zaporą i rzeką, a szkieletowi wojownicy zamie-niają się w maleńkie punkciki na dole i tylko wystrzały odbijają się echem od zapory gór.

ROZDZIAŁ XV ZAPASY

ZE ZŁYM MIKOŁAJEM

Powiedz mi jak to się skończy - zwróciła się do mnie Thalia. Miała mocno zaciśnięte powieki. Posąg trzymał nas tak solidnie, że nie mogliśmy upaść, ale ona mimo to zaciskała palce na jego ramieniu, jakby było najważniejszą rzeczą na świecie.

- Wszystko w porządku - zapewniłem ją.

- Czy my... jesteśmy bardzo wysoko?

Spojrzałem w dół. Pod nami przemykały ośnieżone szczyty górskie. Wyciągnąłem nogę i kopnąłem śnieg na jednym ze szczytów.

- Nie - odpowiedziałem. - Nie bardzo.

- Lecimy nad Sierra! - krzyknęła Zoe. Ona i Grover zwieszali się z ramion drugiego posągu. - Polowałam tu kiedyś. Przy tej prędkości za parę godzin będziemy w San Francisco.

- Ech, Frisco! - rozmarzył się nasz anioł. - Ej, Chuck! Może by tak znów odwiedzić pomnik Mechaników? Oni umieją się zabawić!

- Och, chłopie - odpowiedział drugi. - Jestem za!

- Byliście kiedyś w San Francisco? - zapytałem.

- Automaty też muszą się czasem rozerwać, nie? - odrzekł nasz posąg. - Wiesz, Mechanicy zabrali nas kiedyś do Muzeum de Younga i przedstawili tym mar-murowym demonom. I...

- Hank! - przerwał mu posąg o imieniu Chuck. - Oni są nieletni, chłopie.

- Och, jasne - Jeśli spiżowe rzeźby potrafią się rumie-nic, to Hank na pewno poczerwieniał. - Lepiej lecmy.

Anioły musiały być podekscytowane podróżą, bo przyspieszyliśmy. Góry zamieniły się we wzgórza, a pod nami zaczęły przemykać farmy, miasta i autostrady.

Grover grał na piszczałkach dla zabicia czasu. Zoe nudziła się i zaczęła strzelac do mijanych reklam. Ilekroć widziała szyldy sklepów z bronią - a minęliśmy kilka - pakowała w nieodłączne tarcze strzelnicze parę bełtów. Trafiła w sam środek, mimo że gnaliśmy z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Thalia przez cały czas nie otwierała oczu i bez przerwy mruczała coś pod nosem, jakby się modliła.

- Dobrze się sprawiłaś - odezwałem się do niej. - Zeus cię wysłuchał.

Z powodu zamkniętych oczu trudno było powiedzieć, co sobie myślała.

- Może - powiedziała. - A w ogóle, jak ty się wymknąłeś tym szkieletom z turbinowni? Mówiłeś, że cię otoczyły.

Opowiedziałem jej o tej dziwacznej śmiertelniczce nazwiskiem Rachel Elizabeth Dare, która najwyraźniej potrafiła przebic się wzrokiem przez Mgłę. Myślałem, że Thalia zwymyśla mnie od wariatów, ale ona tylko przy-taknęła.

- Niektórzy śmiertelnicy tak mają - oznajmiła. - Nikt nie wie, dlaczego.

Nagle przyszło mi do głowy coś, nad czym nigdy się nie zastanawiałem.

Moja mama była taka. Widziała Minotaura na Wzgórzach Herosów i wiedziała dokładnie, czym był. Nie zdziwiła się, kiedy w zeszłym roku powiedziałem jej, że mój kumpel Tyson jest tak naprawdę cyklopem. Może zresztą wiedziała od początku. Nic dziwnego, że bała się o mnie, kiedy dorastałem. Potrafiła przejrzeć Mgłę lepiej niż ja.

- Wiesz, ta dziewczyna była okropnie irytująca - powiedziałem. - Ale cieszę się, że jej nie zmiotłem na proch. To byłoby nieprzyjemne.

Thalia przytaknęła.

- To pewnie fajne być zwykłym śmiertelnikiem. - Powiedziała to takim tonem, jakby wcześniej dużo nad tym myślała.

- Gdzie chcecie wylądować? - zapytał Hank, budząc mnie z drzemki. Spojrzałem w dół.

- Rany! - krzyknąłem z zachwytem.

Widywałem wcześniej San Francisco na zdjęciach, ale nigdy tu nie byłem. Miałem pod sobą chyba najpiękniejsze miasto, jakie kiedykolwiek widziałem: jakby mniej-szy, czystszy Manhattan, na dodatek otoczony zielonymi wzgórzami pokrytymi mgiełką. Dalej znajdowała się wielka zatoka pełna statków, wysepek i żaglówek, a z

mgły wynurzał się most Golden Gate. Aż chciałoby się zrobić zdjęcie. "Pozdrowienia z Frisco. Jeszcze nie zginąłem. Szkoda, że was tu nie ma".

- Tam - zasugerowała Zoe. - Koło wieżowca Embarcadero.

- Doskonały pomysł - pochwalił ją. - Hank i ja będziemy

udawać gołębie. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu.

- Żartowałem - powiedział. - No co, czy posągi nie mogą mieć poczucia humoru?

Okazało się, że nie ma wielkiej potrzeby udawania czegokolwiek. Był wczesny ranek i nie było tu zbyt wielu ludzi. Naszym lądowaniem przestraszyliśmy jakiegoś bezdomnego w przystani promowej. Wrzasnął na widok Hanka i Chucka i pognął przed siebie, wykrzykując coś o metalowych aniołach z Marsa.

Pożegnaliśmy się z naszymi wybawcami, którzy odlecieli na imprezę ze swoimi posągowymi przyjaciółmi. Wtedy właśnie uświadomiłem sobie, że nie mam pojęcia, co powinniśmy teraz zrobić.

Udało nam się dostać na Zachodnie Wybrzeże. Artemida gdzieś tu była. Annabeth też, miałem taką nadzieję. Ale nie wiedziałem, jak je odnaleźć, a do przesilenia zimowego został jeden dzień. Nie dowiedzieliśmy się też nic o tym potworze, którego ścigała Artemida. Miał nas znaleźć na tej wyprawie i "wskazywać drogę", ale po prostu się nie pojawił. Teraz tkwiliśmy w porcie z resztką pieniędzy, całkiem sami i prześladowani przez pecha.

Po krótkiej naradzie uznaliśmy, że najpierw musimy wymyślić, czym miał być ten tajemniczy potwór.

- Ale jak? - zapytałem.

- Nereus - podpowiedział Grover.

Spojrzałem na niego.

- Co?

- Czy nie to sugerował Apollo? Żebyś znalazł Nereusa?

Przytaknąłem. Całkowicie zapomniałem o mojej ostatniej rozmowie ze słonecznym bogiem.

- Starzec morski - przypomniałem sobie. - Mam go znaleźć i zmusić, żeby powiedział nam, co wie. Ale jak mam go odszukać?

Zoe się skrzywiła.

- Starego Nereusa, co?

- Znasz go? - spytała Thalia.

- Moja mama była boginką morską. Tak, znam go. Niestety wcale nie jest trudno go znaleźć. Wystarczy iść za zapachem.

- Co masz na myśli? - zapytałem.

- Chodźcie - powiedziała bez entuzjazmu. - Pokażę wam.

Wiedziałem, że nie będzie lekko, kiedy zatrzymaliśmy się przed kontenerem na używaną odzież. Pięć minut później Zoe ubrała mnie w podartą flanelową koszulę i za duże o trzy rozmiary dżinsy, jaskrawo czerwone trampki i pomięty kapelusz we wszystkich kolorach tęczy.

- Och, tak - powiedział Grover, usiłując nie wybuchnąć śmiechem. - Teraz zupełnie nie rzucasz się w oczy.

Zoe pokiwała głową z zadowoleniem.

- Typowy włóczęga płci męskiej.

- Dzięki - mruknąłem. - Po co to wszystko?

- Mówiłam ci. Musisz wtopić się w tłum.

Poprowadziła nas z powrotem na nabrzeże. Po dłuższej chwili spędzonej na poszukiwaniu doków Zoe w końcu się zatrzymała. Wskazała na molo, na którym kuliła się w kocach grupka bezdomnych, czekając na otwarcie kuchni z darmową zupą.

- On gdzieś tu będzie - powiedziała. - Nigdy nie oddała się od wody, ale lubi posiedzieć na słońcu w ciągu dnia.

- Jak mam go rozpoznać?

- Przyłącz się - odrzekła. - Udawaj bezdomnego. Rozpoznasz

go. On pachnie... inaczej.

- Super. - Nie miałem ochoty pytać o szczegóły. - A jak go już znajdę?

- Chwyc go - odpowiedziała. - I trzymaj mocno. On zrobi, co może, żeby ci się wyrwać. Ale cokolwiek by wy-czyniał, nie puszczaj go. Zmusz go, aby opowiedział ci o potworze.

- Będziemy mieć na ciebie oko - dodała Thalia. Strząs-nęła coś z moich pleców... Jakiś wielki kłęb kłaków, który nie wiadomo skąd się tam wziął. - Ble. Chyba jed-nak nie chcę na ciebie patrzeć. Będziemy cię ubezpie- czać.

Grover pokazał mi, że trzyma kciuki.

Zamruczałem pod nosem, że fajnie jest mieć potężnych przyjaciół i ruszyłem w kierunku doku.

Nałożyłem kapelusz na oczy i ślaniałem się tak, jak-bym miał za moment wykitować, co przychodziło mi łatwo, zważywszy, jaki byłem zmęczony. Minałem na-szego bezdomnego przyjaciela z Embarcadero, który wciąż usiłował ostrzec pozostałych przed metalowymi aniołami z Marsa.

Nie pachniał ładnie, ale też nie... inaczej. Szedłem dalej.

Kilku obdartusów z foliowymi torbami na zakupy w miejsce czapek obrzuciło mnie spojrzeniem, kiedy się przybliżyłem.

- Spadaj, szczyłu! - mruknął jeden z nich.

Odsunąłem się. Cuchnęli okropnie, ale był to zwyczaj-ny smród. Nic nadzwyczajnego.

Była tam kobieta z kilkoma plastikowymi flamingami wystającymi z wózka na zakupy. Patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym zamierzał ukraść jej ptaki.

Na końcu mola w plamie słońca wylegiwał się facet wyglądający na około milion lat. Ubrany był w piżamę i włochaty szlafrok, który kiedyś zapewne był biały. Facet był gruby, miał białą, ale pożółkłą brodę, trochę jak Święty Mikołaj, którego

wyciągnięto z łóżka i przewleczono przez śmietnik.

A zapach?

Kiedy podszedłem bliżej, zamarłem. Cuchnął, to prawda... Ale był to smród morski. Jak nagrzane wodorosty, zdechłe ryby i słona woda. Jeśli ocean miał paskudne oblicze... to ten facet nim był.

Usiłowałem się nie udusić, kiedy przysiadłem się do niego, jakbym był zmęczony. Mikołaj otworzył jedno oko, zerkając na mnie podejrzliwie. Czułem, że się na mnie gapi, ale nie odwzajemniłem spojrzenia. Wymamrotałem coś o głupiej szkole i głupich rodzicach, zakładając, że uczyni mnie to wiarygodnym.

Facet wrócił do swojej drzemki.

Napiąłem wszystkie mięśnie. Wiedziałem, że to będzie dziwnie wyglądać. Nie miałem pojęcia, jak zareagują pozostali bezdomni, ale skoczyłem na Świętego Mikołaja.

- Aaaa! - wrzasnął. Zamierzałem go chwycić, jednak najwyraźniej to on trzymał mnie w uścisku. Zupełnie jakby ani przez moment nie spał. Z pewnością nie był słabym starcem, miał stalowy uchwyt. - Pomocy! - krzyknął, dusząc mnie na śmierć.

- To przestępstwo! - wydarł się inny bezdomny. - Szczył rzucił się na starca!

Z tym rzuceniem się to poniekąd była prawda, tyle że to ja wylądowałem na molo, waląc głową w słupek. Przez chwilę byłem oszołomiony, a uchwyt Nereusa zelżał nieco. Potrzebował chwili odpoczynku. Zanim zdążył odsapnąć, odzyskałem zmysły i natarłem na niego od tyłu.

- Nie mam pieniędzy! - usiłował wyrwać się i uciec, lecz zastosowałem chwyt zapaśniczy. Cuchnął ohydnie gnijącą rybą, ale wytrzymałem.

- Nie chcę pieniędzy - powiedziałem. - Jestem półkrwi!
Potrzebuję informacji.

Gdy to usłyszał, zaczął się jeszcze zacieklej wyrywać.

- Herosi! Czemu zawsze się mnie czepiacie?

- Bo ty wiesz wszystko!

Warknął, usiłując strząsnąć mnie ze swoich pleców. To było jak jazda kolejką górską. Rzucił się na wszystkie strony, uniemożliwiając mi utrzymanie się na nogach, ale zacisnąłem zęby i chwyciłem go jeszcze mocniej. Za-toczyliśmy się w kierunku krawędzi mola i wtedy wpadł mi do głowy pewien pomysł.

- Och, nie - krzyknąłem. - Tylko nie do wody!

Podziałało. Nereus natychmiast ryknął tryumfalnie i skoczył. Razem wpadliśmy do zatoki San Francisco.

Musiał być zaskoczony, kiedy wzmocniłem uchwyt, jako że ocean napełnił mnie dodatkową siłą. On jednak również miał w rękawie kilka asów. Zmienił kształt i nagle trzymałem w objęciach oślizgłą czarną fokę.

Słyszałem żarty o próbach utrzymania w rękach posmarowanej olejem świni, ale mówię wam, że trzymanie foki w wodzie jest trudniejsze. Nereus zanurkował, wijąc się, rzucając i wykręcając w ciemnej otchłani. Gdybym nie był synem Posejdona, nie miałbym szans dotrzymać mu kroku.

Nagle obrócił się i zaczął rosnąć, zmieniając się w orkę, ale chwyciłem go za płytwę grzbietową, kiedy wyskoczył z wody.

Spora grupa turystów wydała z siebie głośnie "Och!".

Udało mi się pomachać tłumom. *Tu, w San Francisco, to dla nas norma.*

Nereus zanurkował ponownie i zmienił się w oślizgłego węgorza. Zacząłem związywać go w supeł, ale zorientował się co jest grane, i wrócił do ludzkiej postaci.

- Czemu nie toniesz? - zawył żałośnie, okładając mnie pięściami.

- Jestem synem Posejdona - odpowiedziałem.

- Przeklęty waśniak! Ja byłem tu pierwszy!

W końcu opadł na brzeg doku. Nad nami wznosiło się jedno z tym turystycznych nabrzeży, pełne sklepów i jakieś centrum handlowe. Nereus dyszał i jęczał, a ja czułem się bosko.

Mógłbym tak walczyć przez cały dzień, ale nie powiedziałem mu tego. Wolałem, żeby miał po-czucie, że stoczył godną walkę.

Moi kumple nadbiegali z nabrzeża.

- Złapałeś go! - zawołała Zoe.

- Nie musisz dziwić się aż tak szczerze - odparłem.

Nereus zajęczał.

- No cudownie. Cała publika będzie oglądać moją po-rażkę! Już rozumiem, zwyczajna umowa? Puśćcie mnie, jak odpowiem na pytanie?

- Mam więcej niż jedno pytanie - powiedziałem.

- Jedno schwytnie. Jedno pytanie! Takie zasady.

Spojrzałem na moich przyjaciół.

Niedobrze. Musieliśmy odnaleźć Artemidę, ale także spytać, co to za apokaliptyczny potwór. Poza tym chcia-łem wiedzieć, czy Annabeth jeszcze żyje i jak ją ocalić. Jak zmieścić to wszystko w jednym pytaniu?

Jakiś głos we mnie krzyczał: *Pytaj o Annabeth!* Na tym zależało mi najbardziej. Jednak wyobraziłem sobie, co ona by na to powiedziała. Nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym poświęcił dla niej Olimp. Zoe chciałaby, żebym zapytał o Artemidę, ale Chejron powiedział wyraźnie, że potwór jest jeszcze ważniejszy.

Westchnąłem.

- Dobra, Nereusie. Powiedz mi, gdzie znajdę tego okropnego

potwora, który może przynieść zagładę bogom. Tego, na którego wyprawiała się Artemida.

Starzec morski uśmiechnął się, odsłaniając omszałe, zielone zęby.

- Och, to zbyt proste - powiedział z wrednym zadowoleniem. - On jest tutaj.

Nereus wskazał na wodę pod moimi stopami.

- Gdzie? - spytałem.

- Koniec zadania! - ryknął tryumfalnie, po czym z pyknięciem zamienił się w złotą rybkę i wskoczył z powrotem do morza.

- Oszukałeś mnie! - wrzasnąłem.

- Zaczekaj. - Thalia wpatrywała się w coś szeroko otwartymi oczami. - Co to jest?

- MUUUU!

Spojrzałem w dół: była tam moja przyjaciółka węzowa krowa, pływająca tuż obok doku. Trąciła nosem mój but i rzuciła mi spojrzenie swoich smutnych brązowych oczu.

- Och, Nessie - powiedziałem. - Nie teraz.

- Muuu!

Grover jęknął głośno.

- On mówi, że wcale nie ma na imię Nessie.

- Tyją... eee, jego rozumiesz?

Satyr przytaknął.

- To bardzo stara forma języka zwierząt. Mówi, że ma na imię Ofiotaur.

- Ofi-co?

- To oznacza węzowego byka po starogrecku - powiedziała Thalia. - Ale co tutaj robi?

- Muuuuuuuuu!

- Mówi, że Percy jest jego opiekunem - oznajmił Grover. - Że ucieka przed złymi ludźmi i że oni są blisko.

Zastanawiałem się, jak można zmieścić tyle informacji w jednym *muuuuu*.

- Zaczekaj - odezwała się Zoe, patrząc prosto na mnie. - Ty znasz tę krowę?

Czułem, że marnujemy czas, ale opowiedziałem im całą historię. Thalia potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- I nie raczyłeś o tym wcześniej wspomnieć?

- No... Nie. - Wydawało mi się to teraz głupie, jak już o tym powiedziała, lecz tyle rzeczy działo się naraz, że Ofiotaur zwany Nessie stał się pomniejszonym szczegółem.

- Ale jestem głupia - oznajmiła nagle Zoe. - Przecież ja znam tę historię!

- Jaką historię?

- Z wojny tytanów - odpowiedziała. - Mój... Mój ojciec mi o tym opowiadał kilka tysięcy lat temu. To jest potwór, którego szukamy.

- Nessie? - spojrzałem na pływającego pod nami wężo-wego byka. - Przecież... on jest słodki. Nie byłby w stanie zniszczyć świata.

- To właśnie był nasz błąd - powiedziała Zoe. - Spodziewaliśmy się wielkiego, niebezpiecznego monstrum, ale Ofiotaur nie przynosi zagłady bogom w ten sposób. Musi zostać złożony w ofierze.

- MMMM - zamruczał Nessie niskim głosem.

- Obawiam się, że nie lubi tego słowa na O - wyjaśnił Grover.

Pogłaskałem Nessiego po głowie, usiłując go uspokoić.

Pozwolił mi się podrapać za uchem, ale czułem, że cały drży.

- Jak ktokolwiek mógłby go skrzywdzić? - zapytałem. - On jest całkiem nieszkodliwy.

Zoe przytaknęła.

- Zabijanie niewinnych daje moc. Straszliwą moc. Ty-siące lat temu, kiedy urodziło się to stworzenie, Mojry ułożyły przepowiednię. Powiedziały, że ktokolwiek zabije Ofioteura i wrzuci jego wnętrzności do ognia, uzyska moc zdolną obalić bogów.

- MMMMMMM!

- Ekhem - powiedział Grover. - Chyba powinniśmy unikać także mówienia o jego wnętrznościach.

Thalia wpatrywała się w węzowego byczka ze zdumieniem.

- Moc zdolna obalić bogów... Ale jak? To znaczy co niby miałyby się stać?

- Nikt tego nie wie - odparła Zoe. - Za pierwszym razem, podczas wojny, Ofioteura istotnie zabił gigant sprzymierzony z tytanami, ale twój ojciec, Zeus, wysłał orła, żeby porwał wnętrzności, zanim zostaną wrzucone do ognia. Niewiele brakowało. A teraz, po trzech tysiącach lat, Ofioteur narodził się na nowo.

Thalia usiadła na brzegu. Wyciągnęła rękę. Nessie natychmiast do niej podpłynął. Położyła mu dłoń na łbie. Zwierzę zadrżało.

W wyrazie jej twarzy coś mnie niepokoiło. Wyglądała niemal na... głodną.

- Musimy go chronić - powiedziałem jej. - Jeśli Luke go dorwie...

- Luke się nie zawaha - mruknęła. - Moc zdolna obalić Olimp. To... To coś wielkiego.

- Owszem, moja drhoga - odezwał się męski głos z francuskim akcentem. - I ty wyzwolisz tę moc.

Ofioteur wydał żalospny dźwięk i zanurkował. Podniosłem wzrok. Byliśmy tak zajęci rozmową, że daliśmy się zaskoczyć.

Za nami, błyskając złowrogo dwukolorowymi oczami, stał pan Cierniak, mantikora we własnej osobie.

- Rhewelacyjnieee - powiedział z zadowoleniem. Na podarty i poplamiony mundur Westover Hall miał narzucony spłowieły czarny trencz. Jego do niedawna ścięte na rekruta włosy, teraz tłuste sterczały na wszystkie strony. Nie golił się ostatnio, więc jego twarz pokrywał krótki srebrny zarost. W sumie nie wyglądał wiele lepiej niż ci ludzie z kolejki po darmową zupę.

- Wiele lat temu bogowie wygnali mnie do Perhsji - oznajmił Cierniak. - Musiałem zebrać o jedzenie na krzańcach świata, krzyć się po lasach, pożerać nieważnych ludzkich rholników na śniadanie. Nigdy nie walczyłem z wielkimi herosami. Nie bano się mnie i nie podziwiano w mitach! Ale teraz to się zmieni. Tytani obdarzą mnie zaszczytami i będę ucztował, rhacząc się mięsem herosów!

Po jego obu stronach stali uzbrojeni ochroniarze - z tych śmiertelnych najemników, których widziałem w Waszyngtonie. Dwaj kolejni obstawiali sąsiedni dok, na wypadek gdybyśmy próbowali tamtędy uciekać. Wszędzie dookoła przechadzali się turyści: po nabrzeżu i sklepach tuż nad nami, ale wiedziałem, że nie powstrzyma to mantikory od ataku.

- Gdzie... Gdzie są szkielety? - zapytałem.

Cierniak parsknął pogardliwie.

- A po co mi ci głupi nieumarhli! Generał uważa, że jestem nic nie wart? Zmieni zdanie, kiedy pokonam was własnoręcznie!

Potrzebowałem czasu do namysłu. Musiałem ratować Nessiego. Mógłbym zanurkować do morza, ale jak miałbym

szybko uciekać z dwustukilogramowym wężowym bykiem? No i co z moimi kumplami?

- Już raz cię pokonaliśmy - powiedziałem.

- Ha! Ledwie się wam udało, kiedy mieliście przy boku boginię. A ona... Co za pech, w tej chwili jest zajęta gdzie indziej. Tym razem nikt nie przyjdzie wam z pomocą.

Łowczyni napięła łuk i wycelowała prosto w głowę mantikory. Ochroniarze podnieśli broń.

- Czekaj! - krzyknąłem. - Zoe, nie!

Cierniak się uśmiechnął.

- Chłopak ma rację, Zoe Nightshade. Odłóż łuk. Szkoda byłoby cię zabijać, zanim zostaniesz świadkiem wielkiego zwycięstwa Thalii.

- O czym ty mówisz? - warknęła Thalia, trzymając tarczę i włócznię w pogotowiu.

- Ależ to chyba oczywiste - odparł. - To przecież twoje pięć minut. Dla tej chwili Pan Krhonos przywrócił cię do życia. To ty złożysz Ofiotaurha w ofierze. To ty wrzucisz jego wnętrzności do świętego ognia płonącego we wnętrzu górhy. Ty zdobędziesz nieograniczoną moc. A w twoje szesnaste urodziny obalisz Olimp.

Nikt się nie odzywał. To wszystko miało koszmarny sens. Thalię dzieliły raptem dwa dni od ukończenia szesnastu lat. Była dzieckiem Wielkiej Trójki. I oto stała przed wyborem, okropnym wyborem, który mógł ozna- czać kres bogów. Dokładnie tak, jak przepowiedziała Wyrocznia. Nie byłem pewny, czy czuję ulgę, przeraże- nie czy rozczarowanie. W końcu okazało się, że nie jestem tym dzieckiem z przepowiedni. Ostateczny wybór miał się dokonać tu i teraz.

Czekałem, aż Thalia powie mantikorze, żeby spadała, ale dziewczyna się wahała. Wyglądała na totalnie oszo- łomioną.

- Wiesz, że to właściwy wybór - zwróciła się do niej mantikora. - Twój przyjaciel Luke potrafił to dostrzec. Będziecie znowu razem. Będziecie wspólnie rządzić światem pod opieką tytanów. Twój ojciec cię opuścił, Thalia. Wcale mu na tobie nie zależy. A teraz zyskasz władzę nad nim. Jedną stopą zmiażdżysz Olimpijczyków, jak na to zasłużyli. Wezwij potwora! Musi do ciebie przyjść. Użyj swojej włóczni.

- Thalia - powiedziałem - wyjdź z tego transu!

Spojrzała na mnie tak samo jak wtedy, kiedy przebudziła się na Wzgórzu Herosów: zamglonym, niepewnym wzrokiem. Prawie jakby mnie nie знаła.

- Ja... Nie...

- Ojciec ci pomógł - powiedziałem. - Wysłał spiszowych aniołów. Zamienił cię w drzewo, nie pozwalając ci umrzeć.

Zacisnęła palce na drzewcu włóczni.

Spojrzałem z rozpaczą na Grovera. Bogom niech będą dzięki, zrozumiał, o co mi chodziło. Przyłożył piszczałki do ust i zagrał szybką melodyjkę.

- Powstrzymać ich! - wrzasnęła mantikora.

Ochroniarze trzymali na celownikach Zoe i zanim zdążyli się domyślić, że to chłopak z piszczałką stanowi większy problem, z desek pod ich stopami wystrzeliły świeże gałęzie, oplatając im nogi. Zoe wystrzeliła dwa szybkie bełty, które wybuchły u ich stóp chmurami żółtego jak siarka dymu. Smrodliwe strzały!

Ochroniarze zanieśli się kaszlem. Mantikora wystrzeliła kolcami w naszym kierunku, ale odbiły się od mojego lwiego płaszcza.

- Grover - powiedziałem - każ Nessiemu zanurkować głęboko i się nie wynurzać.

- Muuuuu! - przetłumaczył satyr, a mnie tylko pozostało mieć

nadzieję, że Nessie zrozumiał.

- Krowa... - wymamrotała wciąż oszołomiona Thalia.

- Chodź! - pociągnąłem ją za rękaw i pobiegliśmy w górę schodów do centrum handlowego na nabrzeżu.

Wpadliśmy za róg. Słyszałem, jak mantikora drze się do swoich sługusów: "Łapać ich!". Turyści zaczęli krzy-czeć, kiedy ochroniarze wystrzelili w powietrze.

Dobiegliśmy do końca nabrzeża i schowaliśmy za nie-wielką budką pełną pamiątkowych kryształów: lśnią-cych w słońcu dzwonków wietrznych, łapaczy snów i takich tam. Tuż obok była studzienka z wodą pitną. Poniżej statko lwów morskich wygrzewało się na ska-łach. Przed nami rozciągał się widok na całą zatokę San Francisco: most Golden Gate, wyspa Alcatraz, a dalej na północ zielone wzgórze i mgła. Cudowny moment na zdjęcia, gdyby nie to, że właśnie groziła nam śmierć, a światu nagły koniec.

- Zeskocz tam! - powiedziała mi Zoe. - Możesz uciec do morza, Percy. Poproś ojca o pomoc. Może zdołasz urato-wać Ofioura.

Miała rację, ale ja nie mogłem tego zrobić.

- Nie zostawię was - odparłem. - Będziemy walczyć razem.

- Musimy zawiadomić obóz! - powiedział Grover. -

Przynajmniej powiedzieć im, co się dzieje!

W tej chwili zobaczyłem, że kryształki mienia się tęczo-wo w świetle słońca. A ta studzienka...

- Zawiadomić obóz - mruknąłem. - Dobry pomysł.

Odetkałem Orkan i ściałem górną część hydrantu. Woda trysnęła z przeciętej rury i ochlapała nas wszystkich.

Thalia krzyknęła, kiedy prysnął na nią ten strumień. Mgła w jej oczach zdawała się rzednąć.

- Zwariowaliście?

Ale Grover zrozumiał. Szukał już monety w kieszeni. Wrzucił złotą drahmę w tęczę, która wytworzyła się w wodnej mgiełce, i krzyknął:

- Bogini, przyjmij mą ofiarę!

Mgła zafalowała.

- Obóz Herosów! - powiedziałem.

We mgle tuż obok nas zamigotał obraz ostatniej osoby, którą miałem ochotę oglądać: Pana D. w dresie w lam-parcie cętki, buszującego w lodówce.

Podniósł leniwie wzrok.

- O co chodzi?

- Gdzie jest Chejron? - krzyknąłem.

- Co to za maniery. - Pan D. pociągnął łyk z dzbanka z sokiem grejpfrutowym. - Tak mówi się "dzień dobry"?

- Dzień dobry - poprawiłem się. - Możemy zaraz zginąć! Gdzie jest Chejron?

Pan D. się zamyślił. Miałem ochotę wrzasnąć na niego, żeby się pospieszył, ale wiedziałem, że to nic nie da. Za nami, tupiąc i krzyżąc, zbliżali się żołnierze mantikory.

- Możecie zaraz zginąć - rozmarzył się Dionizos. - Ale zabawa. Obawiam się, że Chejrona nie ma w pobliżu. Mam przekazać wiadomość?

Spojrzałem na przyjaciół.

- Już zginęliśmy.

Thalia chwyciła włócznię. Znów była dawną, wściekłą sobą.

- W takim razie zaraz zginiemy w walce.

- Cóż za szlachetny gest - skomentował Pan D., tłumiąc ziewanie. - Na czym więc dokładnie polega problem?

Nie sądziłem, żeby wiele to miało zmienić, ale powie-działem

mu o Ofiourze.

- Hmmm - wpatrywał się z uwagą w zawartość lodów-ki. - A więc o to chodzi. Rozumiem.

- Nawet to pana nie obchodzi! - krzyknąłem. - Równie dobrze może pan stać i przyglądać się, jak umieramy!

- Zastanówmy się. Chyba mam dziś ochotę na pizzę. Miałem ochotę ciąć Orkanem przez tęczę i przerwać połączenie, ale nie było czasu.

- Tam są! - krzyknęła mantikora.

I zostaliśmy otoczeni. Dwaj ochroniarze stanęli za nią, dwaj inni pojawili się na dachach okolicznych sklepów. Mantikora zrzuciła płaszcz i przybrała naturalną postać z lwimi pazurami i długim ogonem najeżonym zatruty-mi kolcami.

- Doskonale - powiedziała. Spojrzała na obraz we mgle i parsknęła. - Sami, bez prhawdziwej pomocy. Rhewela-cyjnie.

- Mógłbyś *poprosić* o pomoc - mruknął do mnie Pan D., jakby to było zabawne. - Poprosić.

Kiedy dziki zaczną latać, pomyślałem. Nie chciałem ginąć ze słowami błagania skierowanymi do takiego flejtucha jak Dionizos, po to tylko, żeby on mógł się śmiać z naszego końca.

Zoe napięła łuk. Grover przygotowywał piszczałki. Thalia uniosła tarczę, a ja dostrzegłem łzę na jej poli-czku. Nagle coś sobie uświadomiłem: ona już coś takiego przeżyła. Została otoczona na Wzgórzu Herosów. Dobro-wolnie oddała życie za przyjaciół. Tym razem jednak nie mogła nas ocalić.

Jak mogłem pozwolić, żeby ją spotkało coś takiego?

- Proszę, Panie D. - wymamrotałem. - Pomóż nam.

Oczywiście nic się nie wydarzyło.

Mantikora wyszczerzyła zęby.

- Oszczędzić córhkę Zeusa. Wkrhótce do nas dołączy. Zabic pozostałych.

Ochroniarze podnieśli broń i wtedy stało się coś dziwnego. Wiecie, jak to jest, kiedy cała krew uderza do głowy, na przykład wtedy, gdy wisimy do góry nogami i wrócimy do zwykłej postaci zbyt szybko? Wszędzie wokół mnie rozległ się podobny szum niczym potężne westchnienie. Słońce przybrało fioletowy odcień. Poczuliem zapach winogron i czegoś kwaśnego... Wina.

TRZASK!

Był to odgłos wielu umysłów załamujących się w jednej chwili. Odgłos szaleństwa. Jeden z ochroniarzy chwycił pistolet w zęby, jakby to była kość i zaczął biegać w kółko na czworakach. Dwaj inni opuścili broń i wspólnie zaczęli tańczyć walca. Czwarty podskakiwał w jakiejś parodii irlandzkiego tańca. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było przerażające.

- Nie! - ryknął potwór. - Sam sobie z wami porhadzę!

Ogon mu się zjeżył, ale deski pod jego łapami wybuchły winoroślą, która natychmiast owinęła się wokół jego ciała, wypuszczając świeże listki i kiście małych zielonych winogronek, dojrzewających w kilka sekund. Potwór wrzeszczał, aż wreszcie pochłonęła go wielka masa pędów, liści i dojrzałych czerwonych gron. W końcu rośliny przestały się trząść, a ja odniosłem wrażenie, że tam w środku nie ma już mantikory.

- No - oznajmił Dionizos, zamykając lodówkę. - To była niezła zabawa.

Spoglądałem na niego z przerażeniem.

- Jak pan zdołał... Jak pan to...

- Co za wdzięczność - mruknąc. - Śmiertelnicy z tego wyjdą. Zbyt wiele tłumaczenia się, gdybym uczynił ich stan permanentnym. Nienawidzę pisania raportów dla ojca.

Wpatrywał się z niechęcią w Thalię.

- Mam nadzieję, że czegoś cię to nauczyło, dziewczyno.

Niełatwo oprzeć się pokusie władzy, co?

Thalia się zarumieniła, jakby zawstydzona.

- Panie D. - powiedział z zachwytem Grover. - Ocaliłeś nas.

- Hmm. Nie pozwól, żebym tego żałował, satyrze. A teraz w drogę, Percy Jacksonie. Kupiłem wam co najwyżej kilka godzin.

- Ofioteur - powiedziałem. - Może go pan przenieść do obozu?

Pan D. pociągnął nosem.

- Nie zajmuję się przewozem żywca. To twój problem.

- Ale dokąd mamy iść?

Dionizos zerknął na Zoe.

- Och, sądzę, że Łowczyńni wie. Musicie tam wejść dziś o zachodzie słońca, wiecie, albo wszystko stracone. A teraz do widzenia. Moja pizza czeka.

- Panie D. - odezwałem się jeszcze.

Uniósł brwi.

- Nazwał mnie pan właściwym imieniem - powiedziałem. - Nazwał mnie pan Percym Jacksonem.

- Z pewnością się mylisz, Peterze Johnsonie. A teraz spadajcie!

Machnął ręką i jego obraz rozmył się we mgle.

Wokół nas podkomendni mantikory wciąż zachowywali się jak wariaci. Jeden z nich odnalazł naszego znajomego bedonnego i wiedli teraz poważną dysputę o metalowych aniołach z Marsa. Posostali ochroniarze zaczęli turystów, wydając zwierzęce odgłosy i usiłując ukraść im buty.

Spojrzałem na Zoe.

- Co on miał na myśli, mówiąc, że ty wiesz, dokąd iść?

Jej twarz miała barwę mgły. Wskazała przez zatokę, poza Golden Gate. W oddali pojedynczy szczyt górski wznosił się ponad warstwy chmur.

- Ogród moich sióstr - powiedziała. - Muszę wrócić do domu.

ROZDZIAŁ XVI

SPOTKANIE ZE SMOKIEM WIECZNIE ZEPSUTEGO ODDECHU

Nigdy nam się to nie uda - powiedziała Zoe. - Porusza-my się zbyt wolno. Ale nie możemy zostawić Ofioteura.

- Muuuu - powiedział Nessie, który płynął u mojego boku, podczas gdy my biegliśmy po nabrzeżu.

Centrum handlowe zostało daleko za nami. Kierowa-liśmy się ku Golden Gate, ale most był znacznie dalej, niż nam się wydawało. Słońce minęło już południe.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Dlaczego musimy się tam dostać o zachodzie słońca?

- Hesperydy są nimfami zachodu słońca - odparła Zoe. - Do ich ogrodu da się wejść tylko w chwili, gdy dzień zmienia się w noc.

- A co, jeśli się spóźnimy?

- Jutro jest zimowe przesilenie. Jeśli się spóźnimy na zachód słońca dziś wieczorem, będziemy musieli zaczekać do jutra. A do tego czasu będzie po radzie bogów. Dziś wieczorem musimy uwolnić Panią Artemidę.

Albo Annabeth umrze, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego głośno.

- Potrzebujemy samochodu - oznajmiła Thalia.

- A co z Nessiem? - zapytałem.

Grover zatrzymał się nagle.

- Mam pomysł! Ofioteur potrafi się pojawiać w różnych zbiornikach wodnych, zgadza się?

- Na to wygląda - odparłem. - To znaczy był w zatoce Long Island, a potem prosto wypłynął w wodzie pod Zaporą Hoovera. A teraz jest tutaj.

- Może w takim razie przekonamy go, żeby wrócił do zatoki Long Island - podsunął Grover. - Wtedy Chejron pomoże nam zabrać go na Olimp.

- Ale on porusza się moim tropem - powiedziałem. - Jeśli mnie tam nie będzie, to jak on znajdzie drogę?

- Muuu - powiedział Nessie ze smutkiem.

- Ja... Ja mu pokażę - zaproponował satyr. - Pójdę z nim.

Wbiłem w niego wzrok. Grover nie przepadał za zato-ką. Zeszłego lata omal nie utonął w Morzu Potworów, no i przez te swoje kopyta nie był najlepszym pływa-kiem.

- Tylko ja umiem z nim rozmawiac - wyjaśnił. - To ma sens.

Pochylił się nad wodą i powiedział coś do ucha węzowe-go byczka. Nessie zadrżał i wydał z siebie zadowolone muczenie.

- Błogosławieństwo Dżicy - powiedział Grover. - To nam powinno pomóc w bezpiecznej podróży, Percy, no i pomódl się też do twojego taty. Postaraj się, żeby zapew-nił nam bezpieczną podróż przez morza.

Nie bardzo wiedziałem, jak zamierzają płynąć na Long Island z Kaliforni. Ale w końcu potwory nie przemieszczają się tak samo jak ludzie. Widziałem dość dowodów na to.

Usiłowałem skupić się na falach, zapachu morza i szu-mie

przyływu.

- Tato - powiedziałem. - Pomoż nam. Zaprowadź Ofio-taura i Grovera bezpiecznie do obozu. Opiekuj się nimi na morzu.

- Taka modlitwa wymaga ofiary - powiedziała Thalia. - Dużej. Myślałem przez chwilę. Po czym zdjąłem płaszcz.

- Percy - wtrącił mój przyjaciel. - Jesteś pewny? Ta lwia skóra... jest bardzo przydatna. Nosił ją Herakles!

W chwili, gdy to powiedział, coś sobie uświadomiłem.

Spojrzałem na Zoe, która przypatrywała mi się uważnie. Wiedziałem już, kim był jej heros - ten, który zrujnował jej życie, skazał na wygnanie i nigdy nie wspominał o tym, że mu pomogła. Był to Herakles, ten bohater, którego podziwiałem przez całe życie.

- Jeśli przeżyję - powiedziałem - to nie dlatego, że mam płaszcz z lwiej skóry. Nie jestem Heraklesem.

Rzuciłem go w wody zatoki. Zamienił się znów w złotą lwą skórę, połyskującą w promieniach słońca. A kiedy tonął w falach, zdawał się roztopiać w wyzłoconej słońcem wodzie.

Podniosła się bryza.

Grover odetchnął głęboko.

- Nie mamy czasu do stracenia.

Wskoczył do wody i natychmiast zaczął tonąć. Nessie podpłynął do niego i pozwolił mu chwycić się za szyję.

- Uważajcie na siebie - powiedziałem im.

- Jasne - odparł Grover. - Dobra, yyy... Nessie? Jedźmy na Long Island. To jest na wschodzie. Tam.

- Muuu? - zapytał Nessie.

- Tak - odpowiedział Grover. - Long Island. Taka wyspa. Długa. Och, czy możemy po prostu pływać?

- Muuuu!

Nessie skoczył do przodu i zaczął się zanurzać.

- Nie potrafię oddychać pod wodą! - zaprotestował sa-tyr. -
Właśnie miałem o tym...

Plusk!

Zanurkowali, a ja miałem nadzieję, że opieka mojego ojca obejmuje takie drobiazgi jak oddychanie.

- Okej, jeden problem z głowy - powiedziała Zoe. - Ale jak mamy się dostać do ogrodu moich sióstr?

- Thalia ma rację - odparłem. - Potrzebujemy samocho-du. Ale nikt nam tu nie pomoże. Chyba że, no, pożyczmy sobie auto.

Nie podobała mi się ta opcja. To znaczy, jasne, byliśmy w sytuacji podbramkowej, ale kradzież to kradzież - małe szanse, że nie ściągnie na nas uwagi.

- Zaczekajcie - powiedziała Thalia i zaczęła przeglądać zawartość swojego plecaczka. - W San Francisco jest ktoś, kto może nam pomóc. A ja gdzieś tu miałam adres.

- Kto? - zapytałem.

Thalia wyciągnęła wymiętą kartkę z zeszytu i podnios-ła ją do oczu.

- Profesor Chase. Ojciec Annabeth.

Słuchając przez dwa lata narzekań Annabeth na ojca, spodziewałem się, że będzie miał diabelskie rogi i kły. Nie sądziłem, że zobaczę mężczyznę w staroświeckiej pilotce i goglach. Wyglądał tak dziwacznie z oczami powiększonymi przez szkła, że wszyscy cofnęliśmy się o krok na werandzie.

- Witam - powiedział przyjaznym głosem. - Jesteście dostawcami samolotów?

Thalia, Zoe i ja popatrzyliśmy po sobie niepewnie.

- Yyy, nie, proszę pana - odpowiedziałem.

- A niech to - powiedział. - Potrzebuję jeszcze trzech myśliwców Sopwith Camel.

- Jasne - odezwał się, aczkolwiek nie miałem poję-cia, o czym mówił. - Jesteśmy kumplami Annabeth.

- Annabeth? - Napiął się, jakbym właśnie poraził go prądem elektrycznym. - Wszystko u niej w porządku? Czy coś się stało?

Żadne z nas nie odpowiadało, ale wyraz naszych twa-rzy musiał mu powiedzieć, że coś jest bardzo nie w po-rządku. Zdjął pilotkę i gogle. Miał jasne włosy jak Anna-beth i ciemnobrązowe oczy. Był chyba przystojny jak na starszego faceta, ale wyglądał tak, jakby nie golił się od kilku dni, a guziki jego koszuli były nierówno zapięte, więc kołnierzyk z jednej strony sterczał wyżej niż z dru-giej.

- Chyba powinniście wejść - powiedział.

Wnętrze nie wyglądało jak dom, do którego dopiero ktoś się wprowadził. Na schodach leżały roboty z klocków lego, a na kanapie w salonie leżały dwa koty. Stolik był zasypany czasopismami, zaś na podłodze ktoś zostawił dziecięcą kurtkę zimową. W całym domu unosił się za-pach świeżo pieczonych ciasteczek czekoladowych. Z kuchni dobiegały dźwięki jazzu. To wszystko sprawiało wrażenie nieco chaotycznego, szczęśliwego domostwa - takiego, w którym mieszka się od zawsze.

- Tato! - zawołał mały chłopiec. - On rozbiera moje roboty!

- Bobby - powiedział pan Chase roztargnionym głosem - nie rozbieraj robotów brata.

- To ja jestem Bobby - zaprotestował malec. - On jest Matthew!

- Matthew - zawołał ojciec Annabeth - nie rozbieraj ro-botów brata!

- Oki, tato!

Pan Chase zwrócił się do nas.

- Chodźmy na górę, do mojego gabinetu. Tędy.

- Kochanie? - rozległ się kobiecy głos.

W drzwiach salonu pojawiła się macocha Annabeth, wycierając ręce w ściereczkę do naczyń. Była to ładna kobieta o azjatyckiej urodzie z czerwonymi pasemkami we włosach upiętych z tyłu głowy.

- Kim są nasi goście? - zapytała.

- Och - powiedział pan Chase. - To jest...

Spojrzał na nas bezradnie.

- Fryderyku - zbesztala go. - Zapomniałeś ich spytać o imiona?

Przedstawiliśmy się trochę niepewnie, ale pani Chase sprawiała naprawdę miłe wrażenie. Zapytała, czy nie jesteśmy głodni. Przyznaliśmy się, że owszem, a ona obiecała przynieść nam ciastka, kanapki i coś do picia.

- Kochanie - powiedział jej mąż. - Oni przyszli w sprawie Annabeth.

W sumie spodziewałem się, że pani Chase dostanie szału na samo wspomnienie pasierbicy, ale ona tylko za-gryzła wargę z niepokojem.

- W porządku. Idźcie do gabinetu, a ja przyniosę wam coś do jedzenia. - Uśmiechnęła się do mnie. - Miło cię poznać, Percy. Dużo o tobie słyszałam.

Kiedy na górze weszliśmy do gabinetu profesora Cha-se'a, zatkało mnie.

- Rany!

Cały pokój był zastawiony regałami z książkami, ale moją

uwagę zwróciły modele wojskowe. Na środku pokoju stał ogromny stół z miniaturowymi czołgami i żołnierzami walczącymi nad wymalowaną niebieską farbą rzeką, a wokół ciągnęły się sztuczne wzgórza, lasy i tak dalej. Staroświeckie dwupłatowce zwieszały się na linkach pod sufitem, przechylone pod dziwnymi kątami, jakby właśnie toczyły walkę. Pan Chase się uśmiechnął.

- To trzecia bitwa pod Ypres. Wiecie, piszę artykuł o udziale myśliwców Sopwith Camel w ostrzale linii nieprzyjacielskich. Myślę, że odegrały znacznie większą rolę, niż się powszechnie uważa.

Zdjął jeden z dwupłatowców z linki i przeleciał nim nad polem bitwy, wydając przy tym odgłosy jak silnik samolotu i przewracając miniaturowych niemieckich żołnierzyków.

- Ach, no tak - powiedziałem.

Wiedziałem, że ojciec Annabeth jest historykiem wojskowości, ale nigdy nie wspomniała, że bawi się żołnierzykami. Zoe podeszła i przyjrzała się polu bitwy.

- Linie niemieckie były dalej od rzeki.

Pan Chase wlepił w nią wzrok.

- Skąd to wiesz?

- Byłam tam - odpowiedziała beznamiętnie. - Artemida chciała nam pokazać okropności wojny prowadzonej przez śmiertelników. I głupotę też. Ta bitwa była kompletnie bezsensowna.

Ojciec Annabeth otworzył usta ze zdumienia.

- Ty...

- To Łowczyni, proszę pana - wtrąciła się Thalia. - Ale nie dlatego tu przyszliśmy. Potrzebujemy...

- Widziałas te myśliwce? - zapytał pan Chase. - Ile ich było? W jakim leciały szyku?

- Proszę pana - przerwała mu znów Thalia. - Annabeth jest w niebezpieczeństwie.

To go ostudziło. Posadził dwupłatówiec na ziemi.

- Oczywiście - powiedział. - Opowiedzcie mi o wszystkim.

Nie było to łatwe, ale staraliśmy się, a tymczasem za oknem gasło światło słońca. Mieliśmy mało czasu. Kiedy skończyliśmy opowieść, pan Chase opadł na swój skórzany fotel i zaplótł palce.

- Moja biedna dzielna Annabeth. Musimy się pospieszyć.

- Potrzebujemy środka transportu na górę Tamalpais, proszę pana - powiedziała Zoe. - I to natychmiast.

- Zawiozę was. Hmm, szybciej byłoby polecieć Came-lem, ale ma tylko dwa miejsca.

- To pan ma prawdziwy dwupłatówiec? - zapytałem.

- Stoi w parku Crissy Field - odparł z dumą pan Chase. - Dlatego właśnie się tu przeprowadziłem. Moje badania finansuje prywatny kolekcjoner, który posiada jedne z najwspanialszych zabytków z czasów pierwszej wojny. Zatrudnił mnie do remontu Sopwitha...

- Proszę pana - powiedziała Thalia. - Samochód w zupełności wystarczy. A najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli pojechać nim sami. To będzie bardzo niebezpieczne.

Pan Chase zmarszczył brwi, zaniepokojony.

- Chwileczkę, młoda damo. Annabeth to moja córka. Niebezpieczne czy nie, ja... nie mogę po prostu...

- Jedzenie - oznajmiła pani Chase.

Wsunęła się przez drzwi, niosąc tacę pełną kanapek z masłem orzechowym i dżemem, butelek coli i ciasteczek posto z pieca tak świeżych, że polewa czekoladowa jeszcze nie zastygła.

Thalia i ja pochłonęliśmy kilka ciasteczek, a Zoe tymczasem ciągnęła dalej rozmowę:

- Umieję jeździć, proszę pana. Nie jestem tak młoda, na jaką wyglądam. Obiecuję, że nie zniszczę pańskiego samochodu.

Pani Chase zmarszczyła brwi.

- O co tu chodzi?

- Annabeth jest w niebezpieczeństwie - odparł jej mąż. - Na górze Tam. Zawiózłbym ich, ale najwyraźniej nie jest to dobre miejsce dla śmiertelników.

Jego głos brzmiał tak, jakby miał problemy z wyduszeniem z siebie ostatniego kawałka zdania.

Zakładałem, że pani Chase zaprotestuje. W sumie który śmiertelny rodzic pożyczyłby trójce nieletnich samochod? Ale ku mojemu zaskoczeniu ona skinęła głową.

- W takim razie niech lepiej już jadą.

- Świetnie! - Pan Chase podskoczył i zaczął obmacywać kieszenie. - Kluczyki...

Jego żona westchnęła.

- Oj, Fryderyku. Ty byś zgubił własną głowę, gdybyś nie trzymał jej w tej pilotce. Kluczyki wiszą na kółku przy drzwiach wejściowych.

- Jasne! - wykrzyknął ojciec Annabeth.

Zoe chwyciła kanapkę.

- Dziękujemy państwu. Musimy już iść. Szybko.

Wybiegliśmy z pokoju i pognaliśmy na dół po schodach, a państwo Chase pospieszyli za nami.

- Percy - zawołała pani Chase, gdy byłem w drzwiach - powiedz Annabeth... Powiedz jej, że tu wciąż jest jej dom, dobrze? Przypomnij jej o tym.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na chaos panujący w salonie, na przyrodnich braci mojej przyjaciółki rzucających klockami i kłócących się, i na cały dom pachnący ciastem. Fajne miejsce, pomyślałem.

- Powiem jej - obiecałem.

Pobiegliśmy do żółtego kabrioletu stojącego na podjeź-dzie. Słońce chyliło się ku zachodowi. Na moje oko mie-liśmy około godziny na ocalenie Annabeth.

- Czy to nie może jechać trochę szybciej? - zapytała Thalia.

Zoe rzuciła jej spojrzenie spode łba.

- Nie umiem kontrolować ruchu ulicznego.

- Mówicie obie jak moja mama - powiedziałem.

- Zamknij się! - krzyknęły jednym głosem.

Zoe przeciskała się przez korek na moście Golden Gate. Słońce niemal już dotykało horyzontu, kiedy wreszcie wjechaliśmy do hrabstwa Marin i zjechaliśmy z auto-strady.

Drogi tutaj były wariacko wąskie i wiły się przez las oraz zboczach gór nad stromymi wąwozami. Łowczyni ani na moment nie zwalniała.

- Dlaczego pachnie tu pastylkami na kaszel? - zapyta-łem.

- Eukaliptusy. - Zoe wskazała na wielkie drzewa przy drodze.

- To, co jedzą misie kolala?

- I potwory - odparła. - Uwielbiają żuć liście. Zwłaszcza smoki.

- Smoki żują liście eukaliptusa?

- Uwierz mi - powiedziała Zoe. - Gdybyś miał smoczy oddech, też żułbyś liście eukaliptusa.

Nie kłóciłem się, ale od tej chwili przyglądałem się dokładniej okolicy. Przed nami wznosiła się góra Tamal-pais. Jak na górę była chyba niewielka, ale kiedy do niej dojeżdżaliśmy, wyglądała na całkiem sporą.

- To jest Góra Rozpaczy? - zapytałem.

- Tak - powiedziała twardo Zoe.

- Dlaczego się tak nazywa?

Milczała przez chwilę zanim mi odpowiedziała.

- Po wojnie z bogami wielu tytanów zostało ukaranych i uwięzionych. Kronosa poszatковано na kawałki i wrzucono do Tartaru. Przyboczny Tartaru, głównodowodzący jego sił został natomiast uwięziony tutaj, na sa-mej górze, tuż przy granicy Ogrodu Hesperyd.

- Generał - powiedziałem. Wokół szczytu kłębiły się chmury, jakby sama góra je przeciągała i wprawiała w ruch wirowy.

- Co tam się dzieje? Burza?

Zoe nie odpowiedziała. Miałem wrażenie, że wie dokła-dnie, co oznaczają te chmury, i nie podoba jej się to.

- Musimy się skoncentrować - powiedziała Thalia. - Mgła jest tu bardzo gęsta.

- Magiczna czy naturalna? - zapytałem.

- Obie.

Szare chmury wokół szczytu stawały się coraz gęstsze, a my zmierzaliśmy dokładnie w ich kierunku. Wyjecha-liśmy już z lasu na otwartą przestrzeń pełną urwisk, trawy, skał i mgły.

W pewnej chwili, kiedy mijaliśmy zakręt z pięknym widokiem, spojrzalem w dół na ocean i dostrzegłem coś, co sprawiło, że podskoczyłem na siedzeniu.

- Patrzcie!

Ale kiedy minęliśmy zakręt, ocean znikł za wzgórzem.

- Co? - zapytała Thalia.

- Wielki biały statek - powiedziałem. - Zacumowany na plaży. Wyglądał jak liniowiec.

Zdumiała się.

- Okręt Luke'a?

Bardzo chciałem powiedzieć, że nie jestem pewny. Że to może zbieg okoliczności. Ale wiedziałem, że jest inaczej.

"Księżniczka Andromeda", demoniczny liniowiec Luke'a

cumował na plaży. Dlatego właśnie posłał statek do Ka-nału Panamskiego. To jedyna droga ze Wschodniego Wybrzeża do Kaliforni.

- Wygląda na to, że będziemy mieć towarzystwo - powiedziała ponuro Łowczyni. - Armie Kronosa.

Miałem właśnie odpowiedzieć, kiedy nagle poczułem, że włosy jeżą mi się na głowie.

- Hamuj! JUŻ! - krzyknęła Thalia.

Zoe musiała pierwsza wyczuć, że coś jest nie w porządku, ponieważ sama wcisnęła hamulec. Żółty volkswagen obrócił się dwa razy wokół własnej osi, po czym zatrzymał się na samej krawędzi urwiska.

- Wysiadać!

Thalia otworzyła drzwiczki i popchnęła mnie mocno. Wypadliśmy oboje na pobocze.

Sekundę później usłyszeliśmy *BUUUM!*

Zobaczyliśmy błysk i samochód pana Chase'a eksplodował niczym kanarkowy granat. Odłamki zapewne by mnie zabiły, gdyby nie tarcza Thalii, która rozwinęła się nade mną. Usłyszałem zgrzyt metalu, a kiedy otwarłem oczy, byliśmy w samym środku szczątków samochodu. Kawałek błotnika wbił się w asfalt, a dymiąca maska wirowała na drodze. Całą szosę pokrywały kawałki żółtej karoserii.

Starłem się pozbyć dymu z ust i spojrzałem na Thalię.

- Uratowałaś mi życie.

- *Jednemu śmierć ręką rodzica zadana* - mruknęła pod nosem.

- Niech go. Chce mnie zniszczyć? Mnie?

Dopiero po chwili zorientowałem się, że mówi o swoim ojcu.

- Ej, nie, to nie mógł być piorun Zeusa. Niemożliwe.

- W takim razie czyj? - zapytała buńczusznie Thalia.

- Nie wiem. Zoe wypowiedziała imię Kronosa. Może on...

Potrząsnęła głową ze złością i oszołomieniem.

- Nie. To nie to.

- Czekaj - powiedziałem. - Gdzie jest Zoe? Zoe?

Podnieśliśmy się oboje i obiegliśmy wrak volkswagena. W środku nie było nikogo. Nic nie znaleźliśmy też nig-dzie na drodze. Zajrzałem w dół urwiska. Ani śladu Łowczyni.

- Zoe! - zawołałem.

Pojawiła się nagle u mojego boku, ciągnąc mnie za rękę.

- Cicho, głupku! Chcesz obudzić Ladona?

- To jesteśmy na miejscu?

- Bardzo blisko - powiedziała. - Chodźcie ze mną.

Kłębu mgły snuły się po drodze. Zoe weszła w jeden z nich, a kiedy mgła się rozstąpiła, nie zobaczyliśmy jej. Spojrzeliśmy po sobie z Thalią.

- Myśl o Zoe - poradziła mi Thalia. - Idziemy za nią. Wejdz prosto w mgłę i pamiętaj o tym.

- Zaczekaj, Thalia. To, co się stało na nabrzeżu... To znaczy mantikora i ta ofiara.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać.

- Ty chyba nie zamierzałaś... No wiesz?

Zawachała się.

- Byłam w szoku. I tyle.

- Zeus nie zesłał tej błyskawicy. To był Kronos. On chce tobą manipulować, żebyś była wściekła na tatę.

Wzięła głęboki wdech.

- Percy, ja wiem, że ty starasz się poprawić mi nastrój. Dzięki. Ale daj spokój. Musimy iść.

Weszła w mgłę - i w Mgłę - a ja za nią.

Kiedy się rozjaśniła, stałem nadal na górskim zboczu, ale asfalt zniknął. Trawa była gęstsza. Zachodzące słońce rzucało krwawą smugę na wody oceanu. Na szczyt wiodła tylko jedna

ścieżka, zaczynająca się tuż przed nami. Prowadziła przez wspaniałą łąkę, na której migo-tały cienie i kwiaty: ogród zmierzchu, dokładnie taki jak w moim śnie. Gdyby nie ogromny smok, ogród byłby najpiękniejszym miejscem, jakie kiedykolwiek widziałem. Trawa skrzyła się srebrem w wieczornym świetle, a kwiaty miały tak żywe kolory, że niemal świeciły w ciemności. Po obu stronach wysokiej na pięć pięter jabłoni biegły ścieżki wyłożone gładkim czarnym marmurem, a na gałęziach drzewa połyskiwały złote owoce - i nie mam tu na myśli żółtych jabłek z warzywniaka. To prawdziwe złote jabł-ka. Nie potrafię opisać, dlaczego są tak pociągające, ale gdy tylko poczułem ich zapach, wiedziałem, że jeden kęs byłby najsmaczniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek miałem w ustach.

- Jabłka nieśmiertelności - powiedziała Thalia. - Ślub-ny prezent Zeusa dla Hery.

Miałem ochotę podejść i zerwać jedno z nich, ale peszył mnie smok zwinięty wokół pnia. Okej, nie wiem, co sobie wyobrażacie, kiedy mówię *smok*. Cokolwiek przy-chodzi wam na myśl, nie jest dość przerażające. Ciało tego gada było grube jak rakieta lśniaca miedzianymi łuskami. Miał więcej głów niż mogłem zliczyć, jakby ktoś powiązał w pęczek setkę śmiertelnie groźnych pyto-nów. Zdawało mi się, że śpi. Głowy leżały zwinięte na trawie, przypominając olbrzymią porcję spaghetti, a wszystkie oczy były zamknięte.

Nagle cienie przed nami się poruszyły. Rozległ się piękny, choć dziwny śpiew, jakby głosy dobiegały z wnętrza studni. Sięgnąłem po Orkan, ale Zoe powstrzy-mała mnie. Przed nami pojawiły się cztery postacie, cztery młode kobiety bardzo podobne do Zoe. Wszystkie miały na sobie greckie chitony. Ich skóra miała karne-lowy

odcień. Jedwabiste czarne włosy opadały luźno na ramiona. To dziwne, ale nigdy nie zauważyłem jak piękna była Zoe - dopóki nie zobaczyłem jej sióstr, Hesperyd. Wyglądały tak samo jak ona: olśniewająco i zapewne bardzo niebezpiecznie.

- Siostry - odezwała się Zoe.

- Nie widzimy żadnej siostry - odparła jedna z dziewcząt chłodno. - Widzimy dwoje herosów i Łowczynię. I wszyscy oni za chwilę zginą.

- Poplątało wam się - zrobiłem krok do przodu. - Nikt nie będzie ginął.

Dziewczęta przyglądały mi się uważnie. Ich oczy przypominały obsylian: były błyszczące i całkowicie czarne.

- Perseusz Jackson - powiedziała jedna z nich.

- Owszem - zamyśliła się druga. - Nie wiem, dlaczego miałby stanowić zagrożenie.

- Kto mówi, że stanowię zagrożenie?

Jedna z Hesperyd obejrzała się za siebie, w kierunku szczytu góry.

- Boją się ciebie. Są niezadowoleni, że ona cię jeszcze nie zabiła - wskazała na Thalię.

- Czasem czuję pokusę - przyznała Thalia. - Ale dzięki-ję, jednak nie. To mój kumpel.

- Tu nie ma przyjaciół, córko Zeusa - powiedziała dziewczyna.

- Tylko wrogowie. Zawróćcie.

- Nie odejdziemy bez Annabeth - oświadczyła Thalia.

- I Artemidy - dodała Zoe. - Musimy podejść do góry.

- Wiesz, że on cię zabije - powiedziała dziewczyna. - Nie jesteś dla niego żadnym przeciwnikiem.

- Musimy uwolnić Artemidę - upierała się Zoe. - Pozwólcie nam przejść.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Nie masz tu już żadnych praw. Wystarczy, że podnie-siemy głos, a Ladon się obudzi.

- Nie robi mi krzywdy - powiedziała Zoe.

- Nie? A co z twoimi tak zwanymi kumplami?

W tym momencie Zoe zrobiła ostatnią rzecz, jakiej bym się spodziewał.

- Ladonie! - krzyknęła. - *Zbudź się!*

Smok się poruszył, lśniąc niczym sterta miedziaków. Hesperydę krzyknęły i się rozpierzchnęły. Ich przywódczyni zwróciła się do Zoe.

- Oszalałaś?

- Zawsze brakowało ci odwagi, siostrze - powiedziała Zoe. - Na tym polega twój problem.

Smok Ladon wił się, wymachując na wszystkie strony setką głów i badając powietrze językami. Łowczyni zrobiła krok w jego kierunku z uniesionymi ramionami.

- Nie rób tego, Zoe - powiedziała Thalia. - Już nie jesteś Hesperydą. On cię zabije.

- Ladon jest wytresowany, żeby pilnował drzewa - odparła. - Przemknijcie się obrzeżem ogrodu. Idźcie na górę. Dopóki to ja stanowię największe zagrożenie, nie powinien zwrócić na was uwagi.

- *Nie powinien* - powtórzyłem. - To nie brzmi zbyt za chęcająco.

- To jedyny sposób - powiedziała. - Nawet w trójkę nie mamy szans przeciwko niemu.

Ladon otworzył pyski. Na dźwięk setki syczących jednocześnie głów przeszedł mnie dreszcz, i to jeszcze zanim doszedł do mnie zapach. Jego oddech był niczym kwas. Zapiekle mnie oczy, skóra zaswędziała, a włosy stanęły mi na głowie. Przypomniało mi się, jak kiedyś w środku lata szczur

zdechł w ścianie naszego nowojor-skiego mieszkania. Ten smród był podobny, ale sto razy mocniejszy, no i zmieszany z zapachem przeżutych liści eukaliptusa. Przysięgłem sobie wtedy, że nigdy już nie poproszę szkolnej pielęgniarki o pastylki na kaszel.

Chciałem unieść miecz, ale przypomniał mi się sen o Zoe i Heraklesie. Zwłaszcza to, że Heraklesowi nie po-wiódł się atak frontalny. Uznałem, że lepiej zaufać Łow-czyni i jej ocenie sytuacji.

Thalia skierowała się na lewo, a ja na prawo. Zoe szła środkiem ku potworowi.

- To ja, mój mały smoczku - powiedziała. - Zoe wróciła.

Ladon wychylił się do przodu, po czym cofnął. Niektóre z pysków się zamknęły. Inne nadal syczały. Smok nie wiedział, co robić. Hesperydę tymczasem zamigotały i zamieniły się w cienie.

- Głupia - szepnął głos najstarszej.

- Jadałeś mi z ręki - ciągnęła Zoe uspokajającym głó-sem, podchodząc do złotego drzewa. - Dalej lubisz jag-nięcinę?

Oczy smoka rozbłyły.

Thalia i ja doszliśmy już do połowy ogrodu. Przed nami biegła wąska kamienna ścieżka wiodąca na czarny wierzchołek góry. Na szczycie szalała burza wirując, jakby to tu znajdowała się oś świata.

Doszliśmy już prawie do końca ścieżki, kiedy coś poszło nie tak. Poczułem, że nastrój smoka się zmienia. Może Zoe za blisko się zbliżyła, a może to on uznał, że jest głodny. W każdym razie rzucił się na nią.

Dwa tysiące lat cwiczeń ocaliły jej życie. Uskoczyła przed jednym zestawem ostrych kłów i przeskoczyła pod drugim, wymykając się smoczym głowom, i zaczęła biec w naszym

kierunku, ledwie łapiąc oddech z powodu straszliwych wyziewów z paszcz potwora. Wyjąłem miecz, by ruszyć jej na odsiecz.

- Nie! - wy dyszała. - Biegnij!

Smok kłapnął, a Zoe krzyknęła. Thalia odkryła Egidę i potwór syknął. W tym momencie kiedy się zawahał, Zoe przebiegła koło nas w kierunku szczytu, a my pognaliś-my za nią.

Nie próbował nas gonić. Syczał i tupał, ale był dobrze wytresowany do strzeżenia drzewa. Nie dało się go wy-wabiec nawet perspektywą smacznego obiadu z herosów.

Biegliśmy w górę zbocza, kiedy Hesperydę podjęły na nowo pieśń w mroku za naszymi plecami. Muzyka nie wydawała mi się już tak piękna - brzmiała raczej pog-rzebowo.

Na szczycie góry zobaczyliśmy ruiny: wielkie jak domy bloki czarnego granitu i marmuru. Połamane kolumny. Spiżowe posągi jakby na pół stopione.

- Ruiny góry Othrys - szepnęła do mnie Thalia.

- Tak - powiedziała Łowczyni. - Nie było ich tu wczesniej. Niedobrze.

- Co to jest góra Othrys? - zapytałem, znowu czując się jak ignorant.

- Górską forteca tytanów - wyjaśniła Zoe. - Podczas pierwszej wojny Olimp i Othrys były rywalizującymi stolicami świata. Othrys została... - skrzywiła się i chwyciła za bok.

- Jesteś ranna - powiedziałem. - Pokaż.

- Nie! To nic takiego. Co to ja mówiłam? W pierwszej wojnie Othrys została zburzona.

- W takim razie... skąd się tu wzięła?

Thalia rozglądała się ostrożnie dookoła, kiedy brnęliś-my przez gruzy, mijając marmurowe bloki i połamane łuki.

- Ona przenosi się tak samo jak Olimp. Zawsze znajdu-je się na

obrzeżu cywilizacji. Ale to, że wylądowała tutaj, nie wróży dobrze.

- Dlaczego?

- To jest góra Atlasa - powiedziała Zoe. - On tu podtrzymuje...
- zamarła. Jej głos zadrżał rozpaczą. - On tu podtrzymywał nieboskłon.

Dotarliśmy do szczytu. Kilka metrów przed nami szare chmury kłębiły się gęstym wirem, tworząc lej, który nie-mał dotykał wierzchołka góry, ale tak naprawdę opierał się na ramionach dwunastoletniej dziewczyny o rudych włosach i podartej srebrzystej tunice: to była Artemida. Jej nogi przykuto do skały łańcuchami z niebiańskiego spiżu. To właśnie widziałem we śnie. To nie sklepienie jakskini podtrzymywała bogini. To był dach świata.

- Pani! - Łowczyni rzuciła się ku niej, ale Artemida ją powstrzymała.

- Nie! To pułapka. Musicie natychmiast odejść.

W jej głosie słyhać było napięcie. Po ciele spływał jej pot. Nigdy wcześniej nie widziałem cierpiącej bogini, ale ciężar nieboskłonu najwyraźniej przekraczał jej siły.

Zoe zapłakała. Podbiegła bliżej pomimo protestów Artemidy i pociągnęła za łańcuchy.

Za nami odezwał się dudniący głos.

- Och, ależ to wzruszające.

Odwróciliśmy się. Generał stał przed nami w swoim brązowym jedwabnym garniturze. Przy jego boku stał Luke i pół tuzina drakain przytrzymujących złoty sarkofag Kronosa. Obok Luke'a stała Annabeth. Miała ręce związane za plecami i knebel w ustach, a chłopak przy-ciskał ostrze miecza do jej gardła.

Nasze spojrzenia się spotkały. Miałem ochotę zadać jej tysiąc pytań. W jej wzroku było tylko jedno słowo: UCIEKAJ.

- Luke - burknęła Thalia. - Puść ją wolno.

Uśmiech na jego twarzy był słaby i blady. Mój nieprzyjaciel wyglądał jeszcze gorzej niż trzy dni temu w Waszyngtonie.

- Ta decyzja należy do Generała, Thalia. Ale miło cię znowu widzieć.

Thalia splunęła na niego.

Generał się zaśmiał.

- To tyle, jeśli chodzi o dawnych przyjaciół. Ale ty, Zoe... Dawno się nie widzieliśmy. Jak miewa się moja mała zdrajczyni? Miło mi cię zabić.

- Nie odpowiadaj - jęknęła Artemida. - Nie prowokuj go.

- Zaczekaj - powiedziałem. - Ty jesteś Atlase?

Generał przeniósł wzrok na mnie.

- Och, nawet najgłupszy z herosów w końcu doda dwa do dwóch. Tak, jestem Atlase, dowódcą tytanów i pos-trachem bogów. Gratuluję. Zabiję cię, jak tylko uporam się z tą okropną dziewczyną.

- Nie skrzywdzisz Zoe! - zawołałem. - Nie pozwolę ci!

Generał skrzywił się szyderczo.

- Nie masz prawa się mieszać, herosku. To sprawa rodzinna. Zmarszczyłem brwi.

- Sprawa rodzinna?

- Tak - powiedziała Zoe ponuro. - Atlas jest moim ojcem.

ROZDZIAŁ XVII

PODNOSZĘ MILIARD TON

Najgorsze było to, że dostrzegałem podobieństwo rodzinne. Atlas miał ten sam królewski wyraz twarzy co Zoe, to samo zimne i dumne spojrzenie, które ona miewała, kiedy się wściekła, ale u niego było ono znacznie bardziej złowrogie. Miał w sobie to wszystko, czego na początku nie lubiłem w Zoe, ale brakowało mu jej do-brych cech, które nauczyłem się w niej doceniać.

- Uwolnij Artemidę - zażądała Łowczyni.

Atlas podszedł do spętanej bogini.

- Może chciałabyś podźwignąć nieboskłon za nią? Zapraszam.

Zoe chciała coś powiedzieć, ale Artemida ją ubiegła.

- Nie! Nie proponuj tego! Zabraniam ci!

Atlas uśmiechnął się ironicznie. Ukląkł przy bogini i usiłował dotknąć jej twarzy, ale ona ugryzła go,omal nie pozbawiając palców.

- Ho, ho - zaśmiał się. - Widzisz, córeczko? Pan Artemida lubi swoje nowe zajęcie. Myślę, że możemy kolejno zatrudniać wszystkich Olimpijczyków do dźwignania mojego ciężaru, kiedy Pan Kronos powróci do władzy, a tu będzie znów nasz pałac. W ten sposób nauczymy słabe-uszy nieco pokory.

Spojrzałem na Annabeth, która rozpaczliwie usiłowała mi coś przekazać. Skinęła głową w kierunku Luke'a, aleja tylko gapiłem się na nią. Nie zauważyłem tego wcześniej, ale zmieniła się. W jej jasnych włosach widać było białe pasmo.

- To od podtrzymywania nieba - mruknęła Thalia, jak-by czytając mi w myślach. - Ten ciężar powinien ją zabić.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Dlaczego Artemida nie może po prostu puścić tego nieboskłonu?

Atlas się roześmiał.

- Jak ty niczego nie pojmujesz, młodzieńcze. To jest miejsce, w

którym po raz pierwszy spotkały się niebo i ziemia, gdzie Uranos i Gaj a spłodzili swoje potężne dzieci, tytanów. Niebo wciąż marzy o objęciach ziemi. Ktoś musi je trzymać z dala, żeby nie runęło i nie zgniotło tej góry oraz wszystkiego w promieniu stu kilometrów. Jak raz weźmiesz na ramiona ciężar, nie ma ucieczki - uśmiechnął się. - Chyba że ktoś zdejmie ci go z ramion. Podszedł do nas przyglądając się Thalii i mnie.

- A więc to są najlepsi herosi tych czasów, co? Nic rewelacyjnego.

- Walcz z nami - powiedziałem. - Wtedy się zobaczy.

- Czy bogowie niczego cię nie nauczyli? Nieśmiertelni nie walczą bezpośrednio ze śmiertelnikami. To poniżej naszej godności. Od tego mam Luke'a, żeby was pokonać.

- A więc jesteś tchórzem - powiedziałem.

W oczach Atlasa zapłonęła nienawiść. Z trudem zwrócił się teraz do Thalii.

- A co do ciebie, córko Zeusa, wygląda na to, że Luke się mylił.

- Nie myliłem się - wydukał chłopak. Wyglądał okropnie słabo i mówił tak, jakby każde słowo sprawiało mu ból. Gdybym nie czuł do niego takiej nienawiści, może zrobiłoby mi się go żal. - Thalio, wciąż możesz się do nas przyłączyć. Wezwij Ofioteura. On do ciebie przyjdzie. Patrz!

Machnął ręką i tuż koło nas pojawiło się jezioro: nie-wielkie oczko wodne otoczone czarnym marmurem, ale wystarczająco duże, by pomieścić zwierzę. Wyobrażałem sobie w nim mojego morskiego przyjaciela. Prawdę mówiąc im dłużej nad tym myślałem, tym bardziej byłem przekonany, że słyszę muczenie.

Nie myśl o nim! W mojej głowie odezwał się nagle głos Grovera. Łączy empatyczne. Czuję jego emocje. Grover z

przerażenia był na skraju wytrzymałości. *Nessie mi się wymyka. Zablokuj myśli!*

Spróbowałem opróżnić umysł. Z wszystkich sił myślałem o graczach w koszykówkę, deskorolkach, różnych rodzajach cukierków w sklepie mamy. O wszystkim, byle nie o wężowym byku.

- Thalio, wezwij Ofioteura - nalegał Luke. - Staniesz się potężniejsza od bogów.

- Luke... - w jej głosie brzmiał ból. - Co się z tobą stało?

- Nie pamiętasz naszych rozmów? Ile razy przeklinaliśmy bogów? Nasi ojcowie nic dla nas nie zrobili. Nie mają prawa rządzić światem!

Thalia pokręciła głową.

- Uwolnij Annabeth. Puść ją wolno.

- Jeśli się do mnie przyłączysz - obiecywał Luke - będzie jak dawniej. Nasza trójka znów razem. Będziemy walczyć o lepszy świat. Proszę, Thalio, jeśli się nie zgodzisz... - głos mu się załamał. - To moja ostatnia szansa. On posłuży się innym sposobem, jeśli się nie zgodzisz. Proszę.

Nie miałem pojęcia, o czym mówił, ale strach w jego głosie wydawał się autentyczny. Wierzyłem, że Luke jest w niebezpieczeństwie.

Jego życie zależało od tego, czy Thalia dołączy do jego sprawy. A ja się obawiałem, że ona może w to również uwierzyć.

- Nie rób tego, Thalio - ostrzegła ją Zoe. - Musimy z nimi walczyć.

Luke machnął ponownie ręką i tym razem pojawił się ogień. Spiżowy trójnóg, zupełnie jak ten na obozie. Ogień ofiarny.

- Thalia - powiedziałem. - Nie.

Złoty sarkofag, stojący za plecami chłopaka, zaczął błyszczeć.

W tej poświacie widziałem w otaczającej nas mgle obrazy: odbudowujące się mury czarnego marmuru, ściany podnoszące się z ruin, wznoszący się wokół nas straszliwy i piękny pałac zbudowany ze strachu i cienia.

- Odbudujemy w tym miejscu górę Othrys - obiecał Luke głosem tak pełnym napięcia, że prawie nie swoim. - Znów będzie ona większa i potężniejsza od Olimpu. Spójrz, Thalio, nie jesteśmy słabi.

Wskazał w kierunku oceanu i moje serce zamarło. Od miejsca, gdzie była przycumowana "Księżniczka Andromeda", maszerowała po zboczu góry wielka armia. Dra-kainy i lajstrygonowie, potwory i ludzie półkrwi, piekielne ogary, harpie i inne monstra, których nie potrafiłbym nawet nazwać. Musiał wyprowadzić wszystkich ze statku, ponieważ były ich setki, znacznie więcej, niż widzieliśmy na pokładzie zeszłego lata. I wszyscy oni zmierzali w naszym kierunku. Za kilka minut dotrą tutaj.

- To tylko przedsmak tego, co nastąpi - powiedział Luke. - Wkrótce będziemy na tyle silni, żeby zaatakować Obóz Herosów. A potem sam Olimp. Potrzebna jest nam tylko twoja pomoc.

Przez straszliwą chwilę Thalia się wahała. Patrzyła na niego wzrokiem pełnym bólu, jakby najbardziej na świecie pragnęła mu uwierzyć. Wtedy pochyliła włócznię.

- Nie jesteś sobą. Nie poznaję cię.

- Owszem, poznajesz, Thalio - błagał. - Proszę. Nie zmuszaj mnie... Nie zmuszaj go, żeby cię zniszczył.

Nie mieliśmy czasu. Jeśli ta armia dotrze na szczyt wzgórza, będziemy bez szans. Popatrzyłem znów prosto w oczy Annabeth. Skinęła głową.

Spojrzałem na Thalię i Zoe i uznałem, że śmierć w walce u

boku takich przyjaciół nie będzie najgorszą rzeczą na świecie. -
Już - powiedziałem. I razem rzuciliśmy się do ataku.

Thalia uderzyła prosto na Luke'a. Moc jej tarczy była tak ogromna, że smocze kobiety z gwardii rozbiegły się w panice, upuszczając złoty sarkofag i pozostawiając chłopca samego na placu boju. Pomimo chorobliwego wyglądu nie stracił nic ze sprawności w szermierce. Zawarczał jak dzikie zwierzę i przypuścił kontratak. Kiedy jego miecz, Szerszeń, zetknął się z tarczą Thalii, przebiegła między nimi błyskawica, napełniając powietrze żółtymi promieniami mocy.

A ja zrobiłem najgłupszą rzecz w moim życiu. Znając mnie, domyślacie się już, jak powalająco głupią. Zaatakowałem tytana Atlasa.

Roześmiał się na widok mojej szarży. W jego ręce poja-wił się ogromny oszczep. Jedwabny garnitur zamienił się w pełną grecką zbroję.

- Niech więc będzie!

- Percy! - krzyknęła Zoe. - Uważaj!

Wiedziałem przed czym mnie ostrzegała. Chejron powiedział mi dawno temu coś takiego: *Nieśmiertelni są ograniczeni przez starożytne zasady. Ale heros może iść wszędzie, wyzwac kogokolwiek, o ile ma odwagę.* Skoro już zaatakowałem, Atlas miał pełne prawo bronić się i atakować z użyciem całej swojej siły.

Zamachnąłem się mieczem, ale tytan odepchnął mnie drzewcem oszczepu. Poleciałem daleko i uderzyłem w czarną ścianę. To już nie była Mgła. Pałac podnosił się blok po bloku.

Stawał się prawdziwy.

- Głupcze! - krzyknął radośnie Atlas, odtrącając jedną ze strzał Zoe. - Sądziłeś, że pokonanie tego nędznego boga wojny daje ci prawo stawiać czoło także mnie?

Wzmianka o Aresie podziałała na mnie jak płachta na byka. Otrząsałem się i zaatakowałem ponownie. Gdybym zolał wskoczyć do tego jeziora z wodą, podwoiłbym moc.

Oszczep wystrzelił ku mnie jak kosa. Uniosłem Orkan w zamiarze przecięcia drzewca broni Atlasa, ale moja ręka była jak z ołowiu. Miecz nagle ważył tonę.

Przypomniało mi się ostrzeżenie Aresa wypowiedziane na plaży w Los Angeles tak dawno temu: *Kiedy będziesz potrzebował go najbardziej, twój miecz cię zawiedzie.*

Nie teraz! - błagałem w myślach. Jednak to nic nie dało. Usiłowałem uskoczyć, ale dostałem w pierś oszcze-pem, który rzucił mną jak szmacianą lalką. Uderzyłem o ziemię. W głowie mi się kreciło. Podniosłem wzrok i uświadomiłem sobie, że znalazłem się tuż koła Artemidy walczącej nadal z ciężarem nieboskłonu.

- Uciekaj, chłopcze - powiedziała do mnie. - Musisz czekać!

Atlas nie spieszył się, podchodząc do mnie. Straciłem miecz. Spadł za krawędź urwiska. Zapewne pojawi się z powrotem w kieszeni - może nawet za parę sekund - ale to nie będzie miało znaczenia. Do tego czasu będę już martwy. Luke i Thalia walczyli jak demony, sypiąc do-okoła błyskawicami. Annabeth leżała na ziemi, rozpaczliwie usiłując uwolnić ręce.

- Giń, herosku - powiedział tytan.

Uniósł oszczep, żeby mnie nadziać na ostrze.

- Nie! - krzyknęła Zoe i w jego ramieniu utkwiała garść srebrnych strzał.

- GRRR! - ryknął i zwrócił się w stronę córki.

Sięgnąłem dłonią do kieszeni i wyczułem w niej Orkan. Nie byłem w stanie walczyć z Atlasem, nawet mając miecz. W tym momencie poczułem dreszcz. Przypomniały mi się słowa przepowiedni: *Jednemu dane wytrwać pod klątwą tytana...* Nie miałem szans go pokonać. Ale był tu ktoś, kto mógł to zrobić.

- Niebo - powiedziałem do bogini. - Daj mi je.

- Nie, chłopcze - odparła Artemida. Jej czoło pokrywały kropelki lśniącego metalicznie niczym rtęć potu. - Nie masz pojęcia, o co prosisz. To cię zmiażdży!

- Annabeth dała radę!

- I ledwie przeżyła. Ona ma ducha prawdziwej Łowczy-ni. Ty nie wytrzymasz tak długo.

- Tak czy siak zginę - powiedziałem. - Daj mi ciężar nieba!

Nie czekałem na jej odpowiedź. Wyjąłem Orkan i przeciąłem łańcuchy. Potem podszedłem do niej i przyklęknałem na jedno kolano - wznosząc jednocześnie ręce - i dotknąłem ciężkich, zimnych chmur. Przez moment Artemida i ja trzymaliśmy brzemień razem. Była to naj-cięższa rzecz, jaką kiedykolwiek podnosiłem. Czułem się, jakby zgniatały mnie setki ciężarówek. Miałem ochotę zemdleć z bólu, ale oddychałem głęboko. Dam radę.

Artemida w końcu wyslizgnęła się spod nieboskłonu, który spoczywał teraz tylko na moich barkach.

Wiele razy usiłowałem później wytłumaczyć, jak się czułem. Nie potrafiłem.

Każdy mięsień mojego ciała palił jak ogień. Miałem wrażenie, że topią mi się kości. Chciałem wrzeszczeć, ale nie miałem dość siły, aby otworzyć usta. Zacząłem ugi-nac się coraz niżej do ziemi; ciężar nieba przygniatał mnie.

Walcz! - odezwał się głos Grovera w mojej głowie. Nie poddawaj się.

Skupiłem się na oddechu. Bylebym tylko zdołał utrzymać niebo w górze jeszcze przez kilka sekund. Pomyślałem o Biancie, która oddała życie za to, żebyśmy mogli tu dotrzeć. Skoro ona mogła to zrobić, to ja dam radę utrzymać niebo.

Obraz przed moimi oczami zamazywał się. Wszystko przybierało czerwonawy odcień. Docierały do mnie jakieś wyrywki bitwy, ale nie byłem pewny, czy widzę je dobrze. Był tam Atlas w pełnej zbroi wymachując oszczepem i śmiejący się szaleńczo podczas walki. I Artemida, która wyglądała jak smuga srebrna. Miała dwa straszliwe noże myśliwskie, każdy długości jej ręki, i dziko cięła nimi tytana, uskakując przed nim z niewiarygodną gracją. Zdawała się zmieniać kształt podczas tych uników. Była tygrysem, gazelą, niedźwiedziem, sokolem. A może to były tylko wymysły mojego przegrzanego mózgu. Zoe strzelała w swojego ojca bełtami, celując w szpary między częściami zbroi. Atlas ryczał z bólu, ilekroć trafiła, ale groty robiły mu tyle szkody co użądlenie pszczoły. Walczył tylko coraz zacieklej.

Thalia i Luke walczyli włócznią i mieczem, wciąż miotając wokół błyskawice. Dziewczyna samą aurą roztańczoną przez jej tarczę zmuszała go do cofania się. Nawet on nie był odporny na ten widok. Wycofywał się, wykrzywiając twarz i wyjąc z frustracji.

- Poddaj się! - krzyknęła. - Nigdy mnie nie pokonasz, Luke.

Wyszczerzył zęby.

- Zobaczymy, przyjaciółko z dawnych lat.

Po mojej twarzy lał się pot. Ręce robiły się śliskie. Barki krzyczałyby z bólu, gdyby tylko mogły. Czułem się tak, jakby ktoś spawał mi kręgi lutownicą.

Atlas nacierał na Artemidę, coraz bardziej przypierając ją do muru. Była szybka, ale on miał niewiarygodną siłę. Jego oszczep

wbił się w ziemię w miejscu, gdzie bogini stała jeszcze ułamek sekundy wcześniej, otwierając szczelinę w skale. Tytan przeskoczył tę nową przeszkodę i napierał dalej. Artemida prowadziła go z powrotem w moim kierunku.

Bądź gotów, odezwała się w moim umyśle.

Ból sprawiał, że zaczynałem tracić zdolność myślenia. Odpowiedziałem więc coś w stylu *Aggggch-olllllllll*.

- Nieźle walczysz, jak na dziewczynę - zaśmiał się Atlas. - Ale żaden z ciebie przeciwnik dla mnie.

Zasymulował uderzenie ostrzem oszczepu, a Artemida uskoczyła. Dostrzegłem, co zamierzał. Zamachnął się drzewcem i podciął jej nogi. Upadła, a on uniósł oszczep, by ją zabić.

- Nie! - krzyknęła Zoe. Skoczyła między ojca a boginią i wystrzeliła tytanowi prosto w czoło. Strzała utkwiała między jego oczami niczym róg jednorożca. Atlas ryknął z wściekłości. Wierzchem dłoni odepchnął córkę na bok, aż uderzyła w czarne skały.

Chciałem ją zawołać, biec jej na pomoc, ale nie mogłem ani się odezwac, ani poruszyć. Nie widziałem nawet, gdzie wylądowała Zoe. Atlas odwróciła się do Artemidy z wyrazem tryumfu na twarzy. Bogini wyglądała na ranną. Nie ruszała się.

- Pierwsza krew w nowej wojnie - oświadczył tonem przechwałek. I uderzył.

Szybka jak myśl Artemida chwyciła drzewce oszczepu, które wbiło się w ziemię tuż koło niej, i odepchnęła się do tyłu, wykorzystując oszczep jako dźwignię. Kopnęła tytana z całej siły. Zobaczyłem jak leciał wprost na mnie i uświadomiłem sobie, co się stanie.

Rozluźniłem uchwyt nieba, a kiedy Atlas uderzył we mnie, nie próbowałem dalej podtrzymywac brzemienia. Pozwoliłem, żeby mnie wypchnęło spod chmur, i odto-czyłem się, najdalej jak

mogłem.

Cały ciężar nieba runął na jego bark, omal nie przygniatając go do ziemi, ale tytan zdołał podnieść się na kolana i próbował teraz wydostać się spod nieboskłonu. Było jednak za późno.

- Nieceee! - ryknął tak głośno, że góra zadrżała w posadach.
-Tylko nie to!

Atlas został uwięziony pod swoim dawnym brzemieniem.

Usiłowałem stanąć na nogach, ale upadłem zamroczony bólem. Miałem wrażenie, że całe ciało mi płonie.

Thalia zapędziła Luke'a na krawędź urwiska, lecz walczyli nadal, tuż obok złotego sarkofagu. Thalia miała łzy w oczach, a przez pierś Luke'a biegła krwawa szrama. Jego pobladła twarz lśniła od potu.

Skoczył do Thalii, ale ona uderzyła go tarczą. Miecz wyslizgnął mu się z ręki i upadł z brzękiem na kamieniu. Thalia przyłożyła mu grot włóczni do gardła.

Przez chwilę panowało milczenie.

- No i co? - zapytał Luke. Starał się to ukryć, ale słyszałem w jego głosie strach.

Dziewczyna dygotała z wściekłości.

Za nią, chwiejąc się, stanęła Annabeth, której wreszcie udało się uwolnić z więzów. Twarz miała posiniaczoną i brudną.

- Nie zabijaj go!

- To zdrajca - powiedziała Thalia. - Zdrajca!

Pomimo oszołomienia uświadomiłem sobie, że nie ma już przy mnie Artemidy. Pobiegnęła ku czarnym skałom, gdzie upadła Zoe.

- Przeprowadzimy go z powrotem - błagała Annabeth. - Na Olimp. On... on może się jeszcze przydać.

- Tego pragniesz, Thalio? - spytał szyderczo Luke. - Tryumfalnego powrotu na Olimp? Żeby ucieszyć tatu-sia?

Thalia się zawahała, a chłopak podjął rozpaczliwy wysiłek

wyrwania jej włóczni.

- Nie! - krzyknęła Annabeth.

Ale było już za późno. Thalia odruchowo odepchnęła go od siebie. Stracił równowagę, na jego twarzy odmalował się strach i runął w przepaść.

- Luke! - wrzasnęła Annabeth.

Pobiegliśmy do krawędzi urwiska. Pod nami żołnierze maszerujący z "Księżniczki Andromedy" zatrzymali się zdumieni. Wpatrywali się w bezwładne ciało Luke'a leżące na skałach. Pomimo całej do niego nienawiści nie byłem w stanie na to patrzeć. Chciałem wierzyć, że on przeżył, ale to było niemożliwe. Spadł z co najmniej piętnastu metrów i się nie poruszał.

Jeden z gigantów spojrział w górę i ryknął:

- Zabic ich!

Thalia zamarła z bólu, po policzkach ciekły jej łzy. Pociągnąłem ją do tyłu, kiedy spadł na nas grad oszczerstw. Popędziliśmy ku skałom, nie zwracając uwagi na przekleństwa i groźby, jakimi rączył nas Atlas, kiedy go mijaliśmy.

- Artemido! - krzyknąłem.

Bogini podniosła wzrok, a na jej obliczu malował się niemal taki sam smutek jak na twarzy Thalii. Zoe leżała w jej ramionach. Oddychała. Miała otwarte oczy. A jednak...

- Rana jest zatruta - powiedziała Artemida.

- Atlas ją otruł? - zapytałem.

- Nie - odparła bogini. - Nie Atlas.

Pokazała nam ranę w boku Zoe. Zdażyłem zapomnieć, że Ladon ją drasnął. Nie powiedziała nam, że z ukąszeniem było aż tak źle. Ledwie mogłem na nie patrzeć. Zoe poszła do walki ze swoim ojcem ze straszliwą raną, która już pozbawiła ją sporo sił.

- Gwiazdy - wymamrotała Łowczyni. - Nie widzę gwiazd.

- Nektar i ambrozja! - zawołałem. - Hej! Ktoś chyba ma trochę. Nikt się nie poruszył. W powietrzu czuć było smutek. Armia Kronosa znajdowała się tuż za krawędzią skał. Nawet Artemida była zbyt oszołomiona, żeby się poru-szyć. Niewiele brakowało, żebyśmy wtedy po prostu dali się zabić, ale nagle usłyszałem dziwaczne buczenie.

W chwili, gdy armia potworów wynurzała się zza wzgórze, z nieba zanurkował myśliwiec Sopwith Camel.

- Zostawcie moją córkę! - krzyknął pan Chase i uruchomił karabiny maszynowe, siekąc ziemię kulami i zmu-szając całą gromadę potworów do rozsyпки.

- Tato? - zawołała Annabeth z niedowierzaniem.

- Uciekajcie! - usłyszeliśmy głos, słabnący, ponieważ dwupłatowiec właśnie nas minął.

To otrzeźwiło Artemidę. Spojrzała na staroświecki samolot, który właśnie zawracał, szykując się do kolejnego ostrzału.

- Dzielny człowiek - powiedziała z niechętnym podzi-wem. - Chodźmy, musimy ją stąd zabrać.

Uniosła swój myśliwski róg do ust, a jego czysty dźwięk poniósł się echem po dolinach hrabstwa Marin. Oczy Zoe biegały na wszystkie strony.

- Trzymaj się! - powiedziałem do niej. - Wszystko będzie dobrze!

Sopwith Camel nadleciał znowu. Kilku gigantów rzuci-ło oszczepami w samolot; jeden poleciał nawet dokładnie między skrzydła, ale karabiny maszynowe zaterkotały. Uświadomiłem sobie ze zdumieniem, że pan Chase musiał w jakiś sposób zdobyć niebiański spiż na pociski. Pierwszy szereg węzowych kobiet zawył, kiedy kule zmieniły je w proszek, żółty jak siarka.

- To... To mój tato! - powiedziała ze zdumieniem Anna-beth.

Nie mieliśmy czasu na podziwianie jego powietrznych

akrobacji. Giganci i drakainy już otrząsali się z pierw-szego zaskoczenia. Jeszcze chwila i pan Chase mógł znaleźć się w tarapatach.

W tej samej chwili światło księżycyca pojaśniało, a z nieba spłynął srebrny rydwan ciągnięty przez najpię-kniejsze jelenie, jakie w życiu widziałem. Wylądował tuż koło nas.

- Wsiadajcie - powiedziała Artemida.

Ja i Annabeth wepchnęliśmy Thalię na pokład. Następnie pomogłem bogini zabrać Zoe. Owinęliśmy ją w koc, a Artemida pociągnęła za wodze i rydwan wystartował z wierzchołka góry prosto w powietrze.

- Jak sanie Świętego Mikołaja - mruknąłem, wciąż pół-żywy z bólu.

Artemida posłała mi długie spojrzenie.

- Zgadza się, młody herosie. A jak myślisz, skąd wzięła się ta legenda?

Widząc, że bezpiecznie odlatujemy, pan Chase zawrócił dwupłatowiec i leciał za nami niczym gwardia honoro-wa. Musiał to być jeden z najdziwaczniejszych widoków nawet jak na standardy San Francisco: srebrny latający rydwan ciągnięty przez jelenie w eskorcie myśliwca z czasów pierwszej wojny światowej.

Za nami zebrana na szczycie góry Tamalpais armia Kronosa ryczała z wściekłości, ale ponad wszystkie głosy wybijało się wycie Atlasa miotającego spod nieboskłonu przekleństwa na bogów.

ROZDZIAŁ XVIII

POŻEGNANIE PRZYJACIÓŁKI

Wylądowaliśmy w parku Crissy Field po zmroku.

Kiedy tylko pan Chase wysiadł ze swojego myśliwca, Annabeth podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję.

- Tato! Ty przyleciałeś... Ty strzelałeś... Och, bogowie! To było najwspanialsze, co w życiu widziałam!

Jej ojciec się zarumienił.

- Chyba nie najgorzej, jak na śmiertelnika w średnim wieku.

- A kule z niebiańskiego spizu? Skąd je miałeś?

- Ach, to. Zostawiłaś całkiem sporo tej waszej broni w twoim pokoju w Wirginii, kiedy ostatnio... wyjechałaś.

Annabeth spuściła wzrok, zawstydzona. Pan Chase bardzo starannie uniknął stwierdzenia, że uciekła z domu.

- Postanowiłem stopić niektóre, żeby zrobić z nich łuski pocisków - ciągnął. - W ramach niewielkiego ekspery-mentu.

Powiedział to tak, jakby nie było w tym nic szczególne-go, ale miał ten błysk w oku. Nagle zrozumiałem, dla-czego Atena, bogini rzemiosł i mądrości, polubiła tego człowieka. W głębi duszy był z niego doskonały szalony naukowiec.

- Tato... - głos Annabeth się załamał.

- Annabeth, Percy - przerwała jej Thalia nagłym tonem.

Ona i Artemida klęczała u boku Zoe, opatrując rany Łowczyni.

Podbiegliśmy na pomoc, ale niewiele mogliśmy zrobić. Nie mieliśmy ambrozji ani nektaru, a zwykłe lekarstwa nic by tu nie pomogły. Było ciemno, ale widziałem, że Zoe nie wygląda dobrze. Miała dreszcze, a lekka poświa-ta, która zazwyczaj unosiła się wokół niej, przybladła.

- Nie możesz wyleczyć jej magią? - spytałem Artemidę. - Bo wiesz... Jesteś boginią.

Wyglądała na zakłopotaną.

- Życie to delikatna sprawa, Percy. Jeśli Mojry postanowiły przeciąć nic, niewiele tu poradzę. Ale mogę spróbować.

Usiłowała położyć Zoe dłoń na boku, ale dziewczyna chwyciła ją za nadgarstek. Spojrzała bogini prosto w oczy i coś zaszło pomiędzy nami, jakieś porozumienie.

- Czy... dobrzem ci służyła? - szepnęła Zoe.

- Bardzo zaszczytnie - powiedziała cicho Artemida. - Byłaś najlepszą z moich towarzyszek.

Na twarzy Łowczyni pojawiła się ulga.

- Odpoczynek. Nareszcie.

- Mogę spróbować uleczyć truciznę, moja dzielna.

W tej chwili zorientowałem się, że to nie trucizna zabiła Zoe. To ostatni cios jej ojca. Zoe od początku wiedziała, że Wyrocznia mówiła o niej: to ona poniesie śmierć z ręki rodzica. A mimo to poszła na wyprawę. Postanowiła nas uratować, a wściekłość Atlasa Atlasa ją złamała.

Dostrzegła Thalię i wzięła ją za rękę.

- Przepraszam, że się wiecznie kłóciłyśmy - powiedziała Zoe. - Mogłyśmy być siostrami.

- To moja wina - odparła Thalia, mrugając powiekami. - Miałaś rację co do Luke'a, herosów, mężczyzn... co do wszystkiego.

- Może nie co do wszystkich mężczyzn - mruknęła Zoe, uśmiechając się słabo do mnie. - Masz nadal ten miecz, Percy?

Nie byłem w stanie myśleć, ale wyciągnąłem Orkan i włożyłem jej długopis do ręki. Z zadowoleniem zacisnęła na nim dłoń.

- Powiedziałeś prawdę, Percy Jacksonie. Nie jesteś jak... Herakles. Czuję się zaszczycona, że nosisz ten miecz.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

- Zoe... - powiedziałem.

- Gwiazdy - wyszeptała. - Znów widzę gwiazdy, o pani.

Po policzku Artemidy spłynęła łza.

- Tak, moja dzielna. Są bardzo piękne tej nocy.

- Gwiazdy - powtórzyła Zoe.

Utkwiła wzrok w nocnym nieboskłonie. I nie poruszyła się już więcej.

Thalia złożyła jej głowę na ziemi. Annabeth zdusiła szloch, a ojciec położył dłonie na jej ramionach. Patrzy-łem jak Artemida przytrzymuje dłoń na ustach Zoe i mówi parę słów po starogrecku. Srebrna smuga wypły-nęła spomiędzy warg Łowczyni wprost w ręce bogini, a jej ciało zamigotało i znikło.

Artemida wstała, wypowiedziała jakieś błogosławień-stwo, dmuchnęła w dłonie i wypuściła srebrny pył ku niebu. Poleciał, iskrząc, i znikł.

Przez moment nie zauważyłem niczego szczególnego. Nagle Annabeth krzyknęła. Spojrzałem na niebo i do-strzegłem, że gwiazdy stały się jaśniejsze. Tworzyły wzór, którego nigdy wcześniej nie widziałem - lśniąca konstelację przypominającą postać dziewczyny. Dziew-czyny z łukiem biegnącej przez nieboskłon.

- Niech świat odda ci cześć, moja Łowczyni - powiedzia-ła Artemida. - Żyj wiecznie wśród gwiazd.

Niełatwo było się pożegnać. Grzmoty i błyskawice wciąż szalały nad górą Tamalpais, nieco na północ od nas. Artemida była tak pogrążona w żalobie, że błyskała srebrnym światłem. Trochę mnie to niepokoiło, bo gdyby nagle przestała się kontrolować i pojawiła się przed nami w swej pełnej boskiej postaci, rozsypalibyśmy się na proch od samego jej widoku.

- Muszę natychmiast wracać na Olimp - powiedziała bogini.
-Nie mogę was zabrać, ale przyślę pomoc.

Położyła dłoń na ramieniu Annabeth.

- Jesteś nad wyraz dzielna, dziewczyno. Zrobisz to, co właściwe.

Następnie spojrzała zagadkowo na Thalię, jakby nie była pewna, co myśleć o tej młodszej córce Zeusa. Thalia niechętnie podniosła wzrok, ale kiedy w końcu coś ją do tego zmusiło, wytrzymała spojrzenie bogini. Nie wiedziałem, co się między nimi zdarzyło, ale wzrok Artemi-dy złagodniał i pojawiło się w nim współczucie. Następnie zwróciła się do mnie.

- Nieźle się spisałeś - powiedziała. - Jak na mężczyznę.

Chciałem protestować, ale wtedy uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy nie nazwała mnie chłopakiem. Artemida wsiadła do swojego rydwanu, który zaczął świecić. Odwróciliśmy wzrok. Na chwilę rozbłysło jas-krawe światło i bogini znikła.

- No - westchnął pan Chase. - Robi wrażenie, ale muszę przyznać, że nadal wolę Atenę.

Annabeth odwróciła się do niego.

- Tato... Przepraszam, że...

- Ciii - przytulił ją. - Rób, co trzeba, kochana. Wiem, że to nie jest dla ciebie łatwe.

Głos mu się lekko łamał, ale uśmiechnął się dzielnie do córku.

Chwilę później usłyszałem łopot wielkich skrzydeł. Z mgły wynurzyły się trzy pegazy: dwa białe skrzydlate konie i jeden czarny.

- Mroczny! - zawołałem.

Hej a, szefie! - odkrzyknął. *Udało ci się przeżyć beze mnie?*

- Było ciężko - przyznałem.

Przyprowadziłem Gwizdona i Szarlotkę.

Się masz? - odezwały się w moich myślach dwa pozostałe pegazy.

Mroczny obejrzał mnie z niepokojem, po czym przyjrzał się panu Chase, Thalii i Annabeth. *Czy to terroryści, których mamy stratać?*

- Nie - odpowiedziałem głośno. - To przyjaciele. Musi-my jak najszybciej dostać się na Olimp.

Nie ma problemu, powiedział Mroczny. Chyba że z tym śmiertelnikiem. Mam nadzieję, że on nie jedzie.

Zapewniłem go, że pan Chase nie wybiera się z nami. Profesor gapił się z otwartymi ustami na pegazy.

- Fascynujące - powiedział. - Co za zwrotność. Zastana-wiam się tylko, jak rozpiętość skrzydeł ma się do masy ciała konia...

Mroczny przechylił łeb. *Że cooo?*

- No wiesz, gdyby Brytyjczycy mieli takie pegazy w kawalerii podczas wojny krymskiej - powiedział pan Chase. - to szarża lekkiej brygady...

- Tato! - przerwała mu Annabeth.

Jej ojciec zamrugał. Spojrzał na córkę i uśmiechnął się niepewnie.

- Przepraszam, kochana, wiem, że musicie już jechać.

Uścisnął ją jeszcze raz serdecznie. Kiedy się odwróciła, wsiadając na pegaza imieniem Gwidon, pan Chase za-wołał za nią.

- Annabeth! Wiem... Wiem, że San Francisco to dla ciebie niebezpieczne miejsce. Ale pamiętaj, proszę, że u nas zawsze jest twój dom. Będziemy cię chronić.

Annabeth nie odpowiedziała, ale zobaczyłem, że ma zaczerwienione oczy, kiedy obróciła się na chwilę do mnie. Pan Chase chciał jeszcze coś dodać, ale najwyraźniej uznał, że lepiej nie. Uniósł rękę w smutnym poże-gnaniu i ruszył przed siebie przez ciemny park.

Nasza trójka dosiadła pegazów. Razem wznieśliśmy się nad

zatokę i poleciliśmy w kierunku wzgórz na wscho-dzie. Wkrótce San Francisco stało się jedynie jaśnieją-cym sierpem za nami, a na północy wciąż raz po raz się błyskało.

Thalia była tak wyczerpana, że zasnęła na grzbiecie Szarlotki. Wiedziałem, że musi być naprawdę potwornie zmęczona skoro zasnęła w locie pomimo lęku wysokości, ale nie miała się czego bać. Jej pegaz leciał spokojnie, cały czas pilnując, czy Thalia siedzi wygodnie na jego grzbiecie. Annabeth i ja lecieliśmy obok siebie.

- Twój tato wygląda na fajnego faceta - powiedziałem.

Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć jej minę. Spojrzała za siebie, mimo że zostawiliśmy Kalifornię daleko w tyle.

- Chyba tak - powiedziała. - Kłóciłam się z nim przez tyle lat.

- Tak mówiłaś.

- Myślisz, że kłamałam? - w jej głosie brzmiało wyzwa-nie, ale mało przekonujące, jakby raczej zadawała to pytanie samej sobie.

- Nie powiedziałem, że kłamałaś. Tylko, że... on jest fajny. Twoja macocha też. Może, no, stali się fajniejsi, odkąd ostatnio się z nimi widziałaś.

Zastanowiła się.

- Oni mieszkają w San Francisco, Percy. A ja nie mogę być tak daleko od obozu.

Nie chciałem zadawać następnego pytania. Bałem się odpowiedzi. Ale mimo to je zadałem.

- Co w takim razie teraz zrobisz?

Przelatywaliśmy nad miastem - wyspą świateł w morzu ciemności. Przemknęliśmy nad nim tak szybko, jakbyśmy podróżowali samolotem.

- Nie wiem - powiedziała. - Ale dzięki za ocalenie.
- E, nie ma sprawy. Jesteśmy kumplami.
- Nie wierzyłeś, że zginęłam.
- Ani przez moment.

Zawahała się.

- Ani ja, ani Luke, wiesz? To znaczy... On nie jest martwy. Spojrzałem na nią. Nie miałem pojęcia, czy załamuje się pod wpływem stresu. czy co.
- Annabeth on spadł z bardzo wysoka. Nie ma szans..
- On nie zginął - upierała się. - Wiem to. Tak samo jak ty wiedziałeś, że ja żyję.

To porównanie mnie nie zachwyciło.

Miasta przemykały teraz szybciej pod nami, przypominając raczej archipelagi światła, aż wszystko dole wyglądało jak migotliwy dywan. Zbliżał się świt. Niebo na wschodzie szarzało. A przed nami rozciągała się ogromna połać białozółtej poświaty: światła Nowego Jorku.

Co powiesz na takie tempo, szefie? - pochwalił się Mroczny. *Dostaniemy dodatkową porcję siana na śniadanie, prawda?*

- Dobry z ciebie gość, Mroczny - powiedziałem. - Znaczący się koń.

- Nie wierzysz mi, że Luke żyje - zaczęła znów Anna-beth - ale my go jeszcze zobaczymy. On ma straszne kłopoty, Percy. Jest w szponach zaklęcia Kronosa.

Nie miałem ochoty się kłócić, choć doprowadzało mnie to do szału. Jak ona może wciąż coś czuć do tego bydlaka? Jak może wymyślać usprawiedliwienia dla niego? Zasłużył na to, co go spotkało. Zasłużył... No dobra, powiem to. Zasłużył na śmierć. W przeciwieństwie do Bianki. W przeciwieństwie do Zoe. Luke nie mógł przeżyć. To byłoby nie fair.

- To już. - To był głos Thalii, obudziła się. Wskazywała ręką na

Manhattan, który w szybkim tempie rósł nam w oczach.

-Zaczęło się.

- Co się zaczęło? - zapytałem.

Po czym spojrzałem w kierunku, w którym wskazywała. Wysoko na Empire State Building Olimp stanowił osobną wyspę światła: unosząca się w powietrzu góra jaśniejąca ogniem pochodni i trójnogów. Biały marmur pałaców błyszczał w świetle poranka.

- Przesilenie zimowe - powiedziała Thalia. - Rada bogów.

ROZDZIAŁ XIX BOGOWIE

GŁOSUJĄ, JAK NAS ZABIĆ

Latanie jest wystarczającym problemem dla syna Posejdona, ale lot prosto do pałacu Zeusa, gdy wokół szaleją gromy i błyskawice, to już naprawdę przesada.

Zatoczyliśmy krąg nad środkowym Manhattanem, okrążając Olimp. Byłem tam tylko raz, jadąc windą na tajne sześćsetne piętro Empire State Building. Tym razem o ile to możliwe, Olimp zdumiał mnie jeszcze bardziej.

W półmroku świtu pochodnie i ogień sprawiały, że położone na zboczach gór pałace mieniły się dwudziestoma różnymi kolorami, od krwistej czerwieni po indygo. Najwyraźniej nikt na Olimpie nie spał. Kręte ulice były pełne półbogów, duchów natury i pomniejszych bóstw, spieszących dokądś na piechotę, na rydwanach i lektykach niesionych przez cyklopów. Zima jakby tu nie istniała. Wyczuwam zapach kwiatów: jaśminu, róż i

czegoś jeszcze słodsze, czego nawet nie umiałbym nazwać. Z wielu okien dobiegała muzyka: ciche dźwięki liry i trzciniowych piszczałek.

Na samym szczycie wznosił się największy pałac - lśniącobiała siedziba bogów.

Pegazy wylądowały na zewnętrznym dziedzińcu przed wielką srebrną bramą. Zanim zdążyłem pomyśleć, że można by zapukać, odrzwia otwarły się same.

Powodzenia, szefie - powiedział Mroczny.

- Ta. - Nie wiedziałem czemu, ale miałem zgubne prze-czucia. Nigdy nie widziałem wszystkich bogów razem. Miałem świadomość, że każdy z nich byłby w stanie zetrzeć mnie w proch, a kilku wręcz pragnęłoby tego.

Ej, gdybyś nie wrócił, mogę wziąć sobie twój domek na stajnię?

Spojrzałem na pegaza.

Tylko tak sobie pomyślałem, powiedział. *Wybacz.*

Odleciał wraz z kumplami, pozostawiając Thalię, Annabeth i mnie samych. Przez chwilę staliśmy, przyg-lądając się pałacowi, tak samo jak kiedyś - wydawało mi się, że to milion lat temu -przed Westover Hall.

A następnie całą trójką ruszyliśmy do sali tronowej.

Dwanaście ogromny tronów stało wokół centralnego paleniska, zupełnie jak domki w obozie. Sklepienie nad naszymi głowami rozjaśniały konstelacje - była tam nawet ta najnowsza - Zoe Łowczyni biegnąca przez nieboskłon z napiętym łukiem. Wszystkie trony były zajęte. Bogowie i boginie mieli po około pięciu metrów wysokości, a mówię wam, że kiedy zwraca się na

czło-wieka wzrok tuzina ogromnych i superpotężnych to... Cóż, nagle walka z potworami obniża się do rangi pinkniku.

- Witajcie, herosi - powiedziała Artemida.

- Muuu!

Wtedy właśnie zauważyłem Nessiego i Grovera.

Na środku pomieszczenia, tuż obok paleniska unosiła się kula wody, w której radośnie pływał Nessie, wyma-chując węzowym ogonem i bodąc głową wodne ścianki. Najwyraźniej bardzo mu się podobało to nowe doświa-dczenie: pływanie w magicznym bąblu. Grover klęczał przed tronem Zeusa, jakby właśnie składał raport, ale na nasz widok poderwał się i wykrzyknął:

- Udało się wam!

Ruszył ku nam biegiem, po czym przypomniał sobie, że właśnie odwrócił się tyłem do Zeusa, i spojrzął za siebie z prośbą o pozwolenie.

- Idź - powiedział gromowładny, który już nie zwracał na niego uwagi. Pan niebios wpatrywał się w Thalię.

Grover przyklusował do nas. Żaden z bogów się nie odzywał. Stukot kopyt satyra niósł się echem po mar-murowej posadzce. Nessie chlapnął wodą w swoim bąblu. Ogień na palenisku trzaskał.

Spojrzałem niepewnie na mojego ojca, Posejdona. Był ubrany podobnie jak podczas naszego poprzedniego spotkania: plażowe szorty, hawajska koszula, sandały. Miał zniszczoną wiatrem i spaloną słońcem twarz, ciem-ną brodę i ciemnozielone oczy. Nie byłem pewny, czy się ucieszy, widząc mnie znowu, ale w kącikach jego oczu dostrzegałem cień uśmiechu. Skinął głową, jakby mówił, że wszystko okej.

Grover uściskał mocno Annabeth i Thalię, a następnie chwycił mnie w ramiona.

- Percy, udało nam się z Nessiem! Ale musisz ich prze-konać!

Nie mogą tego zrobić!

- Czego? - zapytałem.

- Herosi - zawołała Artemida.

Bogini zstąpiła ze swego tronu i wróciła do zwykłych ludzkich rozmiarów, stając się znów młodą rudowłosą dziewczyną czującą się doskonale między gigantycznymi Olimpijczykami. Podeszła do nas w swej mieniącej się srebrem szacie. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Miałem wrażenie, że towarzyszą jej promienie księżyca.

- Rada została poinformowana o waszych dokonaniach - zwróciła się do nas. - Wiedzajuz, że na zachodzie odbu-dowuje się góra Othrys. Wiedzą o próbie uwolnienia Atlasa i zbierającej się armii Kronosa. Przegłosowaliś-my działanie.

Między bogami dało się słyszeć mamrotanie i szuranie, jakby nie wszystkim podobał się ten plan, ale nikt nie protestował.

- Na rozkaz mojego Pana, Zeusa - ciągnęła Artemida - ja i mój brat Apollo będziemy polować na najpotężniej-sze potwory, starając się pokonać je, zanim zdążą przy-łączyć się do armii tytanów. Pani Atena osobiście doko-na wizytacji pozostałych tytanów, aby się upewnić, że nie wymknęli się ze swoich więzień. Pan Posejdon otrzymał zgodę na zwrócenie swojego gniewu przeciwko "Księżniczce Andromedzie" i zatopienie jej. A jeśli chodzi o was, moi herosi...

Odwróciła się przodem do pozostałych nieśmiertelnych.

- Ci herosi oddali Olimpowi wielką przysługę. Czy ktoś ośmieli się temu zaprzeczyć?

Spojrzała na zgromadzonych bogów, patrząc każdemu pokolei w oczy. Zeus miał na sobie prążkowany garni-tur, jego czarna broda była elegancko przycięta, a w oczach płonęła energia. Obok niego siedziała piękna kobieta o srebrzystych włosach upiętych nad jednym

ramieniem i w sukni mieniającej się niczym pawi ogon: Pani Hera. Po prawej ręce Zeusa zasiadał mój ojciec Posejdon. Obok niego potężny mężczyzna z jedną nogą w stalowej klamrze, zniekształconą głową i zwichrzoną brązową brodą oraz płomykami tańczącymi na wąsach. Pan kowali, Hefajstos.

Hermes mrugnął do mnie. Dziś miał na sobie garnitur i cały czas sprawdzał wiadomości na swojej kaduceuszowej komórce. Apollo rozparł się na złotym tronie w ciemnych okularach i ze słuchawkami na uszach, więc nie byłem pewny, czy w ogóle słuchał, ale w każdym razie podniósł kciuk w górę w moim kierunku. Dionizos miał znudzoną minę i bawił się przekładaniem winogrona w palcach. A Ares, no cóż, siedział na swoim tronie z chromu i skóry, rzucając mi gniewne spojrzenia znad noża, który właśnie ostrzył.

Po stronie pań tuż obok Hery na tronie uplecionym z konarów jabłoni zasiadała ciemnowłosa bogini w zielonej szacie: Demeter, bogini zbiorów. Koło niej piękna szarooka kobieta w eleganckiej białej sukni. Mogła to być tylko matka Annabeth, Atena. Dalej siedziała Afrodyta, która uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo i sprawiła, że mimowolnie się zarumieniłem.

Wszyscy Olimpijczycy zgromadzeni w jednym miejscu. W tej sali zebrano tyle mocy, że cud, iż pałac nie wyleciał w powietrze.

- Muszę powiedzieć - Apollo przerwał milczenie - że dzieciaki spisały się świetnie. - Odchrząknął i zaczął re-cytować: - Heros zdobywa laur...

- Owszem, znakomicie - wtrącił się Hermes, jakby bardzo mu zależało na uniknięciu słuchania poezji. - Wszyscy są za tym, żeby ich nie unicestwiać?

Podniosło się niepewnie kilka rąk: Demeter, Afrodyta.

- Ej, momencik - burknął Ares, wskazując na Thalię i mnie. - Ta dwójka jest niebezpieczna. Byłoby znacznie lepiej, skoro już ich tu mamy...

- Aresie - przerwał mu Posejdon - to dzielni herosi. Nie rozszarpujemy mojego syna na strzępy.

- Ani mojej córki - mruknął Zeus. - Doskonale sobie poradziła. Thalia pokryła się rumieńcem i wbiła wzrok w podłogę. Widziałem, jak się czuła. Mnie rzadko zdarzało się rozmawiać z ojcem, nie mówiąc już o otrzymywaniu pochwał. Bogini Atena odchrząknęła i wyprostowała się.

- Ja też jestem dumna z mojej córki. Ale pozostała dwójka zagraża bezpieczeństwu.

- Mamo! - zawołała Annabeth. - Jak możesz...

Atena uciszyła ją spokojnym, ale nieznoszącym sprzeciwu spojrzeniem.

- To wielkie nieszczęście, że mój ojciec Zeus i wuj Posejdon złamali przysięgę, zobowiązującą ich do nieposiadania więcej potomstwa. Tylko Hades dotrzymał słowa, co wydaje się szczególną ironią. Jak wiemy z Wielkiej Przepowiedni, dzieci tej trójki starszych bogów... takie jak Thalia i Percy... stanowią niebezpieczeństwo. Jakkolwiek ograniczony byłby Ares, tutaj ma rację.

- Właśnie! - wykrzyknął bóg wojny. - Ej, chwileczkę. Kto niby jest...

Zaczął się podnosić, ale wokół jego torsu wyrosła winna latorośl, przytrzymując go na tronie niczym pas bezpieczeństwa.

- Proszę, Aresie - westchnął Dionizos. - Zostawmy kłótnie na później.

Ares zaklął i zerwał winorośl.

- Czekam na twoją opinię, pijaku. Naprawdę chcesz ocalić te

bachory? Dionizos rzucił nam zmęczone spojrzenie.

- Nie żywię do nich szczególnie ciepłych uczuć. Ateno, czy ty naprawdę uważasz, że najbezpieczniej będzie ich zniszczyć?

- Nie wydaję wyroków - odparła Atena. - Wskazuję je-dynie na zagrożenia. Rada postanowi, co uczynimy.

- Nie pozwolę ich ukarać - oznajmiła Artemida. - Osobi-ście dałabym im nagrody. Jeśli zaczniemy unicestwiać herosów, którzy oddają nam wielkie przysługi, okazemy się nie lepsi od tytanów. Jeśli tak ma wyglądać olimpij-ska sprawiedliwość, to ja nie chcę mieć z nią nic wspól-nego.

- Spokojnie, siostruś - powiedział Apollo. - Rozchmurz się.

- Nie mów do mnie *siostruś!* Ja bym ich nagrodziła.

- Dobrze - odezwał się Zeus. - Może to racja. Ale przy najmniej potwora trzeba zniszczyć. Czy w tej sprawie się zgadzamy?

Mnóstwo przytaknięć.

Zajął mi chwilę, zanim zorientowałem się, o czym mówili. I serce zaciążyło mi w piersi jak ołów.

- Nessie? Chcecie zniszczyć Nessiego?

- Muuuuuuu! - zaprotestowało zwierzę.

Mój ojciec zmarszczył brwi.

- Dałeś Ofiotaurowi na imię Nessie?

- Tato - powiedziałem - to tylko morskie stworzenie. Bardzo miłe morskie stworzenie. Nie możesz pozwolić go zniszczyć.

Posejdon poruszył się niepewnie na tronie.

- Percy, potęga tego potwora jak wielka. Gdyby tytani go wykradli albo...

- Nie możesz - nalegałem. Spojrzałem na Zeusa: zape-wne powinienem się go lękać, ale patrzyłem mu prosto w oczy. - Próby manipulowania przepowiedniami nigdy się nie udają,

nieprawdaż? Poza tym Ness... Ofiataur jest niewinny. Zabijanie kogoś takiego jest złe. Tak złe jak... jak zjedzenie przez Kronosa jego dzieci z powodu czegoś, czego mogłyby dokonać. To jest po prostu złe!

Zeus sprawiał wrażenie, jakby zstawał się nad moimi słowami. Jego wzrok powędrował ku Thalii.

- A co z ryzykiem? Kronos wie doskonale, że gdyby któreś z was złożyło w ofierze wnętrzności tego stworze-nia, otrzymałoby moc zdolną nas obalić. Myślicie, że możemy pozwolić, żeby takie ryzyko nadal istniało? Ty, moja córko, jutro kończysz szesnaście lat, jak stoi w przepowiedni.

- Musisz im zaufać - odezwała się Annabeth. - Panie, musisz im zaufać.

Zeus spojrział na nią wilkiem.

- Zaufać herosom?

- Annabeth ma rację - powiedziała Artemida. - Dlatego właśnie muszę najpierw przyznać nagrodę. Moja wierna towarzyszka Zoe Nightshade powędrowała między gwia-zdy. Potrzebuję nowego porucznika. I zamierzam doko-nać wyboru. Ale najpierw, Ojczy Zeusie, muszę z tobą porozmawiać prywatnie. Gromowładny pokazał jej, żeby podeszła. Nachylił się i słuchał uważnie tego, co mu szeptała do ucha. Poczułem, że chwytam mnie paniczny strach.

- Annabeth - powiedziała cicho. - Nie.

Spojrzała na mnie krzywo.

- Co nie?

- Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć - ciągnąłem. Słowa ledwie przechodziły mi przez usta. - Nie zniósłbym, gdybyś... Nie chcę, żebyś...

- Percy? - rzekła ze zdziwieniem. - Wyglądasz, jakbyś chciał zwymotować.

Dokładnie tak się czułem. Chciałem powiedzieć jej więcej, ale język mnie zawiódł. Ze strachu nie byłem w stanie nim poruszyć. W tej chwili Artemida się odwróciła.

- Będę miała nowego porucznika - oznajmiła. - Jeśli wybrana osoba się zgodzi.

- Nie - mruknąłem.

- Thalia - powiedziała bogini - córko Zeusa. Czy przyłączysz się do Łowów?

W sali zapanowało pełne zdumienia milczenie. Gapiłem się na Thalię, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszałem.

Annabeth się uśmiechnęła. Uścisnęła jej dłoń i puściła ją, jakby od dawna się tego spodziewała.

- Przyłączę się - odpowiedziała twardo Thalia.

Zeus wstał, a w jego oczach malowała się troska.

- Zastanów się dobrze, córko...

- Ojczy - odpowiedziała. - Nie skończę szesnastu lat. Nigdy nie skończę szesnastu lat. Nie dopuszczę do tego, żeby to była moja przepowiednia. Stanę u boku mojej siostry Artemidy. Kronos nigdy więcej mnie nie zwie-dzie.

Uklękła przed boginią i zaczęła recytować słowa, które pamiętałem z przysięgi Bianki, złożonej, wydawać by się mogło, wieki temu. "Oddaję się bogini Artemidzie. Wy-rzekam się towarzystwa mężczyzn..."

Następnie Thalia zrobiła coś, co zaskoczyło mnie w nie-mal równym stopniu co sama przysięga. Podeszła do mnie z uśmiechem i na oczach całego zgromadzenia uściskała mnie.

Zarumieniłem się.

Kiedy odsunęła się nieco i tylko trzymała mnie za ramiona, odezwałem się:

- Eee... Czy tobie wolno jeszcze to robić? To znaczy ściskać chłopaków?

- Ja tylko okazuję sympatię przyjacielowi - poprawiła mnie. - Muszę dołączyć do Łowów, Percy. Nie zaznałam pokoju od... czasu Wzgórza Herosów. W końcu czuję, że mam dom. Ale ty jesteś herosem. To ciebie będzie dotyczyła przepowiednia.

- Super - mruknąłem.

- Jestem dumna z twojej przyjaźni.

Przytuliła Annabeth, która z trudem powstrzymywała się od płaczu. Uściskała nawet Grovera, który wyglądał tak, jakby miał zaraz zemdleć. Jakby ktoś właśnie poda-rownął mu kupon na dowolną ilość jedzenia w barze meksykańskim.

Następnie Thalia stanęła u boku Artemidy.

- A teraz w kwestii Ofioteura - powiedziała bogini.

- Chłopak nadal stanowi zagrożenie - ostrzegł Dionizos. - Ten stwór jest pokusą wielkiej władzy. Nawet jeśli oszczędzimy chłopaka...

- Nie. - Spojrzałem kolejno na wszystkich bogów. - Proszę. Nie róbcie krzywdy Ofioteurowi. Mój ojciec może go ukryć gdzieś w morzu albo trzymać go w akwarium tu, na Olimpie. Ale musicie go strzec.

- A dlaczego mielibyśmy ci ufać? - burknął Hefajstos.

- Mam dopiero czternaście lat - powiedziałem. - Jeśli ta przepowiednia dotyczy mnie, to mam jeszcze dwa lata.

- Przez ten czas Kronos może cię omotać - zauważyła Atena. - Wiele może się zmienić przez dwa lata, młody herosie.

- Mamo! - krzyknęła Annabeth z rozdrażnieniem.

- To tylko prawda dziecko. Utrzymywanie tego zwierzęcia przy życiu to niedobra strategia. Albo chłopca.

Mój ojciec wstał.

- Nie pozwolę unicestwić tego stworzenia, jeśli mam w tej sprawie coś do powiedzenia. A mam.

Wyciągnął przed siebie rękę, w której pojawił się trój-zęb; siedmiometrowe spizowe drzewce z trzema grotami włóczni, które połyskiwały błękitną, wodnistą poświatą.

- Ręczę za chłopca i bezpieczeństwo Ofioteura.

- Nie możesz zabrać go do morza! - Zeus również się podniósł z tronu. - Tak cenna karta przetargowa nie może znaleźć się w twoim posiadaniu.

- Bracie, proszę - westchnął Posejdon.

W ręce Zeusa pojawił się piorun - promień elektryczności, który nappełnił pomieszczenie zapachem ozonu.

- Dobrze - powiedział mój ojciec. - Zbuduję tu akwarium dla tego stworzenia, Hefajstos może mi pomóc. Ofioteur będzie bezpieczny, będziemy go chronić całą naszą mocą. A chłopak nas nie zdradzi, ręczę za to moim honorem.

Gromowładny się zamyślił.

- Wszyscy za?

Ku mojemu zdumieniu uniosło się wiele rąk. Dionizos się wstrzymał, podomnie jak Ares i Atena. Ale wszyscy pozostali...

- Mamy większość - oznajmił Zeus. - A zatem skoro nie będzie unicestwiania herosów... myślę, że powinniśmy ich uczcić. Niech rozpocznie się uczta!

Są przyjęcia i są też wielkie, ogromne, wystawne przyjęcia. I jeszcze są przyjęcia olimpijskie. Jeśli mielibyście wybierać, idźcie na olimpijskie.

Dziewięć Muz zapewniało muzykę i uświadomiłem sobie, że jest ona tym, na co masz ochotę: bogowie mogli sobie słuchać klasyki, ale młodszy słyszeli hip-hop czy cokolwiek innego, chociaż była to ta sama ścieżka dźwiękowa. I żadnych kłótni, żadnego przełączania stacji. Co najwyżej prośby, żeby

niewielko podkręcić.

Dionizos przechadzał się, sprawiając, że z podłogi wy-rastały stoliki z napojami, a towarzyszyła mu bardzo piękna kobieta -jego żona Ariadna. Po raz pierwszy widziałem go szczęśliwego. Ze złotych fontann płynęły nektar i ambrozja, zaś stoły bankietowe uginały się pod ciężarem przekąsek dla śmiertelników. Złote puchary napełniały się każdym napojem, na jaki miało się ochotę. Grover biegał po sali z talerzem pełnym metalo-wych puszek i dań meksykańskich, a w pucharze miał podwójne espresso latte, nad którym mamrotał imię Pana niczym jakieś zaklęcie.

Bogowie podchodzili do mnie z gratulacjami. Na szczę-ście mieli teraz ludzkie rozmiary, dzięki temu nie rozde-ptywali gości. Hermes zaczął pogawędkę ze mną i był tak pogodny, że nie miałem serca powiedzieć mu, co się stało z jego najmniej ulubionym synem, Lukiem. Kiedy wreszcie zdobyłem się na odwagę, zadzwonił do niego kaduceusz i Hermes się oddalił.

Apollo powiedział mi, że mogę prowadzić jego słonecz-ny rydwan, kiedy tylko zechcę, a jeśli chciałbym potre-nować łucznictwo...

- Dziękuję - powiedziałem mu. - Ale tak poważnie, to nie jestem w tym dobry.

- Bzdura - odrzekł. - Chcesz poćwiczyć strzelanie do celu z rydwanu podczas lotu nad Stanami? Świetna zabawa!

Udało mi się jakoś wyłgać i wmieszałem się w tłum tańczący na pałacowych dziedzińcach. Szukałem Anna-beth. W końcu ją zobaczyłem, jak tańczyła z jakimś pomniejszym bożkiem.

Nagle za mną odezwał się męski głos.

- Mam nadzieję, że mnie nie zawiedziesz.

Odwróciłem się i zobaczyłem uśmiechającego się do mnie Posejdona.

- Tato... cześć.

- Witaj, Percy. Dobrze się spisałeś.

Poczułem się nieswojo, kiedy mnie pochwalił. Oczywiście-cie ogólnie poczułem się dobrze, ale wiedziałem, jak wiele zaryzykował, ręcząc za mnie. Byłoby znacznie prościej, gdyby pozostali mnie unicestwili.

- Nie zawiodę cię - obiecałem.

Skinął głową. Mam problemy z odczytywaniem emocji bogów i zastanawiałem się, czy ma jakieś wątpliwości.

- Twój przyjaciel Luke...

- On nie jest moim przyjacielem - wypaliłem, po czym uświadomiłem sobie, że przerywanie bogu w pół zdania nie jest zapewne grzeczne. - Przepraszam.

- Twój były przyjaciel Luke - poprawił się Posejdon. - On też kiedyś podobnie obiecywał. Był dumą i radością Hermesa. Pamiętaj o tym, Percy. Nawet najdzielniej-szym zdarza się upadek.

- Luke upadł całkiem poważnie - zgodziłem się. - Nie żyje.

Mój ojciec pokręcił przecząco głową.

- Nie, Percy. On nie zginął.

Wlepiłem w jego wzrok.

- Że co?

- Wydaje mi się, że Annabeth już ci o tym mówiła. Luke żyje. Widziałem go. Jego statek właśnie w tej chwili wypływa ze szczątkami Kronosa z San Francisco. Muszą się wycofać i przegrupować, zanim zaatakują cię znowu. Postaram się zniszczyć ten statek sztormami, ale on zawiązuje układy z moimi rywalami, starszymi duchami morza. Mogą stanąć do walki, żeby go ochronić.

- Jak on może żyć? - zapytałem. - Ten upadek powinien go zabić!

Posejdon wyglądał na zakłopotanego.

- Nie wiem, Percy, ale uważaj na niego. Jest teraz bardziej niebezpieczny niż kiedykolwiek. I nadal ma złoty sarkofag, który wciąż wzrasta w siłę.

- A co z Atlasem? - spytałem. - Jak zapobiec temu, żeby się znów nie wydostał? Nie zmusi po prostu jakiegoś giganta albo kogoś takiego, żeby podtrzymał za niego niebo?

Mój ojciec parsknął szyderczo.

- Gdyby to było takie łatwe, to wymknąłby się dawno temu. Nie, synu. Klątwa niebios jest wyłącznie klątwą tytana, jednego z dzieci Uranosa i Gai. Każdy inny może wziąć brzemień na swoje ramiona tylko z własnej nie-przymuszonej woli. Tylko heros, ktoś, kto ma siłę, uczciwe serce i wielką odwagę może czegoś takiego dokonać. Nikt z armii Kronosa nie poważiłby się dźwigać tego ciężaru, nawet pod groźbą śmierci.

- Luke to zrobił - zauważyłem. - To on zwolnił Atlasa. A potem zwiódł Annabeth, żeby go ocaliła, i użył jej jako przynęty, aby zwabić tam Artemidę i zmusić ją do wzięcia niebios na ramiona.

- Owszem - przytaknął Posejdon. - Luke to... ciekawy przypadek.

Myślę, że zamierzał powiedzieć coś więcej, ale w tej właśnie chwili Nessie zaczął muczeć z drugiego końca dziedzińca. Kilku półbogów bawiło się jego wodną kulą, przepychając ją ze śmiechem nad głowami tłumów.

- Lepiej się tym zajmę - mruknął Posejdon. - Nie mogą bawić się Ofiotaurem jak piłką plażową. Powodzenia, synu. Możemy się długo nie zobaczyć.

Powiedział to i po prostu poszedł sobie.

Zamierzałem znów rozejrzeć się po tłumie, kiedy za mną

odezwał się kolejny głos.

- Twój ojciec podejmuje wielkie ryzyko, zdajesz sobie z tego sprawę.

Znalazłem się twarzą w twarz z szarooką kobietą, która do tego stopnia wyglądała jak Annabeth, że omal tak się do niej nie zwróciłem.

- Ateno. - Starłem się nie dać poznać po sobie urazy za to, że mnie skreśliła podczas narady, ale obawiam się, że średnio mi to wyszło.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Nie oceniaj mnie surowo, herosie. Mądra rada rzadko bywa dobrze przyjmowana, a ja mówiłam prawdę. Jesteś niebezpieczny.

- Nigdy nie podejmujesz ryzyka?

Skinęła głową.

- Pogodziłam się z decyzją. Może istotnie jeszcze się przydasz. Ale... jeśli popełnisz błąd, zniszczysz i nas, i siebie.

Serce podeszło mi do gardła. Rok temu Annabeth i ja rozmawialiśmy o śmiertelnym niebezpieczeństwie. Każdy heros ma w sobie coś takiego, co zagraża jemu samemu. Dla niej jest to pycha. Przekonanie, że może zrobić wszystko... Na przykład utrzymać na ramionach świat. Albo ocalić Luke'a. Ja dotąd nie miałem pojęcia, w jaki sposób mogę sobie zaszkodzić.

Atena patrzyła na mnie niemalże z litością.

- Kronos wie, co stanowi dla ciebie śmiertelne niebezpieczeństwo, nawet jeśli ty nie wiesz, czym ono jest. On wie, jak poznawać nieprzyjaciół. Pomyśl, Percy. Jak on tobą manipuluje? Najpierw zabiera ci matkę. Potem naj-lepszego przyjaciela, Grovera. Teraz moją córkę, Anna-beth.

Urwała z wyraźną dezaprobatą.

- W każdym przypadku posłużono się ludźmi, których kochasz,

żeby zwabić cię w jego pułapki. Dla ciebie naj-groźniejsza jest osobista lojalność, Percy. Nie wiesz, kiedy należy pogodzić się ze stratą. Poświęcisz świat, żeby uratować przyjaciela. Dla herosa z przepowiedni jest to bardzo, bardzo niebezpieczne. Zacisnąłem pięści.

- To nie jest wada. Tylko dlatego, że chcę pomagać przyjaciołom...

- Najniebezpieczniejszymi wadami są te, które w umiarze są dobrem - odrzekła. - Ze złem łatwo jest walczyć. Z brakiem mądrości... bardzo trudno.

Chciałem się kłócić, ale jakoś nie potrafiłem. Atena była bardzo mądra.

- Mam nadzieję, że decyzje Rady okażą się mądre - powiedziała. - Ale będę cię obserwować, Percy Jackso-nie. Nie pochwalam twojej przyjaźni z moją córką. Nie sądzę, żeby było to rozsądne dla któregokolwiek z was. A jeśli zacząłbyś się wahać w swojej lojalności...

Utkwiła we mnie swoje zimne, szare oczy, a ja uzmysłowiłem sobie, jak straszliwym wrogiem może być Atena - dziesięć razy gorszym niż Ares czy Dionizos, a nawet mój ojciec. Nigdy nie daje za wygraną. Nigdy nie postąpi pochopnie czy głupio tylko dlatego, że kogoś nie-nawidzi, ale jeśli postanowi go zniszczyć, to jej plan nie zawiedzie.

- Percy! - zawołała Annabeth, biegnąc przez tłum. Za-trzymała się w pół kroku, widząc, z kim rozmawiam. - Och... Mamo.

- Zostawię was - powiedziała Atena. - Na razie.

Odwróciła się i pomaszerowała w kierunku gości, którzy rozstępowali się przed nią, jakby niosła Egidę.

- Bardzo wredna była dla ciebie? - spytała Annabeth.

- Nie - odparłem. - Było... spoko.

Przyglądała mi się z niepokojem. Dotknęła białego pasma,

które pojawiło się w moich włosach. Takie samo jak jej własne -bolesna pamiątka po dźwiganiu brze-mienia Atlasa. Było tyle spraw, o których chciałem jej powiedzieć, ale Atena odebrała mi całą pewność siebie. Czułem się tak, jakby ktoś przywalił mi pięścią w brzuch. *Nie pochwalam twojej przyjaźni z moją córką.*

- No - ponagliła Annabeth. - Co takiego chciałeś mi wcześniej powiedzieć?

Muzyka grała, ludzie tańczyli na ulicach.

- Ja, no, pomyślałem sobie, że przeszkadzono nam wtedy w Westover Hall. No więc... chyba jestem ci winien taniec.

Uśmiechnęła się powoli.

- Okej, Glonomóżdżku.

Wziąłem ją za rękę i chociaż nie wiem, co słyszeli inni, dla mnie melodia brzmiała jak powolny taniec: trochę smutny, ale też z nutą nadziei.

ROZDZIAŁ XX

NOWY WRÓG W PREZENCIE GWIAZDKOWYM

Zanim opuściłem Olimp, postanowiłem wykonać kilka iryfonów. Nie było to proste, ale w końcu udało mi się znaleźć fonatną w cichym zakątku ogrodu i skontaktować się z moim bratem Tysonem na dnie morza. Opo-widziałem mu o naszych przygodach oraz Nessiem - oczywiście

domagał się wszelkich szczegółów dotyczących tego wężo-krowiego niemowlectwa - no i zapewniłem go, że Annabeth jest cała i zdrowa. W końcu nie mogłem już dłużej tego odwlekać i poinformowałem go, że tarcza, którą wykonał dla mnie w lecie, została uszkodzona pod-czas ataku mantikory.

- Ha! - wykrzyknął Tyson. - To znaczy, że jest dobra! Ocalała ci życie.

- Z całą pewnością, wielkoludzie - powiedziałem. - Ale teraz jest zniszczona.

- Nie zniszczona! - obiecał mój brat. - Odwiedzę cię w lecie i naprawię.

- Ta obietnica natychmiast poprawiła mi humor. Chyba nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo tęskniłem za towarzystwem Tysona.

- Naprawdę? - zapytałem. - Pozwolą ci wziąć urlop?

- Tak! Wykułem dwa tysiące siedemset czterdzieści jeden magicznych mieczy - oznajmił z dumą, pokazując mi najnowszą głownię. - Szef mówi: "Dobra robota"! Dał mi całe lato wolne. Przyjadę na obóz!

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o przygotowaniach do wojny i kłopotach taty ze starszymi duchami moza, a także o tych wszystkich fajnych rze-czach, które możemy razem zrobić w lecie, ale w końcu szef Tysona zaczął się wydzierać i mój brat musiał wró-cić do pracy.

Wydobyłem ostatnią złotą drahmę i jeszcze raz wywo-łałem Irydę.

- Sally Jackson - powiedziałem. - Manhattan, Upper East Side.

Mgielka zamigotała i zobaczyłem mamę siedzącą przy stole kuchennym. Śmiała się, trzymając za rękę Popisa.

Czułem takie zażenowanie, że już miałem machnąć ręką i przerwać połączenie, ale zanim to zrobiłem, mama mnie

zauważyła. Zrobiła ogromne oczy i natychmiast puściła rękę pana Popisa.

- Och, Paul! Wiesz co? Chyba zostawiłam notatki w salonie. Możesz mi je przynieść?

- Jasne, Sally. Nie ma problemu.

Wyszedł z kuchni, a mama natychmiast nachyliła się ku iryfonowi.

- Percy! Wszystko w porządku?

- U mnie, no, tak. Jak tam zajęcia z pisania?

Zacisnęła usta.

- Dobrze. Ale to nieistotne. Opowiedz, co się stało?

Streszczałem się, jak tylko się dało. Odetchnęła z ulgą, jak usłyszała, że Annabeth jest bezpieczna.

- Wiedziałam, że sobie poradzisz! - oznajmiła. - Jestem z ciebie bardzo dumna.

- Mhm, okej, no to może lepiej wrócisz do swojego zadania domowego.

- Percy, ja... Paul i ja...

- Mamo, jesteś szczęśliwa?

To pytanie ją zaskoczyło. Zamyśliła się na chwilę.

- Tak. Naprawdę jestem, Percy. Jestem szczęśliwa w jego towarzystwie.

- To super. Mną się nie przejmuj. - Najzabawniejsze, że naprawdę tak myślałem. Zważywszy, jakie właśnie przeżyłem przygody, może to ja powinienem przejmować się mamą. Wiedziałem, jak bardzo ludzie potrafią być dla siebie wredni. Taki Herakles dla Zoe Nightshade, Luke dla Thalii. Spotkałem osobiście Afrodytę, boginię miłości, i jej moc przestraszyła mnie bardziej niż siła Aresa. Ale na widok mojej mamy roześmianej i rozba-wionej, po tych wszystkich latach, które przecierpiała z moim okropnym eksojczymem Gabem Ugliano, nie mog-łem nie

czuć zadowolenia z jej szczęścia.

- Obiecasz nie nazywać go panem Popisem? - zapytała.

Wzruszyłem ramionami.

- No, może nie przy nim samym.

- Sally? - zawołał pan Popis z salonu. - Chcesz ten zielony segregator czy czerwony?

- Lepiej skończę rozmowę - powiedziała. - Przyjedziesz na święta?

- A będą niebieskie cukierki pod choinką?

Uśmiechnęła się.

- Jeśli tylko nie jesteś na to za stary.

- Nigdy nie będę za stary na cukierki.

- W takim razie przyjeżdżaj.

Machnęła ręką przez środek mgły. Jej obraz zniknął, a ja pomyślałem sobie, że Thalia miała rację tak dawno temu pod Westover Hall: moja mama naprawdę jest całkiem fajna.

W porównaniu z Olimpem na Manhattanie panował spokój. Jechaliśmy w przedświąteczny piątek wcześniej rano, więc na Piątej Alei było pusto. Argus, wielooki szef ochrony, zabrał Annabeth, Grovera i mnie z Empire State Building i w szalejącej śnieżycy przewiózł z powrotem do obozu. Autostrada wiodąca na Long Island była niemal pusta.

Kiedy wspinaliśmy się na Wzgórze Herosów ku sośnie, na której połyskiwało Złote Runo, niemal spodziewałem się, że przywita nas Thalia, ale nie było jej tam. Odeszła już wcześniej z Artemidą i pozostałymi Łowczyniami na kolejną przygodę.

Chejron powitał nas w Wielkim Domu gorącą czekoladą i grzankami z serem. Grover pobiegł do swoich satyrów, żeby opowiedzieć im o naszym dziwnym spotkaniu z magią Pana. Po godzinie satyrowie biegali po całym obozie podekscytowani i dopytywali o najbliższą kawiarnię.

Annabeth i ja siedzieliśmy z Chejronem i grupką starszych obozowiczów - Beckendorfem, Sileną Beauregard i braćmi Hood. Pojawiła się nawet Clarisse z domku Are-sa, która wróciła już ze swojej tajnej misji wywiadowczej. Wiedziałem, że musiało być to niełatwe zadanie, ponieważ nawet nie próbowała mnie zgładzić. Miała za to na podbródku nową bliznę, a jej ciemnoblonde włosy były ścięte na krótko i poszarpane, jakby ktoś ją zaatakował szkolnymi nożyczkami.

- Mam wieści - wymamrotała niepewnie. - Złe wieści.

- Później wam opowiem - powiedział na to Chejron z wymuszoną wesołością. - Najważniejsze, że zwyciężyliście. I ocaliłeś Annabeth!

Annabeth uśmiechnęła się do mnie z wdzięcznością, aż odwróciłem wzrok.

Z jakiś dziwaczych powodów pomyślałem o Zaporze Hoovera i tej dziwnej śmiertelnej dziewczynie, którą tam spotkałem, Rachel Elizabeth Dare. Nie wiedziałem dlaczego, ale wciąż przypominały mi się jej irytujące uwagi. *Czy ty zawsze zabijasz ludzi za to, że wycierają nos?* Żyłem tylko dzięki temu, że tyle osób mi pomogło, włącznie z przypadkową śmiertelniczką. Nigdy nawet nie zdążyłem jej wyjaśnić, kim jestem.

- Luke żyje - powiedziałem. - Annabeth miała rację.

Córka Ateny się poderwała.

- Skąd wiesz?

Starłem się nie dać ponieść irytacji z powodu tego zainteresowania. Powiedziałem jej, że mój ojciec powiedział o "Księżniczce Andromedzie".

- Okej - Annabeth poruszyła się niespokojnie na krześle. - Jeśli ostateczna bitwa ma się rozegrać, jak Percy skończy szesnaście lat, będziemy przynajmniej mieli jeszcze dwa lata, żeby coś wymyślić.

Zdawało mi się, że kiedy powiedziała "coś wymyślić", to miała na myśli "przekonać Luke'a do zmiany poglądów", co zezłościło mnie jeszcze bardziej.

Chejron sprawiał wrażenie przygnębionego. Siedząc na wózku przy kominku, wyglądał naprawdę staro. To znaczy... on *jest* naprawdę stary, ale zazwyczaj na to nie wygląda.

- Może się wydawać, że dwa lata to długo - powiedział. - Ale to zaledwie mgnienie oka. Mam wciąż nadzieję, że to nie ty jesteś tym dzieckiem z przepowiedni, Percy. Ale jeśli tak, to grozi nam druga wojna tytanów. Pierwsze uderzenie Kronosa nastąpi tutaj.

- Skąd pan wie? - zapytałem. - Dlaczego miałby go obchodzić obóz?

- Ponieważ bogowie posługują się herosami jako swoimi narzędziami - odpowiedział bez ogródek. - Zniszcz narzędzia, a bogowie będą osłabieni. Armia Luke'a przyjdzie tutaj.

Śmiertelnicy, półbogowie, potwory... Musimy być gotowi. Wieści, które przyniosła Clari-sse, mogą dać nam pewne wskazówki co do ich planu ataku, ale...

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wpadł zady-szany Nico di Angelo z policzkami zaczerwienionymi od mrozu.

Był uśmiechnięty, ale rozglądał się z niepokojem.

- Hej! Gdzie... Gdzie jest moja siostra?

Zapadło głucho milczenie. Wpatrywałem się w Chejrona. Nie mogłem uwierzyć, że nikt mu jeszcze nie powiedział. Po czym zrozumiałem dlaczego. Czekali, aż my się pojawimy, żebyśmy mogli mu opowiedzieć osobiście.

Była to ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę. Ale byłem to winny Bianca.

- Hej, Nico. - Wstałem z wygodnego krzesła. - Chodźmy się przejść, okej? Musimy porozmawiać.

Nico wysłuchał wieści w milczeniu, co tylko pogorszyło sprawę. Gadałem i gadałem, usiłując wyjaśnić, co się stało, jak Bianca poświęciła się dla dobra wyprawy. Czułem jednak, że tylko brnę coraz głębiej.

- Chciała, żebym ci to dał - wyjąłem małą statuetkę bóstwa, którą Bianca znalazła na złomowisku. Nico wziął ją do ręki i wpatrywał się w nią z uwagą.

Staliśmy w pawilonie jadalnym, w tym samym miejscu, gdzie rozmawialiśmy, zanim udałem się na misję. Wiał przenikliwy wiatr, nawet pomimo magicznej kontroli pogody. Płatki śniegu padały bezszelestnie na marmurowe stopnie. Pomyślałem, że poza granicami obozu pewnie szalała burza śnieżna.

- Obiecałeś, że będziesz ją chronić - oznajmił Nico.

Równie dobrze mógłby mi wbić zardzewiały sztylet w serce. Zaboląłoby mniej niż przypomnienie o tej obietnicy.

- Nico - powiedziałem. - Próbowałem. Ale Bianca poświęciła siebie, aby ratować pozostałych. Mówiłem jej, żeby tego nie robiła. Ale ona...

- Obiecałeś!

Patrzył na mnie ze złością w zaczerwienionych oczach. Zacisnął swoją małą piąstkę na figurce bóstwa.

- Nie powinienem ci ufać - głos mu się łamał. - Okłamałeś mnie. Moje koszmary były prawdziwe!

- Zaczekaj. Jakie koszmary?

Rzucił posążek na ziemię, aż zabrzęczał na zamrożonym marmurze.

- Nienawidzę cię!

- Ona może jeszcze żyje - powiedziałem z rozpaczą. - Nie wiem na pewno...

- Ona nie żyje. - Zamknął oczy. Cały drżał z wściekłości. - Powinienem się domyślić. Ona jest na Łąkach Asfodelowych. stoi przed sędziami, czeka na osąd. Czuję to.

- Jak to czujesz?

Zanim zdążył odpowiedzieć, usłyszałem za sobą nowy dźwięk. Syczące, grzechoczące odgłosy, które nauczyłem się rozpoznawać aż za dobrze.

- Wyciągnąłem miecz, a Nico krzyknął. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z czterema szkieletowymi wojownikami. Szczerzyli zęby w zuchwach i nacierali na mnie z uniesionymi mieczami. Nie wiedziałem, jak udało im się dostać w obręb obozu, ale nie miało to znaczenia. I tak nie zdążyłbym pobiec po pomoc.

- Chcesz mnie zabić! - krzyknął Nico.- Sprowadziłeś te... te okropności.

- Nie! To znaczy tak, one za mną idą, ale nie! Uciekaj, Nico. Ich nie da się zniszczyć.

- Nie ufam ci!

Pierwszy ze szkieletów zaatakował. Odparowałem jego uderzenie, ale trzech pozostali nie ustępowali. Przeciąłem jednego na pół, ale on natychmiast zaczął się składać z powrotem. Kolejnemu uciałem głowę, ale nie zaprzestał walki.

- Nico, uciekaj! - wrzasnąłem. - Sprowadź pomoc!

- Nie! - przyłożył dłonie do uszu.

Nie byłem w stanie walczyć z czterema na raz, zważywszy, że nie umierali. Ciąłem, wykonywałem obroty, ale oni tylko nacierali dalej. Mogli mnie pokonać w kilka sekund.

- Nie! - wrzasnął Nico jeszcze głośniejszym głosem. - Wynocha!

Ziemia pod mną się zatrzęsała. Szkielety zamarły. Od-toczyłem się w chwili, kiedy pod ich stopami otwarła się szczelina. Grunt rozstał się niczym kłapiąca paszcza.

Z pęknięcia wyskoczyły płomienie, a ziemia pochłonęła szkielety w jednym wielkim CHRUP!

Zapadła cisza.

W miejscu, gdzie stały potwory, ciągnęła się długa na siedem metrów nieregularna rysa w marmurowej posadzce pawilonu. Poza tym po wojownikach nie został żaden ślad.

Spojrzałem na Nico z pełnym podziwu szacunkiem.

- Jak ty to...

- Wynocha! - krzyknął. - Nienawidzę cię! Chciałbym, żebyś umarł!

Ziemia mnie nie pochłonęła, a Nico zbiegł po schodach, kierując się w stronę lasu. Ruszyłem za nim, ale poślizgnąłem się i upadłem na oblodzone stopnie. Kiedy się podnosiłem, zauważyłem, na czym się przewróciłem.

Podniosłem figurkę bóstwa, którą Bianca zabrała ze złomowiska dla brata. "To jest ta jedyna figurka, której jeszcze nie ma", powiedziała. Ostatni prezent od siostry.

Wpatrywałem się w nią z przerażeniem, ponieważ teraz zrozumiałem, dlaczego wydawała mi się znajoma. Widziałem już kiedyś tą twarz.

Posążek przedstawiał Hadesa, Pana Umarłych.

Annabeth i Grover pomogli mi przeszukać las, co zajęło nam kilka godzin, ale nie natrafiliśmy na ślad Nico di Angelo.

- Musimy zawiadomić Chejrona - powiedziała Anna-beth z trudem łapiąc oddech.

- Nie - odparłem.

Oboje z Groverem spojrzeli na mnie zdziwieni.

- Ekhem - chrząknął nerwowo satyr. - Jak to nie?

Usiłowałem wymyślić, dlaczego chcę to powiedzieć, ale słowa same cisnęły mi się na usta.

- Nie możemy tego zdradzić nikomu. Nie sądzę, żeby ktokolwiek się domyślił, że Nico jest...

- Synem Hadesa - wtrąciła się Annabeth. - Percy, czy ty masz pojęcie, jaka to poważna sprawa? Nawet Hades złamał przysięgę! To okropne!

- Nie sądzę - odparłem. - Nie wydaje mi się, żeby Hades złamał przysięgę.

- Że co?

- On jest ich tatą - powiedziałem - ale Bianca i Nico po zostawali poza radarem przez wiele lat, od czasów przed drugą wojną światową.

- Kasyno Lotos! - wykrzyknął Grover i opowiedział Annabeth o rozmowie, którą odbyłem z Bianką podczas tej wyprawy. - Ona i Nico utknęli tam na wiele dziesiątek lat. Urodzili się, zanim jeszcze powstał pomysł tej przysięgi.

Przytaknąłem.

- A jak niby się wydostali? - spytała z niedowierzaniem Annabeth.

- Nie wiem - przyznałem. - Bianca powiedziała, że przyszedł jakiś prawnik, *zabrał* ich i odwiózł do Westover Hall. Nie wiem, kto to mógł być ani dlaczego to zrobił. Może to część tego całego Wielkiego Gotowania. Nie sądzę, żeby Nico zdawał sobie sprawę z tego, kim jest. Ale nie możemy tego nikomu powiedzieć. Nawet Chejronowi. Jeśli Olimpijczycy się dowiedzą...

- Mogą znów zacząć walczyć między sobą - dokończyła Annabeth. - To ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy.

Grover wyglądał na zaniepokojonego.

- Nie ukryjcie czegoś takiego przed bogami. Nie na zawsze.

- Nie musimy na zawsze - odpowiedziałem. - Wystarczą dwa lata. Dopóki nie skończę szesnastki.

Annabeth pobladła.

- Ale, Percy, to oznacza, że przepowiednia może nie dotyczyć ciebie. Może mówić o Nico. Musimy...

- Nie - upierałem się. - Ja wybieram przepowiednię. Ona będzie o mnie.

- Czemu to mówisz? - zawołała. - Chcesz wziąć odpowiedzialność za cały świat?

Była to ostatnia rzecz, której chciałem, ale nie powiedziałem jej tego. Wiedziałem, że muszę wystąpić i się zdeklarować.

- Nie pozwolę, żeby Nico był narażony na dalsze niebezpieczeństwa - powiedziałem. - Jestem to winny jego siostrze. Ja... Zawiodłem ich oboje. Nie pozwolę, żeby ten biedny dzieciak cierpiał dalej.

- Biedny dzieciak, który cię nienawidzi i chciałby twojej śmierci - przypomniał mi Grover.

- Może go znajdziemy - powiedziałem. - Może zdołamy go przekonać, że wszystko w porządku, ukryć go w jakimś bezpiecznym miejscu.

Annabeth zadrżała.

- Jeśli Luke go dorwie...

- Nie dorwie - zapewniłem ją. - Już ja się postaram, żeby miał inne zmartwienia. Konkretnie mnie.

Nie byłem pewny, czy Chejron uwierzył w opowiastkę, którą z Annabeth mu sprzedaliśmy. Chyba podejrzewał, że coś ukrywamy w związku ze zniknięciem Nica, ale w końcu kupił naszą wersję. Chłopak nie był pierwszym herosem, który zniknął.

- Taki młody - westchnął Chejron, opierając ręce na barierce werandy przed domem. - Niestety muszę mieć nadzieję, że

pożarły go potwory. To znacznie lepsze niż wcielenie do armii tytanów.

Jego słowa zaniepokoiły mnie. Omal nie postanowiłem jednak powiedzieć mu wszystkiego, ale w końcu tego nie zrobiłem.

- Naprawdę uważa pan, że tu przypuszczą pierwszy atak? - zapytałem.

Chejron wpatrywał się w płatki śniegu spadające na wzgórza. Widziałem dym wydychany przez smoka pilnującego sosny i daleki blask Runa.

- To nastąpi najwcześniej latem - odpowiedział. - Ta zima będzie ciężka... najcięższa od wielu stuleci. Najlepiej, żebyś pojechał do domu, do miasta, Percy. Postaraj się skupić na nauce. Odpocznij. Będziesz potrzebował wypoczynku.

Spojrzałem na Annabeth.

- A co z tobą?

Zarumieniła się.

- Jednak pojedę do San Francisco. Może uda mi się stamtąd mieć oko na górę Tam, żebyśmy byli pewni, że tytani nie uknuli czegoś nowego.

- Wyślesz mi wiadomość, jeśli cokolwiek będzie nie w porządku.

Przytaknęła.

- Ale uważam, że Chejron ma rację. Nie zaatakują przed latem. Luke będzie potrzebował czasu, żeby odzyskać siły.

Nie podobało mi się to czekanie. Z drugiej strony w sierpniu za rok skończę piętnaście lat. Tak blisko szesnastki, że wołałem o tym nie myśleć.

- Dobrze - powiedziałem. - Tylko uważaj na siebie. I nie wyczyniaj żadnych akrobacji na myśliwcach.

Uśmiechnęła się.

- Umowa stoi. Ale, Percy...

Cokolwiek zamierzała powiedzieć, udaremnił to Gro-ver, który wytoczył się z Wielkiego Domu, potykając się o metalowe puszki. Twarz miał wymizerowaną i bladą, jakby zobaczył upiora.

- Przemówił! - zawołał.

- Spokojnie, młody satyrze - zwrócił się do niego Chej-ron marszcząc czoło. - O co chodzi?

- Gra-grałem sobie muzykę w salonie - wyjąkał - i popi-jałem kawę. Mnóstwo, mnóstwo kawy! I on przemówił w moich myślach!

- Kto? - zapytała Annabeth.

- Pan! - zawył Grover. - Sam Władca Dzikiej Natury. Usłyszałem go. Muszę... muszę znaleźć walizkę.

- Ej, ej - spojrzałem na niego. - Co on ci powiedział? Satyr wbił we mnie wzrok.

- Trzy słowa. Powiedział: "Czekam na ciebie...".